

MILENA WÓJTOWICZ

VICE

WERSJA

LEKKO, ZABAWNIE, KOMPLETNIE INACZEJ – MILENA WÓJTOWICZ NAWET O BHP  
I MORDERCZEJ STRYDZE POTRAFI PISAĆ Z HUMOREM. POLECAM!

*ANETA JADOWSKA, autorka Dory Wilk, Nikity i Garstki*

MILENA WÓJTOWICZ

VICE  
VERSA

A detailed, grayscale image of a human skull, viewed from a three-quarter perspective. The skull is positioned behind the word 'VERSA' in the title. The skull's features, including the eye sockets, nasal cavity, and jaw, are clearly visible through the letters.

REDAKCJA: Dominika Repeczko  
KOREKTA: Ewa Mościcka  
SKŁAD I ŁAMANIE: Arkadiusz Zawadzki/Aureusart  
PROJEKT OKŁADKI: Magdalena Zawadzka/Aureusart  
ZDJĘCIA NA OKŁADCE: Dziewczyna © YuriyZhuravov  
Czaszka © Katheryna Denysenko

Copyright © Milena Wójtowicz 2019  
Copyright for the Polish edition © 2019 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

ISBN 978-83-7686-834-9

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2019

**Adres do korespondencji:**

Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.  
ul. Ludwika Mierosławskiego 11a  
01-527 Warszawa  
[www.wydawnictwo-jaguar.pl](http://www.wydawnictwo-jaguar.pl)  
[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)  
[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ: Marcin Kapusta

**virtualo**  
[konwersja.virtualo.pl](http://konwersja.virtualo.pl)

# Spis treści

1. Zjazd IV
2. Niedziela
3. Poniedziałek
4. Poniedziałek II
5. Poniedziałek III
6. Poniedziałek IV
7. Poniedziałek V
8. Wtorek
9. Wtorek II
10. Wtorek III
11. Wtorek IV
12. Wtorek V
13. Wtorek VI
14. Środa
15. Czwartek
16. Czwartek II
17. Czwartek III
18. Czwartek IV
19. Czwartek ciąg dalszy
20. Piątek
21. Sobota
22. Post Scriptum

# 1. Zjazd IV

Unia Europejska uratowała Żanecie życie. Nie po raz pierwszy zresztą.

– Czy ciebie pogięło?! Brać próbki gleby metalową łopata?! Masz pojęcie, jakie mamy przekroczenia?! I ile w ogóle takie badanie kosztuje?!

Kiedy Sabina Piechota się denerwowała, zaczynała jej widocznie drgać trzecia powieka. Czasami też palce się wydłużały i podejrzenie przypominały szpony. A jeśli zaczynała się dziwnie przeciągać i sprawiać wrażenie, że jej ramiona są trochę nieproporcjonalnie długie w stosunku do reszty ciała, to trzeba było uciekać. Albo rzucić w nią czymś słodkim z bezpiecznej odległości.

Żaneta była lekko rozżalona, że nikt jej o tym nie powiedział, zanim podpisała umowę o pracę.

– Nie możesz mnie zabić, bo musisz rozliczyć fundusze na aktywizację młodzieży. A ta młodzież to ja – z naciskiem przypomniawszy przełożonej.

Na wzmiankę o funduszach europejskich dodatkowa powieka Sabiny znieruchomiała. Szefowa, mentorka i osobiste przekleństwo Żanety Wawrzyniak, wyprostowała się, dmuchnięciem skorygowała wpadającą w oczy czarną grzywkę i dostojnym krokiem wkroczyła do swojego gabinetu.

Dwie minuty później wyszła, dzierżąc w jednej ręce solidne zielone kalosze, a w drugiej zestaw do pobierania próbek gleby. Z plastikową łopatką, której Żaneta zapomniała wcześniej. I, owszem, na miejscu zapytała, czy nie mają łopatkę. Mieli. To pożyczyła.

Nie liczyła na pochwałę za wykazaną inicjatywę, bardziej na to, że załatwi, co trzeba, i będzie miała z głowy. Tymczasem nawaliła że ho ho i jeszcze wkurzyła Sabinę, która rzuciwszy podwładnej jeszcze jedno mordercze spojrzenie, ostentacyjnie opuściła biuro.

Szpilki szefowej zastukały najpierw na korytarzu, a potem na schodach i dopiero wtedy Żaneta zamknęła pierwszą szufladę biurka. Miała tam zachomikowany zestaw na specjalną okazję w postaci pięciu opakowań pierniczków. Woląca mieć go pod ręką, gdyby zaistniała konieczność rzucania słodyczami w Sabinę z bezpiecznej odległości.

Dotąd zdarzyło się to tylko raz, ale ciastek i tak ubywało. Żaneta miała

słabą wolę, więc stały dostęp do kalorii, których zapas jej drugi szef, Piotrek, zawsze uzupełniał bez gadania, skutkowało tym, że ku swojemu ogromnemu niezadowoleniu Żaneta miała coraz większą dupę.

Dziewczyna spojrzała na szufladę krytycznie, a potem znowu ją otworzyła. Właśnie zmarnowała parę tysi służbowej kasy, przeżyła spotkanie z wkurzoną strzygą i zaraz musiała jeszcze jechać do Wrocławia na studia. Należał jej się pierniczek, serio.

Cztery miesiące temu w jej życie wkroczyła najpierw ruda dzdiza, która próbowała trafić jakiegoś gościa w parku gałęzią obsypaną brokatem, podobno w celach morderczych. Pomogły mu wtedy z Pati, bo żal było patrzeć, żeby takiego wyrośniętego kafara jakaś dziunia łoila. Okazało się, że każdy dobry uczynek musi zostać ukarany. Uratowanie niedoszłej ofiary morderczego brokatu sprawiło, że Żaneta znowu musiała zacieśnić kontakty z pogotowiem i co gorsza ze stróżami prawa. A potem do tego wszystkiego wkroczyła Sabina Piechota, Be Ha Pe, aż szkoda, że nie na biało.

Żaneta wciąż jeszcze nie zdecydowała, czy to było szczęście czy pech. Wtedy, rzecz jasna, wyglądało to na szczęście. Coś jakby wróżka chrzestna, tylko w stylu chuderlawo-gotyckim. I propozycję miała całkiem niezłą: chciała Żanetę zatrudnić, wysłać na studia i zrobić z niej specjalistkę od ochrony środowiska. W ochronie środowiska, zdaniem wróżki chrzestnej, leżała przyszłość, biurokracja i kasa. Niekoniecznie w tej kolejności. A Żaneta, która chyba nigdy nie przyswoiła sobie zasady, żeby nie brać cukierków od obcych, dała się poczęstować pierniczkiem i powiedziała „tak”.

Teraz miała pracę, studia, terapeutę i zespół szoku pourazowego po tym, jak pierwszy raz coś spierdzieliła, a Sabina wyszła z siebie. W zasadzie to tak jakby dosłownie.

W całej tej swojej przemowie o środowisku i kasie, przyszłości i kasie, biurokracji i kasie Piechota nie wspomniała o tym, że w tym gronie żyją potwory. Takie jak ona. Żaneta dowiedziała się o tym w sposób zaskakujący i zareagowała w jedyne możliwy sposób – rzuciła miernikiem hałasu w swoją szefową i uciekła z biura. Przed powrotem do domu powstrzymała ją jedynie świadomość, że Sabina zna jej adres.

Skończyło się tym, że Żana noc spędziła u Pati, bredząc coś o łysych gorylach, Slender Manach i tej lasce, co wyłaziła z telewizora i wszystkich mordowała. Następnego dnia cały poranek przysięgała przyjaciółce, że więcej nie będzie kupować towaru z niepewnych źródeł, a jak tylko nadarzyła

się okazja, wymknęła się bez pożegnania.

I wpadła prosto na czekającego pod blokiem Piotrka.

Co tu dużo mówić, nie udało jej się porzucić pracy, chociaż serio próbowała.

No, ale przynajmniej był już piątek, co oznaczało, że Żaneta za chwilę zamknie za sobą drzwi biura i będzie miała robotę z głowy aż do poniedziałku.

Niestety, ten konkretny piątek oznaczał także zjazd.

Przedsionkopoczekalnia, która po wstawieniu biurka dla Żanety stała się też recepcją, nie miała okien. Do biura Sabiny dziewczyna na wszelki wypadek nie próbowała nawet zaglądać, uchyliła drzwi od gabinetu Piotra i podeszła do okna prawie na palcach, żeby nie mącić panującej w pokoju ciszy. Biuro Piotra miało w sobie coś, co zachęcało do ściszenia głosu, pilnowania, żeby przypadkiem nie szurnać krzesłem, ewentualnie ułożenia się na leżance na poobiednią drzemkę.

Na zewnątrz pogoda była, łagodnie mówiąc, niezachęcająca. Co prawda dochodziła dopiero czternasta, ale w radiu podali rano, że dzień jest krótszy od najdłuższego w roku osiem godzin i ileś tam minut, a słońce zajdzie jeszcze przed czwartą. To oznaczało, że zanim Żaneta dojedzie najpierw pociągiem do Wrocka, a potem tramwajem na uczelnię, to będzie już ciemna noc. Do tego zimna.

Niechętnie pogratulowała sobie, że zamiast wydawać całą pensję na efektowny, wydekoltowany płaszczyk, kupiła w chińskim markecie solidną puchówkę. Może i wyglądała jak potomek ludzika Michelina i gigantycznej dżdżownicy, ale było jej ciepło w nery.

Do nielicznych plusów obecnego miejsca zatrudnienia należało zaliczyć to, że nie miała daleko na dworzec, wystarczyło tylko zejść po schodach. Zamykając za sobą drzwi na parterze, Żaneta zerknęła na parking pod Berlinkiem.

Siedziała tam, oczywiście. We wszystkich filmach podejrzani prześladowcy to zwykle faceci w czarnych płaszczach i ciemnych okularach. Ewentualnie w kapeluszach. Ale, jak wiadomo, życie to nie film, więc Żanetę od trzech miesięcy pracowicie śledziła emerytka w ręcznie dzierganym sweterku i wełnianej spódnicy, do tego jeżdżąca starym passatem. Na pewno bez porządnego ogrzewania. Jak ona to, kurna, wytrzymywała w taki ziąb?

Nawet Harry Potter miał porządnego Ponuraka. A Żaneta – odporną na

warunki pogodowe starszą panią robiącą na drutach!

Prychnęła wzgardliwie na swój tandetny los i przemknęła na dworzec. Dużo cieplej tam nie było, ale przynajmniej nie czuła już na plecach tego natarczywego spojrzenia.

Geriatryczny stalking podejrzenie zgrał się w czasie z początkiem pracy Żany w PS Business Consulting. Jeszcze nie odkryła, co robótkowa babcia ma wspólnego z Sabiną, ale na pewno coś je łączyło. Szefowa знаła wszystkich, poza tym, jeśli ktoś by Żanetę pytał o zdanie, Sabina była irracjonalna, nieprzewidywalna i szurnięta.

Nikogo by nie zdziwiło, gdyby okazało się, że behapówka wysyła podejrzone babinki, żeby pilnowały, czy pracownica, tak jak jej kontrakt nakazywał, zasuwa na uczelnię zdobywać wiedzę o ochronie środowiska, nie zważając na to, że jest listopad, zimno, a piątkowe zajęcia kończą się o dwudziestej pierwszej piętnaście.

Sobotnie natomiast ruszały o ósmej. Żaneta serio rozważała zabieranie ze sobą karimaty i kimanie na korytarzu. Albo w auli pod katedrą. Powstrzymywało ją tylko to, że władze uczelni oszczędzały i na noc wyłączały ogrzewanie. Na pierwszych wykładach w soboty i niedziele było tak zimno, że w nocy najprawdopodobniej w budynkach panowała epoka lodowcowa. A Żaneta nie była yeti.

Była – przynajmniej według Sabiny Piechoty, samozwańczej znawczyni potworów – dziadem borowym.

Zajebicie. Każdy chciałby mieć w przodkach autentycznego dziada, nie?

Żaneta po prostu o tym marzyła! Każda dziewczynka chce być księżniczką, jednorożcem albo chociaż strażakiem. Żaneta była dziadem. Wcale jej to nie dołowało. Wcale.

Okutana, jakby co najmniej z Kamińskim na biegun wyruszała, wsiadła do pociągu. PKP nie zawiodło, w trosce o pasażerów podkręciło grzanie do poziomu tropików i zanim dziewczyna znalazła wolne miejsce, już była cała mokra.

Po prostu super. Nie ma to jak zacząć studiujące popołudnie w stanie odwrotnej świeżości.

Rozpięła kurtkę, ułożyła torbę wypchaną zeszytem, podręcznikiem, legalnym i słusznym opakowaniem wafli ryżowych i pierniczkową kontrabandą na kolanach i przytuliła czoło do szyby. Przynajmniej wyraz twarzy miała tak zniechęcający, że nikt jej nawet nie zaczepiał. W uszy



wsadziła słuchawki, odpaliła muzykę w telefonie i smętnie zapatrzyła się w przesuwane się za oknem bure krajobrazy.

Przynajmniej w zimie nie załatywało, gdy pociąg przejeżdżał obok wysypiska w Gaci. Zawsze coś. Marne, ale coś.

– Przecież mogło być inaczej, niż jest – zaśpiewała pod nosem Żana do wtóru grającej w słuchawkach piosenki Sarsy.

Problem, a w zasadzie jeden z życiowych problemów Żanety polegał na tym, że to „inaczej niż jest” było do kitu. Marne dwa miesiące temu miała perspektywę kuratora, czterobrygadówki na Skarbimierzu i zapijania wspomnień o Pawle niebieskimi szotami.

A teraz kurator rozpląnął się jak złoty sen – Żana serio podejrzewała, że Sabina go zjadła, czterobrygadówkę zastąpiła miła posadka w biurze z nieograniczonym dostępem do słodyczy i mającym w oddali dyplomem uczelni, a z szotami mogła się bliżej zapoznawać tylko w weekendy niestudiujące. I, szczerze mówiąc, wcale tak bardzo nie żałowała, bo w weekendy studiujące dla odmiany wpatrywała się w miękkie loki Dawida Szarego i lepiej jej to wywiewało z głowy myśli o Pawle niż dowolne morze wódki, pierniczków i gadek Pati na temat tego, dlaczego batonik jest lepszy od faceta.

Tylko to poczucie „kurna, co ja tu właściwie robię?” zostało takie samo.

Pociąg raz-dwa zajechał do Wrocławia. Żaneta przesiadła się do tramwaju i ledwie dziewięćdziesiąt cztery minuty po wyjściu z pracy, akurat kiedy Kasia Cerekwicka śpiewała o tym, że nic nas nie złamie, bo mamy siedem żyć, dotarła na uczelnię.

Jako jedna z ostatnich weszła do auli i natychmiast pognęła na sam koniec, do bezpiecznego gniazda. Z niego dopiero rozejrzała się po sali. Trochę z ulgą, a trochę z rozczarowaniem stwierdziła, że ślicznego Dawida nie było. Dotąd nie opuścił żadnego zjazdu, co Żaneta oczywiście zauważyła. Musiałaby mieć inną orientację seksualną, żeby nie zauważyć.

Wobec braku obiektów powodujących rozproszenie estetyczne pozostawało jej się skupić i słuchać wykładów. Z gleboznawstwa, niestety.

Jakby los uznał, że ma za mało przewalone i należy jej jeszcze dokopać łopatką. Aluminiową.



Kinga Brodzińska miała piękne rude włosy, pięć lat doświadczenia w sprzedaży odkurzaczy, zaliczone dwie nieudane próby morderstwa półwiła, ambicje jak z Brzegu do Hanoweru i szczyła się tym, że umiała zachować kamienną twarz w każdych okolicznościach.

W myślach nazywała ją swoją „miną Mona Lizy”. Ćwiczyła przed lustrem prawie, aż niezależnie od tego, jak bardzo klient był denerwujący, natarczywy czy niechętny, spoglądać na niego z życzliwym, delikatnym uśmiechem, sprawiając wrażenie, że ów klient w pakiecie z odkurzaczem dostaje pięć minut całkowitego i absolutnego zrozumienia.

Miała podejrzenia, że na jej nową szefową, Ewę, ten bluff nie działa, ale tylko podejrzenia, pewności nie. Ewa, niezależnie od okoliczności, miała twarz, serce i nerwy nawet nie z żelaza, ale z tytanu. Adamantium. Wibranium.

Teraz właśnie z absolutnym spokojem przyjmowała informację o odwołaniu w ostatniej chwili zaplanowanego na jutro wesela, słuchała szlochów niedoszłej panny młodej, która w ogóle nie łapała, o co chodzi, dziwnych wykrętów rodziny pana młodego i zapewniała wszystkich, że oczywiście bardzo im współczuje i wszystko da się odwołać, ale jeśli chodzi o koszty...

Kinga zajęła się sporządzaniem listy osób do poinformowania i rezerwacji do odwołania, mając nadzieję, że udało jej się niczym nie zdradzić.

Kurde, wiedziała, że to jest zły pomysł. Wręcz fatalny. Powinna była być ostrożniejsza. Działać powoli. Pilnować, żeby interesy się nie mieszały. Ale kasa... Kasa była taka zarąbista, że stwierdziła „raz kozie śmierć”.

Liczyła tylko, że to nie ona będzie tą kozą.



W sobotę, o obrzydliwej godzinie siódmej dziesięć, stary passat stał na swoim stałym miejscu przed dworcem. Żaneta zwalczyła chęć pokazania starszej pani środkowego palca. Przyszło jej to tym łatwiej, że było okropnie zimno i naprawdę nie chciała wyjmować rąk z kieszeni.

Dworcowa poczekalnia pełna była ludzi, którzy naprawdę o tej godzinie woleliby być gdzie indziej. Najlepiej w ciepłym, zamkniętym pomieszczeniu i z pyszniętką gorącą kawą, taką z zawijaskiem z bitej śmietany i innymi

dotatkami za co najmniej dwie dychy. Kawusi i dodatków w pociągu nie było, ale za to grzejniki działały na full. Podróżni mieli zawsze saunę za darmo, ale jakoś nikt tego nie doceniał.

Na przemian zapacając się w pojazdach transportu masowego i marząc na krótkich odcinkach, które musiała przejść pieszo, Żaneta dotarła na uczelnię tylko po to, żeby stwierdzić, że pięknego Dawida nadal nie ma i nie będzie mogła łąpać w stronę jego szlachetnego profilu przez najbliższe dziesięć godzin.

Pech jak nic. Zagryzła go pierniczkiem i spróbowała skupić się na prawie wodnym. Niestety, o wiele bardziej zajmujący był los nieobecnego Dawida. Na wykładach w auli zawsze siedział po prawej stronie, na samej górze. Żaneta siadała z lewej. Czasami łąpała się na fantazjowaniu, że chłopak podchodzi do jej ławki, zajmuje miejsce obok i siedzą koło siebie, a między nimi aż szumi od naładowanej erotyzmem atmosfery.

W realu Dawid podszedł do niej raz. Zapytał, czy może się poczęstować pierniczkiem – akurat wsuwała te z białym lukrem i nadzieniem porzeczkowym i żeby nie ryzykować oplucia go okruszkami, mogła tylko podsunąć mu pudełko i pokiwać głową.

Poczęstował się, podziękował i wrócił na swoje miejsce. Jedyne, co w atmosferze pozostało, to aromat korzenny, którym najwyraźniej pachniała rozpacz Żanety.

Nosiła potem ze sobą te pierniczki na następne zjazdy, ale obiekt jej uczuć najwidoczniej nie podzielał jej miłości do słodczy, bo już o nie nie pytał. A Żaneta nie była jeszcze na tyle zdesperowana, żeby wrzeszczeć przez pół auli, czy on ma ochotę się poczęstować.

Jeszcze.

Wykłady dłużyły się niemiłosiernie, a pierniczki zdecydowanie kończyły się za szybko. Uczelniany barek oferował szeroki wybór batoników, ale Żaneta postanowiła dokonać racjonalnych wyborów żywieniowych i pochłonęła podwójną porcję pierogów odgrzewanych w mikrofalówce. Napchała się nimi na tyle, że przetrwała jakoś resztę wykładów bez ssania w żołądku, dzieląc uwagę między tematykę wód głębinowych i cyberstalkingowanie Dawida na Fejsie.

Nawet żadnego statusu o chorobie, wyjeździe, czymkolwiek nie zamieścił, Żaneta była zdegustowana. Jak tak w ogóle było można, w dzisiejszych czasach?

Uznała, że ma pełne prawo normalnie strzelić focha na świat, na życie, na księżyc w pełni, na pociąg, który jak raz był punktualny, i na obrzydliwie dłużącą się drogę z dworca do domu, przez Piastowską, park i już potem całkiem prosto Chrobrego na Oławską.

I na trzech typków, którzy nagle zastąpili jej drogę, kiedy przechodziła przez park Centralny. Zładowali ją między jedną latarnią a drugą, profesjonalnie, jeden od przodu, dwóch od flanki.

Jednemu to by może jeszcze przyłożyła, albo uciekła, ale trzech, większych od niej wykluczało raczej aktywny opór i biegi przełajowe i nie miało znaczenia, że tych trzech zakutanych w czarne kurtki, szaliki którejs z tych idiotycznych drużyn piłkarskich, kulących się przed zimnem i wiatrem...

Dwóch, dwóch się kuliło. Jeden niby trochę się garbił, ale wiatr go omijał, nie uderzał w niego, ale łagodnym łukiem umykał w bok. Parę tygodni temu nie zwróciłaby na coś takiego uwagi, ale teraz już wiedziała, że świat jest podłym miejscem pełnym potworów. Trzech łysych w parku w nocy to, kurczę, nie było wcale najgorsze, co mogło ją spotkać...

Nagle poczuła, że lada chwila wybuchnie histerycznym śmiechem, a wtedy cholera wie, co te ziomki zrobią. Była co prawda szansa, że się boją wariatów, ale mała...

Mierząc się z własnym wybuchem hysterii, Żaneta wyszarpnęła z kieszeni telefon. Kafary nie zdążyły się jeszcze nawet domagać zdania mienia i jeden z nich zarechotał głupio, najwyraźniej sądząc, że dziewczyna szcza w gacie ze strachu.

Właściwie nie myliłby się tak bardzo.

Żaneta kciukiem zdjęła blokadę i gorączkowo zaczęła przeglądać galerię.

– Co kurna... – jeden ze zbirów próbował jej wyrwać telefon, sądząc pewnie, że chce zadzwonić po gliny. Jasne, jakby była jakaś szansa, że przyjadą na czas.

Zanurkowała pod jego ramieniem i na szczęście znalazła to, czego szukała, bo drugi gość złapał ją za rękę. Żaneta nie próbowała mu się nawet wyrwać.

– Wiesz, kto to jest?! – wrzasnęła desperacko, podtykając mu pod nos wyświetlacz telefonu ze zdjęciem. Widniała na nim ona sama, lekko przytłoczona ogromem wszystkiego, w objęciach zachwyconej Sabiny. Selficzek na początek współpracy, tak go szefowa nazwała. Właśnie miał się przydać.

Zbir cofnął się o krok. Może jego kumple nie kojarzyli w czym rzecz, ale on wiedział, oj, wiedział.

– Pracuję dla niej – dodała Żaneta. – Wiesz, co ona zrobi, jeśli w poniedziałek nie przyjdę do pracy? Wiesz, co zrobi, jeśli rano nie kupię ciastek i ich jej zabraknie?

– Spadamy – oznajmił nienormalny. Jego kolega zaczął protestować, ale zarobił przez łeb i posłusznie potruczał w noc.

Żaneta wyłączyła komórkę, schowała ją do kieszeni i poszła do domu. Może trochę szybszym krokiem niż zwykle. I z mocnym postanowieniem, że na niedzielne wykłady też może mieć focha i nie pójść.



Sobotnie wieczory, zwłaszcza te listopadowe, cudownie uzupełniał dzbanek zielonej herbaty jaśminowej z odrobiną imbiru i świeżutki, dopiero co ściągnięty na czytnik kryminał. Piotr, prawie zawsze chętny do introspekcji, z pewnym zdziwieniem zauważył, że otarcie się o prawdziwą aferę kryminalną wcale nie zmieniło jego upodobań literackich. Dalej lubił poczytać o dzielnych detektywach wzbijających się na wyżyny dedukcyjno-intelektualne.

Oczywiście wyglądało na to, że każdemu z tychże dzielnych śledczych płci obojga przydałaby się naprawdę gruntowna psychoterapia i w zasadzie należało ich odsunąć od służby, a przynajmniej od dostępu do broni palnej, ale nikt nie był ideałem – Strzelecki wiedział o tym najlepiej.

Proces zaznajamiania się bliżej z kolejnym błyskotliwym prawie-że-alkoholikiem przerwał mu natarczywy dzwonek domofonu. Krótkie bzzz, długie bzzzzz, a potem jeszcze z dziesięć takich naprawdę krótkich i natarczywych brzęknięć.

Sabina.

Nacisnął przycisk otwierania bez podnoszenia słuchawki i czekał w uchylonych drzwiach.

Jego współpracowniczka rzadko kiedy chodziła – zwykle albo kroczyła zamasyście niczym Cruella De Mon, albo niemalże podskakiwała jak krwiożerczy myszokoczek.

Patrząc, jak Piechota przeskakuje po dwa stopnie, Strzelecki uznał, że tym

razem ma do czynienia z myszoskoczkiem, tyle że nie krwiożerczym. Raczej... nieszczęśliwym?

– Cześć – rzuciła pochmurnie Sabina, mijając go w drzwiach. W obu rękach niosła siatki wypchane słodyczami i na oko ze trzema butlami coli. Płaszczyk, z rodzaju tych „wyglądam jak milion i za miliony cierpię, marznąć” miała rozpięty, a szalik w barwach Hufflepuffu niedbale owinięty wokół szyi.

Na szaliku Piotr na chwilę się zawiesił. W pierwszym odruchu przyporządkowałaby Binkę raczej do Ślizgonów, ale... Nie, zdecydowanie Hufflepuff. Miłe, puchate, zębate.

– Fajny szalik.

– Ewcia była na targach ślubnych w Londynie – wyjaśniła Piechota, uroczyście składając obie siatki na stole w kuchni. – Przywiozła mi pamiątkę.

– O właśnie, nie miałaś dzisiaj jakiegoś babskiego spędu? – przypomniał sobie Piotr. Wspólniczka coś wspominała o tym, że Ewie wypadł wolny weekend z okazji czyjejś ucieczki sprzed ołtarza. Albo z wieczoru kawalerskiego czy panieńskiego. W każdym razie ślub został odwołany w ostatniej chwili i Piechota już zacierała ręce na spontaniczny babski wieczorek. Otworzył szafkę i wyciągnął największą miskę, tę, której używał tylko wtedy, kiedy miał fazę na hurtową produkcję sałatki jarzynowej albo kiedy trzeba było zażegnać kryzys cukrowy Sabiny.

– Ewa przyprowadziła swojego chomika – wypaliła jego współniczka, systematycznie drąc każde opakowanie i wysypując pierniczki, ciastka, wafelki i ptasie mleczko do podsuniętej michy. – Nie spodziewałam się, że będziemy sobie robić spędy z chomikami, i swojego nie zabrałam. Poza tym nie chcę łązić do knajp ze swoim chomikiem. Chomiki nie są od tego. Dziwnie się ogólnie z tym wszystkim czuję i musisz mi powiedzieć dlaczego.

Strzelecki, mimo lat doświadczenia, wciąż potrzebował chwili, by przełożyć sobie słowa Sabiny na język ogólnie zrozumiały.

– Nie możesz myśleć o Żanecie jak o chomiku – powiedział, krzyżując ramiona. Zaraz je gwałtownie rozplątał, przypominając sobie zasady mowy ciała. Żadnych barier! – To jest człowiek, no, nieczłowiek z o wiele bardziej kompleksowym zestawem potrzeb i zdolności intelektualnych niż chomik. Deprecjonujesz ją w ten sposób.

Piechota spojrzała na niego z bezbrzeżnym zdumieniem.

– Ale ja lubię chomiki! Są śliczne i takie miłusie i zawsze chciałam mieć

chomika. Ale babcia mi nie pozwalała. To znaczy, raz pozwoliła, ale go niechcący zjadłam i potem już miałam zakaz – dodała uczciwie.

Studia psychologiczne nie przygotowały Strzeleckiego do takich rozmów i sytuacji, ale lata pracy i przyjaźni z Sabiną już tak.

– Po prostu nie mów tego głośno, żeby przypadkiem nie usłyszała – zdecydował. – I żeby ktoś inny przypadkiem nie usłyszał. Możesz do mnie i do Ewy. Z kimś jeszcze o Żanecie rozmawiasz?

Piechota pokręciła głową.

– Tylko z kontrahentami, ale w relacjach służbowych nie ma miejsca na małe, puchate zwierzątka. No, chyba że myszki laboratoryjne. Albo szczury.

– To dobrze. – Piotr wrócił na swoje miejsce w fotelu i nalał sobie herbaty. – Niech tak zostanie. To teraz możemy porozmawiać o tym, jak dziwnie się poczułaś.

Jego współniczka zostawiła płaszcz i botki w przedpokoju, niewątpliwie ustawione tak równo, jakby na kafelkach była wyrysowana linijka. Usiadła po turecku na kanapie, układając sobie na podółku misę ze słodyczami. Naczynie było tak wielkie, że drobna Sabina prawie pod nim ginęła, wystawały tylko chude nóżki w dzinsach, stopy w pasiastych skarpetkach, szczupłe ramiona i główka jak od gotyckiej laleczki.

– Masz taki szlafrok jak Hannibal Lecter w serialu – oznajmiła. – Bardzo profesjonalnie. Czuję się z tym bardzo dobrze, jakbym trafiła do psychiatry, który mnie rozumie.

– Dostałem ten szlafrok od ciebie na urodziny – przypomniał sucho Piotr. – A serialu nie oglądałem.

– Możemy kupić, pani Zofia nam wrzuci w koszty – rzuciła zachęcająco Sabina.

– I niby jak go z BHP powiążesz?

– Z jakim BHP? To będą twoje koszty. Prawie jak książka o psychologii, tylko bardziej stylowo.

– Sabino...

– Piotrze...

Strzelecki wziął głęboki oddech, wygładził poły swojego psychopatycznego, jak się okazało, szlafroka i złożył dłonie w profesjonalną piramidkę.

– Porozmawiajmy o tym, co sprawia, że czujesz potrzebę zmiany tematu – zaproponował.

Sabina westchnęła, odgryzła pół pierniczka i połknęła go niemal bez przeżuwania. Zaraz sięgnęła po następnego.

– Czulaś się dziwnie, bo...? – zawiesił głos Piotr.

Piechota wzruszyła ramionami i wciągnęła wafelek. A potem drugi.

– Przebywanie w towarzystwie Ewy i jej asystentki sprawia, że czujesz się... – drażył psycholog.

Nie doczekał się odpowiedzi, ale delicje jagodowe zaczęły znikać w szybkim tempie.

– Relacja Ewy i Kingi jest dla ciebie...?

Pierniczki spotkała zagłada, a zaraz za nią nadeszła wafelkokalipsa.

– Kiedy patrzysz na Ewę i Kingę, to...?

Piechota twardo skupiała swoją całą niepodzielną uwagę na topniejącej górze słodkości.

– Czujesz się zazdrosna o to, że Ewa ma chomika i musisz się dzielić jej uwagą? – wyrzucił z siebie w końcu w desperacji Strzelecki.

Sabina prychnęła, aż okruszki na kanapę poleciały.

– No proszę cię, Ewcia i ja to jest wieczność – i na dobre, i na złe, i na Leśną Górę. Żaden chomik się tam nie wtrądzi.

– W takim razie, Sabino... – Piotr pochylił się lekko do przodu i wbił we współniczkę swoje najlepsze wytrenowane przesywające spojrzenie psychologa. – Jaki masz problem?

Jego współniczka spojrzała z głębokim żalem na dno wielkiej michy, jeszcze niedawno pełnej słodyczy. Przechyliła głowę na bok i spojrzała spod zmarszczonych lekko brwi. Wyglądała prawie jak ta kudłata dziewczynka z japońskiego horroru, tyle że miała mniej włosów na twarzy, dzięki czemu widać było bardzo dobrze mrugającą trzecią powiekę i szczękę rozdziawioną jak u jakiegoś boa dusiciela. Sabina energicznym pchnięciem wbiła żuchwę na miejsce i na próbę kilka razy spróbowała poruszać nią w zawiasach.

– Wiesz, Piotruś – odezwała się wreszcie tonem natchnionym – w zasadzie to problem jest chyba w tym, że ten chomik Ewci to pachnie tak samo apetycznie jak mój. Wiesz, ten pierwszy, co go niechcący zjadłam.

Strzelecki melancholijnie pomyślał, że jego szlafroczek Hannibala jest po prostu w punkt.





Sobotni wieczór był torturą, ale przynajmniej upewnił Kingę, że jest bezpieczna. Ewa nic nie podejrzewała. Co więcej, ta dziwaczna przyjaciółka szefowej też się nie kapnęła, że coś jest nie tak.

Ewa, chociaż zdecydowanie nie należała jej lekceważyć, była tylko człowiekiem. Sabina była nienormalna i miała... moce.

Kinga nie była do końca pewna jakie. Próbowwała na początku parę razy podpytać szefową, ale w temacie Sabiny Piechoty Ewa zachowywała bezwzględna lojalność i bezwzględne milczenie. Sabina była strzygą, to jedyne, co Kinga udało się ustalić.

Kinga nie była pewna, jakie nieludzkie możliwości i zdolności miał ten rodzaj nienormalnego, bo jej źródła były denerwująco skąpe w temacie. Ale przynajmniej po tym wieczorze mogła być pewna jednego: Sabina i jej podobni nie są w stanie wyczuć fałszu.



– Włóż czapkę, bo jak na ciebie patrzę, to mi zimno – zażądała Ludmiła Marciniak, przestępując z nogi na nogę.

Marysia Strzelecka tylko pokręciła głową. Wiatr już i tak rozwiewał jej włosy, a kiedy dodatkowo jeszcze się poruszała, sprawiała wrażenie rusałki czy driady, eterycznej i wiotkiej.

– W czapce nie da rady – oznajmiła radośnie. – Tłumi moją więź z naturą.

Ludmiła, która osobiście wspomnianą czapkę wykonała na drutach, prychnęła pod nosem. Żadnych tłumików tam nie wdziergiwała, a poza tym czapka była ekologiczna z drogiej jak diabli, prawdziwej wełny. Naturalna! Bliższą więź z naturą można było uzyskać tylko, zakładając sobie na łeb żywą owcę.

Marysi, artystce jednej, po prostu podobało się, że stoi sobie na tamie nad Jeziorem Nyskim, wiatr targa jej włosy (i odmraża uszy, tego Ludka była pewna), a po czubkach nagich palców (rękawiczki też okazały się niewłaściwym wyposażeniem okultystycznym) prześlizguje się moc.

Gdyby ktoś był na tyle zdesperowany, żeby w listopadzie o dwudziestej trzeciej piętnaście wybierać się na spacer w te okolice, zobaczyłby niezmierny błękit zlewający się z szarością, niebo łączące się z wodą, las niemal nikiący na horyzoncie i góry, góry tak piękne, że aż serce bolało,

zanurzone w chmurach i sprawiające wrażenie, jakby wyrastały z wody.

A Marysia, wiotka i drżąca, niemal lśniąca od mocy, która otaczała ją niczym hula-hoop z błędnych ogni, przemykała po wałach wokół jeziora na czubkach palców, tańcząc na tamie taniec nocy, radości i przyjaźni.

Ludka musiała przyznać, że widok był przepiękny. Zwłaszcza że była na tyle przewidująca, że wzięła sobie kocyk i termos z herbatą i teraz mogła sobie siąść na ławeczce bez obaw, że wilka złapie, i popijając gorący napój, czuć, jak w środku robi się jej ciepło, ciepłutko, przyjemnie. Jakby zimno i noc nagle zyskały ciepłą, złotą barwę i to złoto rozgrzewało, razem z kocykiem, z herbatą i widokiem tańczącej Marysi.

Strzelecka nagle zamarła w pół ruchu, z uniesioną dłonią, lekko przechylona, niczym jakaś rzeźba. Razem z nią zamarła wirująca moc – na chwilę tylko, bo nagle w tej szarobłękitnej otchłani coś się poruszyło.

– Patrz, obudził się! – zachwyciła się Marysia, klaszcząc w dłonie do rytmu rozstępujących się fal jeziora.

Ludka pokiwała głową, pogratulowała sobie w duchu, że zabrała dla nich obu odzież na zmianę, a grzanie w passaciku działało tip-top.

I też się zachwyciła.

Było czym.

## 2. Niedziela

Niedziela upłynęła Strzeleckiemu na jedzeniu z Sabiną słodkich panekjków na drugie śniadanie, towarzyszeniu Sabinie w wysiadywaniu w samochodzie pod blokiem Majewskiego, degustacji wraz z Sabiną osiemnastu rodzajów ciast i przekonywaniu Sabiny, że wychylanie się z okna stojącego na środku osiedla samochodu z lornetką szpiegowską w dłoni to zły pomysł nawet po zmroku.

Po takim dniu czuł się spełniony jako coach, przyjaciel, wspólnik i jednoosobowa grupa wsparcia dla nieanonimowych strzyg, a przy okazji miał miłą pewność, że zagrożenie życia Kingi, asystentki Ewy, zostało chwilowo zażegnane za pomocą hurtowych ilości cukru. Co prawda miał również poczucie, że po to między innymi zatrudnili chomi... Żanetę, żeby Sabina miała towarzystwo łamane przez nadzór podczas swoich eskapad. Żaneta akurat w ten weekend ugięła jednak plecy pod ciężkim jarzmem wyższej edukacji, a Piotr ostatecznie mógł sobie kupić kryminał w audiobooku i słuchać go dosłownie jednym uchem, a konkretnie na jednej słuchawce, podczas gdy Binka w upojeniu wgapiła się w okna Majewskiego, prawie zapominając z wrażenia o przygryzaniu trzymanego w zębach eklerka.

Niemniej Piotr z pewną ulgą odstawił Sabinę wieczorem na Wileńską, gdzie mieszkała, a sam wrócił do siebie, przebrał się i wyruszył na nocną przebieżkę. Niestety, wciąż nie czuł się zbyt pewnie, biegając w bezpośredniej bliskości ulic, i wybierał raczej ścieżki w parku, ale nie zamierzał pozwolić na to, bo lęk dyktował mu wybory życiowe. Chciał wyjść poza strefę komfortu, nawet jeśli to sam się musiał niemal przemocą z niej wyciągać.

Przebiegł dziesięć kilometrów, pozdrowił machnięciem dłoni kilku znajomych biegaczy i wrócił do domu cały, w jednym kawałku i bez dodatkowych osikowych elementów w ciele. Mógł śmiało uznać, że dzień był sukcesem.

Ledwo wszedł do mieszkania, zadzwonił domofon. O tej porze nie spodziewałby się nikogo poza Sabiną, ale dzwonek zabrzmiał zbyt krótko

i stanowczo jak na nią.

Piotr miał ochotę natręta zignorować. Było już po dwudziestej pierwszej, następnego dnia przed południem miał sesję z naprawdę trudnym klientem, a poza tym właśnie wrócił z wieczornego biegu i musiał sobie wyciągnąć pancerz spod koszulki termicznej.

Biegał dalej twardo wieczorami, w ramach walki z samym sobą i traumą. Ale już nie do Brzeziny – tamtą drogę pokonywał tylko autem. A gdy wybierał się na przebieżkę do parku, to zawsze miał na sobie pancerz przeciwkołkowy, który skombinowała mu skądś Sabina. Nie pytała o nic i nic nie skomentowała, i dobrze, bo nie chciał o tym z nikim rozmawiać. To była tylko i wyłącznie jego sprawa.

Doskonale zdawał sobie sprawę, że powinna to być sprawa jego i osobistego terapeuty, ale jedyną osobą świadczącą pomoc psychologiczną nienormatywnym był on sam. A nie wyobrażał sobie, że mógłby pójść do kogoś normatywnego. Żaden terapeuta nie zacząłby pracy z kimś, kto zaczyna od „dzień dobry, jestem inkubem i zaatakowała mnie kołkiem dziewczyna, która myślała, że uwiodłem jej chłopaka; teoretycznie miała trochę racji, ale wcale nie chciałem go uwodzić, tylko wyciągnąć informacje na temat mordercy nienormatywnych; a tym kołkiem proszę się nie przejmować, w serce dostałem, ale mnie nie tak łatwo zabić”.

– Słucham – rzucił możliwie nieprzyjaznym tonem w słuchawkę domofonu.

– Ewa – przedstawił się natręt. – Wpuść mnie, musimy pogadać.

Piotr otworzył drzwi klatki schodowej. Nie był pewien, czy bardziej jest poirytowany późnowieczorną wizytą, zdziwiony, że Ewa Ewent w ogóle się u niego pokazuje, czy zainteresowany tym, co ją sprowadza.

Z przyjaciółką Sabiny łączyły go luźne stosunki towarzyskie – spotykali się czy może raczej mijali przy rozmaitych okazjach, a aktualnie prowadził terapię resocjalizacyjną jej nowej asystentki, Kingi, niedoszłej morderczyni i rekina sprzedaży bezpośredniej. No i prawdopodobnie czekała go wizyta na siłowni z jej siostrą, Agnieszką. Ewa i Piotr krążyli po tym samym układzie koleżeńsko-rodzinnym, ale na różnych orbitach – a właściwie to oboje orbitowali wokół jednej planety – Binki. On sam był u Ryńskiej w domu raz i to tylko ze względu na Piechotę. Ewa nie odwiedziła go nigdy, aż do teraz.

Otworzył drzwi, kiedy usłyszał stukot jej szpilek na korytarzu. Ewa jak zwykle wyglądała, jakby wyszła z katalogu mody albo reklamy. Elegancka,

nieskazitelna i bez nawet najmniejszej plamki błota na butach. Jasne włosy zaplecione w luźny warkocz opadały na błękitny płaszcz. Nawet w nieprzyjaznym świetle żarówek z klatki schodowej Ewa Ewent była barwna i piękna, jak jedna z tych południowoamerykańskich kolorowych żabek, których pocałowanie kończyło się halucynacjami i śmiercią.

– Cześć – rzuciła, wchodząc do mieszkania. Zdjęła płaszcz, zarzuciła go na wieszak i nieproszona przeszła do salonu. Piotrkowi nie pozostało nic innego, jak pójść za nią, chociaż czuł się zdecydowanie nie na miejscu – dalej w dresie, spocony po biegu i z przyklepanymi przez sportową czapeczkę włosami.

– Napijesz się herbaty? – zapytał.

– Chętnie, ale to może za chwilę. Czy Sabina będzie musiała zagryźć Kingę? – zapytała rzeczowo Ewa.

– Co? – Piotrek potknął się z wrażenia o własne nogi i prawie wyrznął głową we framugę.

– Chciałabym wiedzieć wcześniej – ciągnęła nieustępliwie blondynka. – Raz, że bez asystentki już się nie obejdę, musiałabym zacząć szukać nowej, dwa, trzeba by to jakoś zręcznie zaaranżować, trzy, lepiej chyba by było, żeby Aga się nie dowiedziała...

– Wiesz, że Sabina chce zjeść twojego... twoją...

– Mojego chomika. Oczywiście, że wiem. Jestem jej najlepszą przyjaciółką, wiem wszystko – prychnęła wzgardliwie pod adresem jego niedomyślności i zaczęła rozglądać się po pokoju, jakby przyjechała do Strzeleckiego zmieniać wystrój wnętrza, a nie gadać o ewentualnym końcu swojej asystentki w zębach Sabiny Piechoty.

– I nie masz nic przeciwko? – Już zadając pytanie, zdał sobie sprawę, że jest bez sensu. Sabina zrobiłaby dla Ewy wszystko, Ewa dla Sabiny również. O ile było mu wiadomo, Ewent wspólnie z Piechotą niejedne zwłoki gdzieś w rowie zakopała. Czym było wobec takiej wspólnoty doświadczeń poświęcenie jednej asystentki?

– Będzie mi trochę niewygodnie, zanim sobie wszystkiego nie przeorganizuję, ale proszę cię, chomik albo dobre samopoczucie Sabiny? – Wzruszyła ramionami. – Binka forever.

Strzelecki wziął głęboki oddech. To jest to, powiedział sobie w myślach. Po to pięć lat studiowałeś, żeby rozmawiać o potencjalnym kanibalizmie swojej współpracownicy z jej najlepszą przyjaciółką. A jak będziesz miał chwilę,

to zajrzysz do netu i sprawdzisz, czy jak się jest nieczłowiekiem i zjada się ludzi, to to jest dalej kanibalizm czy tylko zwykłe drapieżnictwo.

– Omówiliśmy temat bardzo dogłębnie wczoraj i dziś i chociaż oczywiście nie mogę zdradzić ci szczegółów, to sądzę, że samokontrola Sabiny działa bez zarzutu.

– Napchałeś ją ciastkami i liczysz na to, że to wystarczy – zgadła Ewa. Westchnęła ostentacyjnie i zamokła z dezaprobatą. – Idź, weź prysznic i zrzuć z siebie te cichy, bo – bez urazy – ale jedziesz potem. Zrobię herbatę i pogadamy, bo jest o czym.



Po dziesięciu minutach Strzelecki wrócił do salonu przyodziały we flanelową piżamę i szlafrok Hannibala. Mógł włożyć cokolwiek innego, ale uznał, że pał licho, skoro już mieli rozmawiać na takie tematy, to przynajmniej mogło mu być ciepło i wygodnie. Poza tym dobrze wiedział, że Ewent nie zrozumie wyboru stroju opacznie.

Ewa stała przy blacie w aneksie kuchennym i parzyła herbatę w dzbanku. Na widok Piotra uniosła jedną brew.

– Binka ci kupiła?

Pokiwał głową.

– Obejrzyj sobie serial – zachęciła. – Jest bardzo... psychoterapeutyczny. I cudownie estetyczny. Jeśli kiedykolwiek mi odbije i wyjdę za mąż, to urządzę przyjęcie w klimacie Hannibala.

– A jako główną atrakcję będziesz miała Binkę pożerającą Kingę? – spytał z zainteresowaniem Piotr, sięgając po swoje ulubione filiżanki – porcelanowe z tradycyjnym wzorem opolskim.

– Binka jest za dosłowna na estetykę Hannibala – przyznała z westchnieniem Ewa. – Ale do tego dojdziemy. Siadaj. – Wskazała mu jego własną kanapę.

Piotrek posłusznie usiadł. Filiżanki postawił na stoliku. Kobieta przyniosła z kuchni podkładkę z korka i dzbanek z herbatą. W pokoju zapachniało jaśminem.

– Co wiesz o strzygach? – zaczęła Ewa, siadając naprzeciw niego.

Piotrek zamrugał gwałtownie, zdziwiony pytaniem. Wiedział całkiem dużo

o jednej konkretnej strzydze, ale czy Sabina była typowa...

– Duże zęby, duże szpony, znaczna siła fizyczna, wyjątkowo wyczułone na dźwięki, słaba kontrola nad impulsami, większość nienormalnych się ich boi... – zaczął wyliczać.

– A wiesz, skąd się biorą prawdziwe strzygi?

Odchrząknął.

– Wiem, skąd się dzieci biorą – zauważył z przekąsem.

– Postać larwalna – poprawiła beznamiętnie Ewa. – Tak to można określić. Sabina to poczwarka. Strzyga, ale jeszcze żyjąca. Prawdziwa strzyga to nieumarła, która wstała z grobu. A wiesz, gdzie się groby kopie?

– Na cmentarzu? – zgadł uprzejmie Piotrek. Lubił cmentarze, miał tam kilku naprawdę sympatycznych klientów. Strzyg dotąd nie miał przyjemności tam spotykać.

– W ziemi. Kojarzysz temat, cztery żywioły, równowaga, kosmiczny ład, takie tam hippiezdurki. Tyle że generalnie to jest prawda i ziemia traci równowagę – dodała z niesmakiem, jakby ten fakt stanowił dla niej osobisty afront.

– Słusznie przyjmuję, że idea ładów i żywiołów budzi w tobie negatywne emocje? – zapytał uprzejmie Piotr, nalewając herbaty do filiżanek.

– Bałagan budzi we mnie negatywne emocje – doprecyzowała Ewa. – Cała ta hippisowska teoria jest prosta w założeniach, ale fatalnie zorganizowana. Zmarnowany potencjał, zero odpowiedzialności i wyjątkowo nietrwałe nośniki informacji. Binka by jeszcze powiedziała, że to wszystko jest strasznie niehigieniczne i potencjalnie zagrażające życiu. Ci kultuści to w ogóle nie wiedzą, co robią, zerowe pojęcie o organizacji czegokolwiek. Ja bym na ich miejscu zrobiła to wszystko o wiele porządniej...

– Myślałaś o dołączeniu do jakiegoś kultu? – podpowiedział uprzejmie Piotrek i zaraz pożałował. Gdyby Ewa faktycznie dołączyła do jakiejś sekty, to tylko po to, żeby nią kierować i opanować świat. Z Binką przy boku. W zasadzie lepiej jej było chyba takich pomysłów nie podsuwać...

Spojrzała na niego zimno.

– Organizuję wesela. Uroczystości rodzinne na trzysta osób, które widzą się raz do roku, ale pamiętają, kto w siedemdziesiątym szóstym zbił talerz od kompletu ślubnego prababci, kto sfrajerował zyrantów w dziewięćdziesiątym ósmym i komu kuzynka obiecała wkład mieszkaniowy. Przedwieczny to niech się przy czymś takim schowa. Poza tym – dodała – Binka kiedyś

znalazła rytuał przyzywania istot przedwiecznych i spróbowałyśmy.

– I? – zapytał delikatnie Piotr.

Ewa wzruszyła ramionami.

– Próbował mnie zjeść, Binka mu przywaliła rytualnym świecznikiem przez łeb. Dobrze, że mi akurat fundamenty wylewali, bo saperką tobyśmy skurczybyka tydzień zakopywały i jeszcze by się truchło zaśmierdło. Ale nie będziemy rozmawiać o tym, co robiłyśmy w technikum, tylko o równowadze w przyrodzie. Coś jest nie tak, i to może być problem dla Binki – oznajmiła ponuro Ewa. – Żywioł ziemi nawala.

Piotrek zmarszczył czoło. Ziemia, cementarz, strzygi... to wymagało głębszych przemyśleń. Poza Binką...

– Babcia Binki wstanie z grobu i zacznie zżerać organistów? – przestraszył się gwałtownie, przypomniawszy sobie, co współpracowniczka opowiadała o starej Piechotowej, niech jej ziemia jak najcięższą będzie.

– Babcia Binki się nie musisz przejmować – uspokoiła go Ewa, wystudiowanym gestem podnosząc filiżankę z herbatą do ust. – Nią się już zajęli fachowcy, z grobu nie wstanie, chyba że jej ktoś pomoże.

Piotr wziął głęboki oddech, spojrzał na blondynkę tak, jak starał się patrzeć na swoich klientów: z pełną otwartością, uwagą i bez osądów. Odpowiedziało mu absolutnie zimne i pozbawione emocji spojrzenie pięknych, błękitnych oczu.

– Sabina wie? – zapytał delikatnie.

– Nie. Na pogrzebie miała inne sprawy na głowie, nie chciałam jej przeszkadzać, a potem nie było jakoś okazji.

Strzeleckiemu trudno było w to uwierzyć. Ewa i Sabina żyły w przyjaźni tak wielkiej, że przypominała symbiozę. Okazji było na pewno milion, ale z jakichś powodów Ewa postanowiła zataić wydarzenia przed przyjaciółką. To też było dość zaskakujące: aż do tego wieczora Piotr dałby sobie rękę uciąć, że nie miały przed sobą żadnych tajemnic.

Coś z tego niedowierzania musiało się odmalować na jego twarzy, bo Ewa uniosła delikatnie jedną brew, a potem nagle wypaliła:

– Było mi wygodniej jej nie mówić, bo w ten sposób nie wtrącała się w moje... powiedzmy... kontakty z osobą, która zaspawała trumnę.

– To chyba pierwszy raz, kiedy było ci wygodniej, żeby Sabina się w coś nie wtrącała – powiedział absolutnie szczerze i nieironicznie Piotr.

– Tak było bezpieczniej dla niej. Ale to było, minęło. Teraz są inne



problemy i z Binką może być niedobrze.

– Tak, zje ci chomika – wrócił do tematu trochę oszołomiony Strzelecki. Roztrząsanie potencjalnego kanibalizmu sprawiało, że przynajmniej wiedział, na czym stoi. Informacja o tym, że Ewa zataiła coś przed przyjaciółką, podważała podwaliny jego światopoglądu i nie życzył sobie o tym rozmawiać.

– Raczej zje mojego chomika i ruszy w miasto, siejąc masakrę, zagładę i zniszczenie – doprecyzowała Ewa. – I trzeba będzie pilnować, żeby jej ktoś przypadkiem łba nie urznął.

– I ludzi przed nią chronić... – wszedł jej w słowo Piotr.

– Ludzi chroń sobie sam, ja będę pilnować Binki – oznajmiła stanowczo Ewa. – Ale może najpierw pokombinujemy, co zrobić, żeby nam poczwarka strzygi w miasto nie poszła.

– Właśnie! – wrócił do tematu Piotr. – Mówiłaś o żywiołach...

– Woda, ogień, powietrze, ziemia. Zgodnie z jedną z tych idiotycznych teorii, która prawdopodobnie jest, niestety, prawdziwa, żywioły muszą pozostawać w równowadze. To jest założenie pierwsze. Założenie drugie to takie, że każdy byt jest przypisany do określonego żywiołu, w przypadku nienormatywnych... bardziej. Jakby ktoś was markerem niezmywalnym podpisał. Strzygi to ziemia. Południce powietrze. Inkuby ogień.

Piotr skrzywił się mimowolnie. W sumie całkiem niedawno dokonał wreszcie coming outu i przestał ukrywać, jakim nienormatywnym jest, ale wciąż nie czuł się najlepiej z tym, że inni wiedzieli. I może jeszcze czynili jakieś asumpcje... No, Ewa nie. Ona prawdopodobnie poznała jego tajemnicę już dawno, dawno temu. Może od Sabiny, może sama zgadła... W każdym razie na pewno wiedziała o nim tyle, że jest w swojej nienormatywności... trochę nienormatywny.

– Nie wiem, czy czuję się komfortowo z faktem, że jestem utożsamiany z żywiołem ognia... – zwierzył się, wierząc się nerwowo na swoim fotelu. – To takie... niestabilne. Nie lubię płomieni.

– Wyluzuj, oboje wiemy, że wygasileś je sobie na maksa już wieki temu – uspokoila go dość brutalnie Ewa. – Poza tym z powietrzem nie ma problemu. Jest z ziemią. W piątek mi klienci sobotni ślub i wesele odwołali. To były wilkołaki. To znaczy, on jest wilkołakiem, laska jest normatywna, a datę ślubu sobie wyznaczyli na weekend z pełnią. Ostre zaćmienie umysłowe, ale cóż, ich problem. Posrebrzane girlandy miałam, jakby trzeba było salę

balową odgradzać, kagańce dla wujków pana młodego też. Rzecz jasna nieoficjalnie, bo mi się nikt nie przyznał, że są nienormalni.

– A jesteś pewna, że są? – zapytał Piotr.

Ponownie zmroziło go spojrzenie błękitnych oczu.

– Umiem rozpoznać. Wracając do tematu: wilkowi młodemu coś zaczęło odbijać. Nie wiem co dokładnie, ale rodzina go zamknęła w piwnicy, a narzeczonej powiedzieli, że zwiął. Idioci. Ale jego młodszy brat coś się jej wygadał i teraz nie dość że mają w piwnicy wściekłą bestię, to pod domem koczuje niedoszła panna młoda, przekonana, że zataili przed nią chorobę psychiczną i podstępnie wywieźli jej niedoszłego męża na leczenie zamknięte. Jakby tego cyrku było mało, to od piątku trwa zabawa z odwoływaniem wszystkiego, zaliczkami i zadatkami. Siedzę w samym środku tej karuzeli i choćby nie wiem, jak wszyscy starali się przede mną z niczym nie wygadać, to się zwyczajnie nie da. – Uśmiechnęła się z satysfakcją.

– Lubisz odwoływanie ślubów? – zapytał uprzejmie Piotr, dla uspokojenia lekko napiętych nerwów wchodzący odruchowo w znajomą rolę coacha. Nie pasował mu ten ogień...

– Nie, lubię szybkie rozwody – przyznała rzeczowo Ewa. – Wiesz, im więcej potencjalnych współmałżonków na rynku, tym lepiej dla mojej firmy. Małżeństwa krótkie i wielokrotne mają większy potencjał biznesowy, Kinga mi nawet wykresy na ten temat zrobiła. Oczywiście nie pokazujemy ich klientom, w każdym razie nie przy pierwszym przyjęciu. Ale ja naprawdę nie potrzebuję oczyszczającej rozmowy o moich emocjach, celach i całej tej reszcie. Potrzebuję pomocy w pilnowaniu Binki.

– Ale co ma Sabina do odwołanego ślubu wilkołaków?

– W zeszły weekend zrobili sobie kawalerski. Pod Brzegiem, w lasach koło Lubszy. Połączenie jakiejś gonitwy watahy z paintballem, czy coś takiego. I od tamtego wypadu młody zaczął zachowywać się dziwnie. Jakby mu się klepki pomieszały. A jeden z tych starszych wilków gadał potem jego ojcu, że ziemia mu tam źle pachniała i to wariactwo to oznaka tego, że coś jest z żywiołem nie tak. Do tego wczoraj Sabina niezupełnie była sobą. Zwłaszcza przy Kindze.

– To, że jakiś wilkołak zwariował w Lubszy, nie oznacza, że z Sabiną będzie źle. A tego, że miała ochotę kogoś zamordować, w ogóle nie ma co brać pod uwagę, cukier mógł jej spaść. To za mało informacji, żeby

wysnuwać z tego jakieś wnioski – zaprotestował Piotr. Nie widział związku między jednym i drugim i ze wszystkich sił starał się być głosem rozsądku.

Ewie coś błysnęło w oku.

– Dokładnie – zgodziła się natychmiast. – Dlatego, jako dobrzy przyjaciele, musimy się upewnić, że Bince nic nie grozi.

Strzelecki zastanowił się głęboko. Z jednej strony cała ta historia i pomysł, że jakiś grunt pod Lubszą, nieważne jak szkodliwy, miałby mieć jakiś paranormalny wpływ na Sabinę, wydawały mu się mocno naciągane i mało prawdopodobne. Z drugiej strony – on był półinkubem, Sabinka strzygą, a Ewa – jak się okazało – miała w fundamentach przedwiecznego. Z trzeciej – jego współpracownica była drugą kobietą jego życia, zaraz po matce. Z czwartej – prewencja to podstawa, Piechota mu to zawsze powtarzała...

– Faktycznie lepiej byłoby się sprawą zainteresować – oznajmił w końcu. – Tylko nie bardzo wiem, od czego zacząć...

– Tym się nie przejmuj – powiedziała natychmiast Ewa. Z torebki wyciągnęła tablet w skórzanym, kobaltowym etui i odpaliła aplikację. – Mam już wszystko rozplanowane. Punkt pierwszy: mieć Binkę na oku. Ty w pracy, ja poza. Punkt drugi: ustalić, gdzie jest ta skażona ziemia. To zrobimy dwutorowo, ja przez swoje kontakty, a ty uruchomisz tego policjanta z Opola.

– Myślisz, że Wilczek zna te wilkołaki z Wrocławia?

– Jak nie zna, to pozna – zbyła wątpliwość Ewa. – Swój swego i tak dalej. Zaraz ci wyślę na Messengerze nazwisko i link do profilu na Facebooku, będziesz mu mógł przekazać. Punkt trzeci: ustalić, czy faktycznie zachwianie żywiołów będzie miało negatywny wpływ na Binkę. To twoja działka.

– Ale jak ja mam to zrobić? – Piotr, jeśli tylko miał jakieś wątpliwości dotyczące nienormalnych, pytał Sabinę. Ona zawsze albo znała odpowiedź, albo wiedziała, kto może pomóc. Próba uzyskania informacji bez jej udziału wydawała mu się koszmarnie trudna.

– Zapytaj swojej mamy.

– Słucham?

– No jak to, nie sądziłeś chyba, że twoja matka zioła zupełnie przypadkiem pali z takimi efektami? I z głupia frant jej te rytuały tak dobrze wychodzą?

– Sądziłem – powiedział słabo Piotr. Cieszył się, że siedzi i że ma taką miękką, przytulną kanapę obejmującą nieczłowieka właśnie wtedy, gdy wywraca mu się porządek świata i grunt ucieka spod stóp i sempiterny.

– To ktoś cię musiał wreszcie uświadomić – zauważyła Ewa. Nachyliła się nad stołem i dołała mu herbaty. – Tylko się nie udław – ostrzegła, kiedy złapał filiżankę i nerwowo wyzłopał od razu pół kubka. – Na początku myślałam, że matka ci powie, albo ewentualnie Binka, ale one chyba postanowiły uszanować twoją wolę i wyparcie.

– Wyparcie to jest mój ulubiony mechanizm psychologiczny – przyznał roztrzęsiony Piotr.

– Spokojnie, dojdziemy, co jest grane, to będziesz sobie mógł dalej wypierać – zapewniła go blondynka. – Binka na pewno ma coś modyfikującego pamięć, a jeśli nie ma, to wie, skąd to wziąć. Ale na razie przestań wypierać i przyjmij do wiadomości, że twoja matka jest czymś w stylu lokalnej... szamanki. Tak, to chyba najlepsze określenie, wiedźma i czarownica nie pasują. I jako ta szamanka na pewno babrze się w równowadze w przyrodzie, żywiołach i całej reszcie. Będzie wiedziała, czy coś jest nie tak albo jak to ewentualnie wykryć. Może nawet co z tym zrobić.

– Będę musiał porozmawiać z matką – uświadomił sobie z przerażeniem Strzelecki.

– Dokładnie. A jak już skończycie z tematem sekretów rodzinnych, to nie zapomnij o te żywioły zapytać – przypomniała z naciskiem Ewa. – Przetraw sobie to wszystko, ja wracam do domu. I pilnuj jutro Binki, daj znać, gdyby coś było nie tak.

Wstała, a Piotr poderwał się na nogi, otrząsając się, jakby chciał z siebie strzepnąć szok.

– A jeśli zauważę, że z Sabiną dzieje się coś nie tak?

– Trzymaj ją z dala od tłumów z pochodniami i kosami. Ewentualnie podsuń jej kogoś, to się nią zajmie i zostanie z nią w jednym miejscu.

Strzelecki znieruchomiał i spojrzał na nią z ukosa. Do tej pory był zdania, że przyjaciółka Sabiny jest zorganizowana, stanowcza, konsekwentna i nieustępliwa. Te wszystkie cechy zaczynały trochę przerażać, gdy uzupełniło się je o „pozbawiona sumienia” i „bezwzględna”.

– Jakim cudem policja jeszcze nie szuka seryjnej morderczyni-psychopatki w okolicach Brzegu? – zapytał.

Ewa spojrzała na niego z politowaniem.

– Nie potrzebuję nikogo mordować. Mam Binke.

– To naprawdę wiele wyjaśnia – przyznał Piotr.

Prychnęła tylko i zdjęła płaszcz z wieszaka w przedpokoju. Zawahała się

z dłonią na klamce drzwi wyjściowych.

– Coś mi się tak kojarzy, że ludzi w szoku nie powinno się zostawiać samych – rzuciła. – Przyzwoitość chyba wymaga, żebym zapytała, czy przypadkiem nie potrzebujesz towarzystwa. Ze wsparciem emocjonalnym raczej sobie nie radzę za dobrze, ale mogę zadzwonić po siostrę...

– Nie, nie trzeba – zapewnił ją pospiesznie Piotr. Tylko Agnieszki tu jeszcze brakowało, zaraz by się okazało, że młoda też ma jakieś tajemnice albo, o zgrozo, wie coś o ośrodku jego matki. Policjanci tam na turnusy jeździli... – Muszę to sobie w spokoju przemyśleć i poukładać w głowie – rzekł stanowczo. – Nie musisz się mną przejmować. Herbaty sobie zrobię, świeczki zapalę... – Urwał.

Ewa rzuciła mu tylko ostatni, ironiczny uśmiech i wyszła, stukając szpilem na klatce schodowej.

Piotr został sam, w towarzystwie kilkudziesięciu lawendowych świeczek i zdecydowanie za dużej ilości zapalek.

### 3. Poniedziałek

Pół nocy zajęło Piotrowi analizowanie sytuacji, własnych uczuć z nią związanych i wyjście ze strefy komfortu. O godzinie drugiej poddał się i zapalił lawendowe świece, chociaż aktualnie źle mu się kojarzyły. Nie chciał być ogniem. Jeśli już, to bardziej czuł się wodą, ale w żadnym razie strumieniem czy rzeką. Małym, leśnym jeziorkiem bez żadnych prądów i drapieżnych rybek, obrośniętym krzakami lawendy. Nie był pewien, czy lawenda rośnie nad leśnymi jeziorkami, ale to w końcu była jego wizualizacja i jeśli chciał sobie medytować nad leśną lawendą, to mógł!

Okolo trzeciej nad ranem był tym wszystkim tak zmęczony, że po prostu padł nosem w kanapę i zasnął wtulony w kartkę, na której próbował dokonać rewaluacji swojego koła życia. Zawsze ten kawałek z hasłem „rodzina” oceniał na dziewięćdziesiąt procent, dziesięć odejmując za własną nieszczerość. Nie był pewien, ile powinien odjąć za nieszczerość własnej matki. A może nie odejmować, tylko przeciwnie, uznać, że jedno omijanie prawdy z drugim się zeruje i w sumie wychodzą jednak na sto procent, i wszystko jest okej?

Pobudka po tak spędzonej nocy była bolesna, ale lodowaty prysznic czynił cuda. Przede wszystkim stojąc w takim zimnie, Piotr mógł myśleć tylko o tym, żeby jak najszybciej wyjść spod tego strumienia wody. Nieczłowiek naprawdę nabierał zupełnie innej perspektywy, gdy najważniejszą rzeczą na całym świecie stawał się ciepły ręcznik.

Po porannej toalecie Piotr był zziębnięty i wewnętrznie poukładany. Był jak stabilny, zamrożony staw... albo jezioro! Pomyślał, że mógłby któregoś wieczora pojechać do Nysy i pobiegać nad jeziorem. Tylko on, noc, góry w tle, zamrożona błękitna tafla i pewnie kilku hardkorowych pijaczków, których nawet późnojesienna aura nie odstraszała. To był bardzo dobry plan. Najpierw zadzwoni do Wilczka. Potem pójdzie do biura i będzie miał oko na Sabinę. Wieczorem wybierze się do Brzeziny do matki. Musi tylko pamiętać, żeby zabrać dres i pancerz przeciwkołkowy, bo z Brzeziny od razu pojedzie do Nysy uspokoić zszargane nerwy. Obiegnie jezioro może nawet dookoła, co to jest, jakieś dziesięć czy czterdzieści kilometrów, akurat się uspokoi

i wróci na szóstą rano do Brzegu wziąć prysznic i dalej pilnować Sabiny.

Zdecydowanie, Piotr Strzelecki był zziębniętym do szpiku kości, stabilnym nieczłowiekiem z planem. Zaparzył herbatę z imbirem, goździkami i plasterkiem pomarańczy i wybrał numer Kacpra Wilczka, policjanta z zawodu, wilkołaka z urodzenia, a poza tym całkiem sympatycznego faceta.

– Cały jesteś? – usłyszał zamiast przywitania.

– Co? – osłupiał Piotr. – Tak, cały, dziękuję za troskę, ale jaki miałbym być?

– A cholera was tam w tym Brzegu wie – stwierdził umiarkowanie życzliwym tonem policjant. – Ostatnio cię zakołkowali, potem łapaliśmy twoją morderczynię, a potem się nie odzywałeś przez dwa miesiące.

– Sorry, uznałem, że nie ma co ci głowy zawracać...

– Żeby ta twoja Sabina też tak myślała – westchnął ciężko Wilczek. – I ta mała Ryńska. Serio, chłopie, tylko ty mi tej głowy nie zawracałeś aż do teraz, więc pozwól, że ponowię pytanie: kołkiem przypadkiem nie dostałeś?

– Nie, jestem cały i zdrowy – zapewnił go Piotr. – Ale... no cóż, też chciałbym ci głowę pozawracać.

– Załatwiasz mi miejsce na następnym „Weekendzie relaksacji dla przedstawicieli zawodów zagrożonych stresem” w ośrodku twojej matki i jesteśmy kwita – oznajmił natychmiast Kacper. – A jak jeszcze ją namówisz, żeby udawała, że mnie zna, lubi, no, że koneksje mam, to będę ci jeszcze ja wielką przysługę wisiął.

– Chcesz przyjechać do Brzeziny na weekend z bębnami, medytacją i poranną jogą? – zdziwił się Strzelecki. Wilczek nie sprawiał na nim wrażenia specjalnie uduchowionego i pewnie w życiu nie słyszał o kuchni pięciu przemian, a tak Marysia Strzelecka aktualnie karmiła swoich, jak ich czule nazywała, relaksantów.

– Chcę się poobracać w kręgach władzy policyjnej i wyrobić sobie znajomości, które mogą znacząco wpłynąć na mój rozwój zawodowy – doprecyzował Wilczek. – A kręgi władzy policyjnej gromadnie zasuwiają do twojej matki. Jeśli będę musiał zrobić szpagat, żeby pogadać sobie towarzysko z zastępcą komendanta o wpływie ultradźwięków na spokój ducha, to to zrobię. Sam nie mam szans się wkłęcić, wierchuszka sobie rezerwuje miejsca chyba na trzy lata w przód i zazdrośnie strzeże wolnych terminów.

– Sabina...

– Sabina tylko czeka, żebym ją poprosił o załatwienie miejsca. Wtedy będę musiał jej odpowiedzieć na te wszystkie pytania. – Policjant był wyraźnie rozgoryczony.

– Jakie pytania?

– Intymne!

Piotr przez chwilę nie wiedział, co powiedzieć. Na szczęście Wilczek odpowiedzi od niego nie oczekiwał.

– Wysłała mi cały arkusz! Podobno brakuje jej wiedzy o wilkołakach i mam okazję się przyczynić do rozwoju bezpieczeństwa i higieny pracy wśród nienormatywnych.

– To chyba dobrze...?

– Trzysta czterdzieści sześć pytań! Trzysta czterdzieści sześć! Intymnych! Prywatnych! Kurde, ja nie chcę wiedzieć, dla jakich zawodów ona robi te oceny ryzyka, bo pewnie musiałbym wszystkich aresztować. Albo na miejscu się spalić ze wstydu.

Strzelecki zastanowił się. Sabina nie była zbyt wścibska. Nie miała też specjalnie wyuzdanych zainteresowań, chociaż czasem przesadnie bawiło ją wywoływanie w innych poczucia dyskomfortu. Przyjacielska lojalność nie pozwalała mu jednak na ujawnianie takich informacji Wilczkowi.

– Sabina bardzo poważnie podchodzi do swojej pracy – rzekł dyplomatycznie i całkowicie zgodnie z prawdą. Piechota na pewno wypisała te trzysta ileś pytań z myślą o wykorzystaniu odpowiedzi w pracy. A jeśli przy tym chichotała szatańsko... Cóż, z coachingowego punktu widzenia bardzo ważne było, by wykonywana praca przynosiła radość i pozytywne emocje. – I o ile się orientuję, doświadczenie jej podpowiada, że nie ma niepotrzebnych informacji...

– Ja ci, kurde, gwarantuję, że są – warknął policjant.

Strzelecki uznał, że dalsze brnięcie w temat to nie najlepszy pomysł. Nie zamierzał denerwować wilkołaka, tylko poprosić go o przysługę.

– Dajmy spokój Sabinie i może przejdźmy do rzeczy.

– A turnus w Brzezynie? – przypomniał nieufnie Wilczek.

– Nie będzie problemu.

– To dawaj.

– Potrzebuję informacji o stadzie wilkołaków z Wrocławia.

W słuchawce rozległo się prychnięcie.

– Stary, to tak nie działa. My się nie kolegujemy. Raczej obchodzimy



z daleka, wiesz, terytorium, te sprawy...

– Chyba nie bardzo się obchodzicie, skoro te wilkołaki przyjechały w zeszłym tygodniu do Lubszy. To prawie po sąsiedzku z twoją rodziną, prawda?

Wilczek burknął coś niezrozumiałego pod nosem. Piotr milczał.

– To jest, kurde, trochę skomplikowane – powiedział wreszcie niechętnie policjant.

– Nie oczekuję, że wyjaśnisz mi zawłości kontaktów między poszczególnymi grupami, chociaż to oczywiście fascynujące z psychologicznego i socjologicznego punktu widzenia. Potrzebuję informacji, co właściwie stało się jednemu z tych wilkołaków w lesie i gdzie konkretnie to było.

– Nie no, luzik, drobiazgu potrzebujesz, naprawdę. – W głosie Wilczka przebrzmiewał sarkazm w ilości hurtowej.

Strzelecki zwalczył odruch zapytania rozmówcy, co sprawia, że reaguje tak, a nie inaczej i jak mogliby sobie poradzić z tą sytuacją. Zamiast tego zamknął oczy i spróbował wyobrazić sobie, jak zachowałyby się w takiej sytuacji Ewa Ewent.

– Zawsze możesz odpowiedzieć na te trzysta pytań Sabiny – powiedział uprzejmie. – Jak ją znam, to pewnie w przynajmniej dziesięciu domaga się dowodów fotograficznych.

– W piętnastu – mruknął ponuro Wilczek. – A w trzech filmików.

– Dziś jadę do matki – rzucił zachęcająco Piotr. – Mógłbym ją zapytać o następny turnus.

Wątpił, żeby udało mu się to tego wieczora, ale na pewno mógł podjąć temat, jak już wróci z przebieżki wokół Jeziora Nyskiego.

– Wy wszyscy w tym Brzegu jesteście... no... no, kurde, jesteście! – jęknął Wilczek.

– Czyli umowa stoi?

– Stoi. Dawaj namiary, czy co tam masz, na tych z Wrocławia.

– Wyślę ci na Fejsie. Daj znać, jak się czegoś dowiesz.

– Spoko. To spadam do roboty. Cześć, pamiętaj o turnusie! – Wilczek się rozłączył.

Piotr dokończył pić swoją herbatę w miłym poczuciu efektywnie rozpoczętego tygodnia. Przesłał policjantowi dane od Ewy, a jej samej zameldował o włączeniu wilkołaka w temat. Nie doczekał się odpowiedzi, ale

jego wiadomość dostała lajka.

Ubrał się ciepło, bo w kościach wciąż czuł chłód umacniania równowagi duchowej, i pamiętając o swoim podstawowym zadaniu, pilnowaniu Sabiny, zahaczył w drodze do biura o spożywczy, żeby uzupełnić awaryjny zapas słodczy. Żaneta, co zauważył z pełną obawą, przejmowała pewne mechanizmy adaptacyjne Sabiny i ostatnio ciężko ją było zobaczyć bez pierniczka w dłoni. Piotrek jej nie żałował, ale z lekką obawą oczekiwał chwili, kiedy dziewczyna zorientuje się, że może przejąć zachowania mentorki, ale nie jej metabolizm. Strzelecki na wszelki wypadek już zaopatrzył się w literaturę na temat coachingu dietetycznego i delikatnie podpytał Agnieszkę Ryńską o rodzaje ćwiczeń.

Nie do końca łąpał, dlaczego waga była dla niektórych tak znaczącym wyznacznikiem samooceny. Osobiście miał problem z ogarnięciem, dlaczego arbitralnie przyjęte jednostki mierzenia wagi są aż tak istotne w aktualnej kulturze społecznej, ale nie musiał wszystkiego rozumieć, najważniejsze było w odpowiednim momencie wykazać się empatią i wsparciem. Nie był pewien, czy ten moment kiedykolwiek nadejdzie, ale wolał być przygotowany.

Dobre chęci niestety się na nim zemściły, bo zanim zdążył zaprotestować, Aga umówiła się z nim na trening. Mógł w zasadzie się z niego wykręcić i przyznać, że nie pyta dla siebie, tylko na wypadek ewentualnego kryzysu Żanety (wystarczył im jeden, ten z akrobatyczną ucieczką przed Binką), ale młodsza Ryńska coś za ich nową pracownicą nie przepadała, z wzajemnością zresztą. Piotrek podejrzewał, że zatknęły się ze sobą już wcześniej, prawdopodobnie stojąc po przeciwnych stronach prawa, i był prawie pewien, że jest w stanie Agnieszkę przekonać do resocjalizacyjnej roli wspólnego podnoszenia ciężarów. Potrzebował tylko na to trochę więcej czasu.

Poza tym Ryńska palnęła mu cały wykład na temat korzyści ze wzbogacania biegów ćwiczeniami siłowymi. Zrozumiał z niego może połowę, ale doceniał życzliwość, chęć wsparcia i przeczolągania go pompkami.

Na szczęście na razie Żaneta wsuwała słodczy równo, nie przejmując się kaloriami, co Piotr przyjął z pewną ulgą. Na wszelki wypadek oprócz pierniczków, ciasteczek i wafelków kupił też wafle ryżowe, a w przypływie szaleńczej inspiracji także pieczywo chrupkie i pastę z bakłazana. Był prawie pewien, że obie jego współpracownice tym wzgardzą, ale skoro one miały

swoje słodczyce, to on mógł w pracy jeść swoje kanapeczki.

Objuczony produktami spożywczymi dotarł wreszcie do biura. Nie miał się co spieszyć, pierwszą sesję miał o jedenastej, a dochodziła dopiero dziewiąta, ale lubił mieć czas na przygotowanie się do pracy. Łokciem nacisnął klamkę od drzwi wejściowych i wkroczył do przyjaznej, ciepłej recepcji.

Drzwi od pokoju Sabiny były zamknięte, ale dało się zza nich słyszeć *Don't Let Me Be Misunderstood* w wersji Santa Esmeraldy. To świadczyło o tym, że mógł kupić za mało pierniczków.

Ich recepcjonistka, ubrana w wielką, grubą bluzę w cętki, ładnie komponującą się wyblakłą różową barwą z włosami Żanety (wedle informacji właścicielki pastelowych pukli miał to być balejaż na jednorożca, ale coś nie wyszło, pewnie dlatego, że nie robiła go fryzjerka w zakładzie, tylko przyjaciółka w warunkach domowych; efekt przypominał kredowy malunek rozmyty przez deszcz), wycierała biurko z kurzu. Wszystko było przyjemnie i na miejscu, jak to w poniedziałek.

I w tym momencie jego wzrok padł na przedramiona Żanety, doskonale widoczne spod podwiniętych rękawów. I na wielkie, fioletowe siniaki.

Upuścił siatki.



Nagle tąpnięcie sprawiło, że Żaneta aż podskoczyła w panice. Ulżyło jej, gdy zobaczyła, że to tylko Piotr, co prawda blady, wytrzeszczony i otoczony przez rozsypane artykuły spożywcze, ale jednak swój i bezpieczny. Sabina nawet nosa z biura nie wystawiła, by sprawdzić, co się dzieje, zołza jedna.

– Zaczekaj, pomogę ci. – Właściwie to nie trzeba mu było kazać czekać, bo Strzelecki stał jak wmurowany, podczas gdy Żaneta zabrała się za zbieranie z podłogi zakupów. Na szczęście nic się nie rozsypało ani nie potłukło.

– Żaneto – odezwał się nagle Piotrek dziwnie nieswoim głosem i zanim dziewczyna w ogóle się zorientowała, co się dzieje, klęczał przed nią, delikatnie ujmując w dłonie jej ręce, dzierżące słoik z narysowanym bakłażanem. – Kto ci to zrobił?

Spojrzała na swoje przedramiona. No tak, szarpanina z tymi dupkami

zostawiła ślady, nawet o tym nie pomyślała, kiedy brała się za porządki.

– Nic takiego – mruknęła pod nosem. Próbowała cofnąć dłonie, żeby odwinąć rękawy i zakryć siniaki, ale Piotr, choć trzymał ją delikatnie, to jednak na tyle mocno, że musiałyby się szarpnąć, żeby się wyrwać.

– Żaneto – zaintonował tym swoim, jak to Sabina mówiła, tonem kozetkowym. – Czy chciałabyś o czymś ze mną porozmawiać?

– No przecież mówię, że to nic takiego! – Wzruszyła energicznie ramionami. Strzelecki ją puścił, ale dalej klęczał naprzeciw i patrzył jak jakiś kundel z postów schroniska, które Pati namiętnie udostępniała na Fejsie.

Żaneta westchnęła ciężko. Zawsze jak na te posty patrzyła, to obiecywała sobie, że kiedyś, jak się wyprowadzi na swoje, może razem z Pawłem, jeśli on z tego Dojczlandu kiedyś wróci, to kiedyś pojedą razem do Przytuliska i wrócą z którymś kundelkiem. Właśnie tak patrzącym. A potem już wszyscy razem będą szczęśliwi we troje.

Tymczasem Paweł po wyjściu na wolność przestał się odzywać, wyjechał i podobno miał jakąś laskę, Żaneta dalej mieszkała ze starymi, a Piotrek miał taką minę, że zaraz by go ktoś z posta na Fejsie zaadoptował.

– Wracałam w sobotę z zajęć i paru gości mnie zaczepiało. Chcieli mi zwinąć kasę i komórkę, ale luz, nic nie ukradli, przestraszyli się czegoś i zwiali.

Spojrzała na Strzeleckiego i trochę pożałowała, że nie zmyśliła czegoś o upadku, kursie samoobrony, dzieciach sąsiadów czy nowych trendach w makijażu przedramion, Strzelecki bowiem z wyrazu i koloru twarzy przypominał kocioł wrzącej wody. Nadał się cały, poczerwieniał i wyglądało na to, że zaraz eksploduje albo, co gorsza, polecą do parku łapać tych sobotnich zbójów i pomścić sińce praktykantki.

Dziewczyna lubiła Piotrka, serio, ale Herkules to był z niego żaden. Nawet na Spidermana by się nie nadawał. Smukły był, ale nie wyglądał na specjalnie silnego i na pewno nikogo by tą swoją pocziwą twarzą jak z reklamy margaryny nie przestraszył. Przez chwilę przemknęła jej przez głowę straszliwa wizja, że on się jeszcze dżentelmeńsko uprze ją odprowadzać i jak go spiorą, to będzie miała na sumieniu swojego półszefa.

I jak ona go miałaby w takiej sytuacji spławić, nie obrażając jego miłości własnej i nie psując sobie z nim stosunków?

Na szczęście Strzelecki sam rozstrzygnął jej dylematy i to w sposób, jakiego się w ogóle nie spodziewała.

– Sabino! – zawołał gromko i z wielką stanowczością w głosie, wkładając w ten okrzyk całą kotłującą się w nim parę negatywnych emocji.

Piechota, niczym piesek preriowy emo, wystawiła czarną głowę zza drzwi. W ogóle nie wyglądała na przejętą dramatyzmem, który brzmiał we wrzasku współnika, ba, nawet nie była specjalnie zainteresowana sytuacją.

– Sabino, Żaneta wraca z Wrocławia po dwudziestej drugiej – oznajmił grobowo Piotr. – I jeszcze idzie potem przez całe miasto.

– Aha – Sabina przyjęła fakt do wiadomości.

– Sama idzie – dodał z naciskiem.

– Aha – zgodziła się Sabina.

– Zaczepiają ją osobnicy niewiadomego pochodzenia i motywacji! – Piotr zaczął brzmieć lekko histerycznie.

– Aha.

– To niebezpieczne! – nie wytrzymał Strzelecki. – Zrób coś z tym!

Piechota, najwyraźniej nie do końca ogarniająca grozę sytuacji, podrapała się w głowę.

– Jak rzuci studia, to się nic nie nauczy – mruknęła zafrasowana.

– Ona nie ma rzucać studiów! Ona ma prawo do bezpiecznej edukacji! I bezpiecznych powrotów do domu!

– Ale ja jej nie zabraniam! – zaprotestowała Sabina, urażona posądzeniem.

Piotrek westchnął. W sumie sam sobie był winien. W świecie Piechoty niebezpieczne nocne powroty do domu to było coś, co zdarzało się niemiłym ludziom, którzy wracając nocą do domu, natknęli się na nią. Należało zmienić perspektywę. Wziął głęboki oddech i spróbował spojrzeć na świat oczami swojej współniczki.

– Sabino, jakbyś miała ocenę ryzyka zawodowego – zaczął w natchnieniu – i tam by było niedopuszczalnie wysokie ryzyko związane z agresją innych ludzi w sytuacjach, gdy pracownik znajduje się nocą poza terenem zakładu, wykonując tam czynności służbowe, to jak byś je ograniczyła?

Piechota zmarszczyła czoło. Kilka minut milczała, rozważając problem. Wreszcie pstryknęła palcami i cała się rozpromieniła.

– Mam na to amulet. Albo przepis na amulet mam. Odstrasząco-chroniący.

– Cudownie – ucieszył się Piotr. – To teraz zrób, proszę, taki amulet dla Żanety. W trybie pilnym

– Teraz? Już? – upewniła się Sabina.

– Teraz. Już – potwierdził stanowczo Strzelecki.

Żaneta łąpała szarymi oczami to na jedno, to na drugie, jak w jakimś meczu ping-ponga. Psycholog i behapówka mierzyli się wzrokiem jeszcze przez chwilę, po czym Piechota nagle wykonała zwrot na pięcie i zniknęła w swoim biurze. Wyszła z niego zaraz, nakładając niepraktycznie krótką i cienką kurtkę i owijając wokół szyi żółto-czarny szalik.

– Wrócę – oznajmiła z emfazą. I wyszła.

Równo sto osiemdziesiąt sekund zajęło Strzeleckiemu dojście do wniosku, że sama zapowiedź „wrócę” niczego nie ułatwia. Po pierwsze, Sabina nie powiedziała kiedy. Równie dobrze mogło to być za tydzień, rok albo cholera wie za ile. I wcale nie musiała wracać z amuletem, w końcu wcale nie powiedziała, że go przygotowuje. Po drugie, Sabina, której miał pilnować, Sabina, której zagrażało bliżej niezdefiniowane niebezpieczeństwo geograficzno-geologiczne, wyszła SAMA z biura.

Bezpieczeństwo i prawo do edukacji Żanety spoczywały właściwie w jego rękach. Tak samo jak bezpieczeństwo i zdrowie psychiczne jego współpracownicy. Było to trochę przerażające.

Poderwał się na równe nogi, ponownie rozsypując zbierane wcześniej zakupy. Uśmiechnął się do Żanety w zamierzeniu uspokajająco i życzliwie, ale chyba mu nie wyszło, bo praktykanta miała wyraz twarzy wątpiaco-podejrzliwy.

– Bardzo cię przepraszam, ale muszę wyjść – powiedział uprzejmie. – Czy mogłabyś tu... pozbierać? – Zrobił gest dłonią w stronę leżących na podłodze wiktuałów.

Żaneta w milczeniu pokiwała głową.

Strzelecki uśmiechnął się szeroko, życzliwie, uspokajająco i nieszczerze i jak stał, tak wybiegł za drzwi. Błyskawicznie pokonał schody i wypadł na zewnątrz.

Mało brakowało, a poślizgnąłby się na pokrytym listopadową wilgocią bruku i wyrzwał twarzą w krawężnik. Z trudem utrzymał równowagę, machając ramionami jak łabędź w szarym płaszczyku.

Rozejrzał się wokoło. Po Piechocie nie było ani śladu, a przecież wyszła z biura trzy minuty przed nim. PS Business Consulting miało swoją siedzibę w budynku dworca kolejowego, a drzwi wyjściowe prowadziły na plac zajęty przez parking i postój taksówek. Naprzeciwko dziewiętnastowiecznej stacji z czerwonej cegły pysznił się bardzo socjalistyczny w sylwetce dworzec

autobusowy i pawilon sklepu spożywczego. Naprawdę nie za bardzo było dokąd uciec, nawet jeśli było się Sabiną Piechotą.

– SABINO! – zakrzyknął na wszelki wypadek, wciągając wcześniej głęboko do płuc chłodne powietrze, pachnące spalinami z dworca PKS i z piecyków okolicznych kamienic.

Odkasznął gwałtownie i zatoczył się, gdy zaliczył życzliwe klepięcie w plecy.

– Mam w biurze maseczki przeciwpylowe – poinformowała go uprzejmie Sabina, przechylając na bok głowę jak gotycka laleczka. Stała tuż obok wejścia na klatkę schodową, pod ścianą dworca i odwijiała batonik z papierka.

– Chcesz czekoladkę? Nie mówię, że pomoże, ale zawsze to batonik.

Piotrek odruchowo przyjął przekąskę. Spojrzał na słodycz i ponownie zaniósł się kaszlem.

– No! – Piechota poklepała go po plecach, odrobinę delikatniej niż poprzednio. – To batonik zostaje dla mnie, jak miło! – Bezceremonialnie zabrała mu słodycz i natychmiast nadgryzła.

– Po co ty mnie tym w ogóle częstowałaś?

Wzruszyła ramionami.

– Dobre maniery? – wypaliła. – Czy coś takiego. Poza tym wiedziałam, że nie zjesz – dodała uczciwie. – No i mam w bagażniku jeszcze cały karton, więc ostatecznie nawet gdybyś zjadł, tobym jakoś przeżyła. No ale chyba nie za batonikiem tak wyleciałeś?

– Nie miałaś przypadkiem zająć się amuletem dla Żanety? – przypomniał Strzelecki. – Chciałem ci pomóc, w końcu to nasza wspólna recepcjonistka – skłamał gładko, obiecując sobie w duchu, że za to łgarstwo kupi wspólnicze całą paczkę ptasiego mleczka.

Sabina, nie przerywając konsumpcji batonika, łypnęła na niego czarnym okiem. Przełknęła czekoladę.

– Zawsze uważałam, że jesteś raczej człowiekiem świnek morskich niż chomików – oznajmiła z namysłem. – Ale luz, chcesz mieć zwierzątko, możemy coparentingować.

– Sabino! – Piotra aż zatkało na taką sugestię. Nie to miał na myśli, w ogóle, a poza tym... – Skąd ty w ogóle znasz takie słowa?

– Od Ewci. Robiła bociankowe i inne takie. Jej chomik wymyślił rozszerzenie wachlarza usług. – Skończyła jeść batonika, wsadziła ręce do kieszeni i ruszyła w lewo, w stronę parkingu za pocztą, gdzie uporczywie

i niezgodnie z przepisami parkowała swoją beemkę. Nikt nigdy jej nie wlepił mandatu ani nawet nie upomniał.

Piechota podeszła do auta, otworzyła bagażnik i zajrzała do środka. Przesunęła na bok skórzaną torbę, stojącą obok plastikową skrzynkę i wreszcie triumfalnie wyciągnęła spod nich płócienną siatkę z logo Siedliska Relaksu Brzezina.

– O! I nie trzeba robić, bo jest – oznajmiła z satysfakcją. – Tak mi się właśnie wydawało, że mam go w aucie.

– Wozisz w aucie amulet przeciw napaści? – Strzelecki nie mógł powstrzymać zdziwienia. Sabina, wiedział to nieprzypadkiem i z absolutną pewnością, cały czas liczyła na to, że na jakimś wybetonowanym, skąpanym w świetle jarzeniówek parkingu podziemnym napadnie ją okropny seryjny morderca, taki jak na tych okropnych filmach, a ona wtedy będzie mogła urządzić tam rzeź. Właściwie to moment, kiedy mu się do tego przyznała, można było uznać za przełomowy w ich przyjaźni, głównie dlatego, że Piotr po tych rewelacjach nie uciekł, tylko poszedł do nocnego i kupił jej pierwszą paczkę pierniczków, przypieczętowując tym samym swój los nieetycznego terapeuty, stałego dilerka słodczy i prawie najukochańszego przyjaciela (bowiem, jak mu wyjaśniła przy drugiej paczce Sabina, Ewa była pierwsza i ta naj. Zawsze).

– Ewci kiedyś zrobiłam, ale nie chciała. Powiedziała, że odstraszenie agresorów jest niepedagogiczne.

– A jakie jest pedagogiczne postępowanie wobec agresorów? – zainteresował się Piotrek, chociaż był prawie pewny, że zna odpowiedź.

Sabina wzruszyła ramionami i przesunęła torbę z powrotem na poprzednie miejsce, obok saperki i piłki ręcznej.

– Skąd mam wiedzieć? Ewci zapytaj.



Amulet ważył tak z pięć kilo. Tak naprawdę to dwieście siedemdziesiąty pięć gramów (Żaneta skoczyła do Berlinka uzupełnić zapas pierniczków i poprosiła sprzedawczynię o zważenie), ale generalnie był zdecydowanie za ciężki jak na kawałek biżuterii noszony na szyi.

Chociaż, jak dziewczyna podejrzewała, nadawałby się całkiem niezłe do



waleni potencjalnych napastników po głowach. Takie szamańskie nunczako. Piechota wparowała do biura, dzierżąc dumnie ekosiatkę, jakby to była co najmniej olimpijska pochodnia, i zamasyście złożyła swój dar na biurku przed praktykantką. Biurko miało teraz wgłębienie i klawiatura się Żanecie gibała.

A błyskotka wykonana przez Sabinę była po pierwsze ciężka, po drugie brzydka, po trzecie...

– Przyczep sobie do kluczy, czy co – rozwiązała problem Sabina, mijając po raz chyba dziesiątą dziewczynę wpatrującą się smętnie w amulet. – Albo lepiej wsadź do kieszeni, podobno przy ciele lepiej działa, ale to teoria, nie testowałam. O! Mogłabyś robić notatki, jak działa!

Żaneta spojrzała na nią spode łba.

– Mam pójść do parku po nocy raz z amuletem w kieszeni, a raz z uwiązaniem na szyi i zobaczyć, za którym razem mnie ktoś napadnie? – doprecyzowała.

– Żaneto, nie – wtrącił się stanowczo Piotr, stając w drzwiach swojego biura. Właśnie skończył sesję, na której podobno doszło do przełomu. Żaneta się za bardzo na przełomach nie znała, ale Strzelecki promieniował samozadowoleniem, a klientka opuściła gabinet z wyrazem osłupienia na twarzy i zwiniętym w rulon kartonem z rozpisany wysmartowanym celem, więc może faktycznie coś tam się zadziało.

Żaneta też kiedyś chciała, żeby w jej życiu doszło do przełomu. A potem się okazało, że trzeba uważać z poznawaniem samej siebie, bo może się okazać, że człowiek jest dziadem borowym. I w ogóle to zasadniczo nie do końca jest człowiekiem.

Foch.

A teraz jeszcze zanosilo się na to, że będzie doświadczała dziadą borową z kawałkiem złomu w kieszeni.

– Zamiast tych babć mogłaś do śledzenia mnie zatrudnić jakiegoś karatekę – mruknęła z rozżaleniem, wpatrując się smętnie w amulet.

Piotr i Sabina, którzy właśnie mieli się rozejść do swoich biur, nagle zastygli w pół ruchu.

– Jakich babć? – zapytał ostro Strzelecki.

Wawrzyniakówna podniosła głowę znad swojego amuletu i aż się wzdrygnęła. Drugi raz tego dnia skupiła na sobie sto procent uwagi obojga przełożonych. A Sabinie nawet lekko zadrgała trzecia powieka.

– No tych, które Sabina za mną wysyła – wyjaśniła niechętnie, zastanawiając się, jak bardzo pożałuje ujawnienia przed Strzeleckim stalkingu rozszerzonego Piechoty. – Pilnują, czy chodzę na uczelnię, czasem, czy przychodzę do pracy...

– Ej, no nie patrz tak na mnie, nikogo za nią nie posyłam! – zastrzegła Sabina, ledwie Piotr zdążył się do niej odwrócić.

– No przecież wiem – zapewnił ją Strzelecki. – Sabina ma pewne... skłonności inwigilacyjne tylko w stosunku do jednej osoby – wyjaśnił Żanecie. – Na pewno nikogo nie zatrudniała, żeby cię śledzić. Może moglibyśmy porozmawiać o tym, co takiego zadziało się w waszych relacjach, że posądzasz swoją przełożoną o...

– W naszych relacjach to dzieje się sama patologia! – zdenerwowała się Żaneta, dla której tego już było za wiele. Poczuli się, jakby Piotr próbował z niej zrobić wariatkę. Z niej! Jedynej w miarę normalnej w tym biurze! – Ona mi co raz śmiercią grozi!

– Nie grozę – obraziła się natychmiast Sabina.

– Nie grozi – poparł ją natychmiast Piotr. – Ona po prostu tak czasem wygląda, rozmawialiśmy o tym...

– I to ma niby wszystko załatwić? – rzuciła gorzko Żaneta. – Jak, kurna, w jakimś amerykańskim filmie? Porozmawialiśmy o tym i jest luz, Sabina ma zęby i pazury, ty jesteś jakimś lawendowym chochlikiem, a ja jestem dziadówką leśną i życie jest piękne.

Strzelecki wyglądał, jakby mu właśnie złamała serce. Spoglądał na Żanetę tymi swoimi szczeniackowatymi oczami, a ona zaczynała czuć się podle, jakby skopała małe zwierzątko, i to było bardzo nie fair. Zerknęła na Piechotę – ta przekrzywiła tę swoją głowę niczym mordercza sówka, wyraźnie zafascynowana nagłym wybuchem protegowanej.

– Jest mi bardzo przykro, że tak to odbierasz i że odczuwasz tyle negatywnych emocji – zaczął powoli i bardzo ostrożnie Piotrek.

– I co z tego? – zapytała smętnie Żaneta. – Tobie jest przykro, ja mam negatywne emocje, powiedzieliśmy to sobie wzajemnie i co dalej? Pisemnie to sobie przyjmujemy do wiadomości? I wszystko będzie nagle pięknie, tęcza, jednorożce, kucyki i przyjaźń? Sorry, to tak nie działa. Jeśli powiesz głośno, że coś jest do dupy, to to coś dalej jest do dupy, a ty możesz się tylko jarać, że o tym wiesz. A to wszystko – machnęła ręką, obejmując gestem oboje swoich pracodawców i biuro – może nie jest tak strasznie do dupy, ale na

pewno nie jest okej. I nie wiem, jak zrobić, żeby było. I serio, to, że jeszcze jeżdżą za mną jakieś babiny w passacie, to nawet nie ma znaczenia. Mam stalkerki robiące na drutach, no super, wreszcie coś, co będę szczerze mogła powiedzieć mojej najlepszej przyjaciółce, która, tak na marginesie, myśli, że ćpam tyle, że widuję na żywo postaci z horrorów.

Sabina i Piotr milczeli, choć chyba każde z innych powodów. Strzelecki wyglądał na zdruzgotanego, Piechota sprawiała wrażenie kogoś, kto bardzo chciałby teraz mieć ze sobą popcorn i chipsy i wsuwać je w upojeniu podczas przedstawienia. Żaneta westchnęła ciężko, pokręciła z rezygnacją głową i ściągnęła swoją kurtkę z wieszaka.

– Biorę sobie wolne – oznajmiła buntowniczo i wyszła z biura.

Gdy zamknęły się za nią drzwi, Sabina opadła na krzesło praktykantki, odsunęła szufladę jej biurka i wyciągnęła pierniczki.

– Leżymy z tym coparentingiem – oznajmiła, otwierając paczkę. – Babcia mi słusznie tych chomików nie chciała kupować. I co teraz?

– Skąd mam to wiedzieć? – Piotr przysiadł na skraju biurka. Czuł się autentycznie podłamany, jakby nie dość było tej całej sprawy z Ewą, szalonymi wilkołakami i potencjalnym zagrożeniem dla Sabiny, to jeszcze teraz okazało się, że ich relacje z praktykantką, cytując Piechotę, leżą. Od siebie by dodał, że jeszcze kwiczą żałośnie i namolnie.

– Jesteś psychologiem – przypomniała mu uprzejmie współpracowniczka. – A to jest problem tak jakby psychologiczny. Mów, co trzeba zrobić, zrobimy to i wszystko będzie okej. – Wzruszyła ramionami i sięgnęła po drugą paczkę pierniczek. W pierwszej już nic nie zostało.

– To nie jest audyt – westchnął Piotrek. Sabina ostatnio w upojeniu grzebała we wszystkich ISO, ze szczególnym uwzględnieniem norm dotyczących BHP i środowiska. – Nie możesz zrobić listy niezgodności, a potem po kolei je odhaczać po wdrożeniu środków zaradczych.

– Dlaczego nie?

– Bo to tak nie działa!

– A próbowałaś? – zapytała.

– Psychologia jako nauka... – zaczął

Sabina pochyliła się w jego stronę i mrugnęła wewnętrzną powieką.

– Z podstaw motywacji dla strzyg też miałaś fakultet? – zainteresowała się niewinnie. – Nie? No widzisz. Jesteśmy jak Lewis i Clark, jak Asteriks i Obeliks, jak Koperniki nienormatywności. Wyznaczamy własne szlaki, bo

nikt tego do tej pory nie zrobił i nikt tego za nas nie robi. Taki lajf, Piotruś, taki lajf. Więc wymyśl, co zrobić z naszym chomikiem...

– Po pierwsze, nie nazywać jej chomikiem.

– ...z nasza Żanetą – poprawiła się płynnie Sabina – i zaraz będziemy losować, kto jedzie wypytać twoją mamę, czemu razem ze swoją współpracowniczką śledzi naszą praktykantkę.

– Może to nie ona...

– Proszę cię, jakie są szanse, że dwie inne robiące na drutach emerytki w passacie kręcą się po Brzegu i to akurat pod naszym biurem? Przypominam ci, że ty tu miałaś ambicję robić za lokalnego Sherlocka, a poszlak do kupy nie chcesz zebrać. To jak, we czwartek jedziesz na kolację do mamy?

– Dziś pojedę – oznajmił Piotr. – Mamy bardzo dużo do obgadania.

– No i git! – Sabina wstała i poszła do swojego biura.

Strzeleckiemu przyszło do głowy, że w zasadzie w tym okropnie wstrząsającym i psychicznie obciążającym dniu jedno jest zaskakująco pozytywne – nader dojrzałe i racjonalne podejście Piechoty do sprawy. Może to oznaczało, że jeśli faktycznie istniało jakieś zagrożenie dla nienormalnych powiązanych z ziemią, to jej nie dotyczyło.

Zza uchylonych drzwi doleciały go pierwsze takty *In the Air Tonight*. Wyglądało na to, że w ramach racjonalnego podejścia do sytuacji Sabina dokonywała akceptacji swojego wewnętrznego goryla.

## 4. Poniedziałek II

Żaneta przeszła przez cały plac Dworcowy, omijając kałuże i ślizgając się na poniemieckich kocich łbach. Przez skwerek dotarła do ulicy Piastowskiej i bez namysłu ruszyła w stronę centrum miasta. O tej porze roku ulica była szara i nieprzyjazna, a magnolia rosnąca przed starą kamienicą z zabitymi oknami straszyla łysymi gałęziami, rozcapierzonymi jak szpony. Wawrzyniak wzdrygnęła się i przyspieszyła kroku.

Dopiero gdy stanęła na przejściu dla pieszych przed apteką, czekając na zielone, zastanowiła się, dokąd właściwie idzie.

Nie planowała histerycznych wybuchów. W ogóle żadnych wybuchów nie planowała i niefajnie czuła się z tym, że nerwy jej puściły. Owszem, uświadomiła Strzeleckiego i Piechotę, że rzeczywistość nie jest taka zarąbista, jak myśleli, ale... No, nie do końca tak to mogłoby wyglądać.

Z Żanety nie był żaden coach ani psycholog, ale swój rozum miała. I ten rozum jej podpowiadał, że w ten poniedziałek po prostu wszystkiego było na nią jedną za dużo. Tego dziadowania borowego, tego, że strzygi łąziły po Brzegu, że Paweł wyjechał i kogoś miał, a śliczny jak z obrazka Dawid siedział parę ławek dalej, a jakby na innym kontynencie. I tego, że był listopad, było ciemno i mokro, a od cukru spożywanego w hurtowych ilościach była ospała i zniechęcona. Plus studia były trudne, a dopiero mijał drugi miesiąc. Wolała nie myśleć o sesji.

Zasadniczo to chyba nie dawała sobie z tym wszystkim rady. A stalkująca babina – nieistotne, czy nasłana przez szefową psychopatkę czy działająca z pobudek własnych, to było już po prostu za dużo. Nie wytrzymała, ułało jej się, zdarza się.

Życie, a już zwłaszcza życie wśród innych, normatywnych czy nie, było cholernie skomplikowane, uznała filozoficznie Żaneta.

Wyminęła Klub Wojskowy i zniszczony pomnik ku pamięci sama nie pamiętała czego i postanowiła nie wracać na razie do domu. Ojciec miał drugą zmianę i na pewno zadawałby jakieś głupie pytania typu „dlaczego nie jesteś w pracy?”. Aura nie zachęcała do spacerów, ale Żana mogła przecież pójść do Ambrozji albo do Bombonierki, zamówić coś słodkiego i podumać

nad swoim losem i niesprawiedliwością świata.

Po lewej miała park Centralny, skąpany w listopadowych borych szarościach, przegniłych liściach i lekkiej zawieszynie lokalnego smogu. Idealnie pasował do jej nastroju i pomyślała nawet, że mogłaby się po nim przechadzać smętnie, póki by jej kaszel nie złapał, a dopiero potem przejść do kawiarni. Stała taka niezdecydowana przy szalecie miejskim, nie mogąc wybrać, czy iść do centrum na ulicę Długą czy jednak w parkowe alejki, kiedy nagle za jej plecami rozległ się klakson. Kilkukrotnie i natarczywie.

Wawrzyniak odwróciła się w stronę Piastowskiej. Przy krawężniku stało mrugające światłami awaryjnymi auto. Zza kierownicy machał do niej energicznie Łukasz Marciniak. Za jego samochodem ustawiała się już kolejka zniecierpliwionych uczestników ruchu.

Marciniak był kierownikiem zaprzyjaźnionego zakładu produkcyjnego. Sabina robiła im BHP i zawlokła raz Żanetę na halę, żeby jej wszystko pokazać, a przy okazji roztoczyć przed właścicielem firmy, Kokoszką, wizję troski o środowisko. Jeśli ktoś by Wawrzyniak pytał o zdanie, to nikt w fabryce specjalnie się tymże środowiskiem nie wydawał zatroskany, przynajmniej póki Piechota nie rzuciła dwóch magicznych słów: dofinansowanie i kary.

Marciniak, wysoki brunet z elegancko wystrzyżoną bródką, do rozmowy specjalnie się nie wtrącał, pilnował tylko, żeby Żaneta nie weszła przypadkiem pod wózek widłowy i, co było naprawdę dziwne, w ogóle nie bał się Sabiny. Pracownicy zakładu na widok behapówki nerwowo wtykali zatyczki do uszu i poprawiali okulary ochronne, a gdy ich mijała, udawali, że patrzą w zupełnie inną stronę. Kierownik zachowywał się, jakby Piechota była najnormalniejszą laską pod słońcem, tylko trochę upierdliwą.

– Zarąbiście, że cię widzę! – zawołał teraz do Żanety przez uchylone okno w samochodzie. – Właśnie miałem do was dzwonić! Mamy mały problem środowiskowy, nie masz chwili?

Żaneta poczuła się wewnętrznie rozdarta. Do samochodów obcych gości się nie wsiadało, to nawet Pati wiedziała. Ale Marciniak nie był taki znowu obcy, a w kieszeni miała komórkę i amulet od Piechoty, więc można było przyjąć, że ona z kolei była uzbrojona.

Delikatne siąpienie zmieniło się w deszcz ze śniegiem, więc nie miała co się dłużej zastanawiać. Korzystając z przerwy w ruchu samochodów, przebiegła przez ulicę i wsiadła.

– Jeśli spróbujesz mnie zamordować albo zgwałcić, Sabina cię zje – zapowiedziała złowieszczo, zapinając pas.

Marciniak, który już miał ruszać, zamarł i wytrzeszczył na nią oczy. Z tyłu ktoś zatrąbił na nich ponagłająco.

– Ja pierdołę, dziewczyno, odwaliło ci?!

Żaneta godnie zignorowała pytanie.

– Możemy jechać – zezwoliła łaskawie. Na Piastowskiej znowu pojawiły się auta i samochód Łukasza blokował ruch.

Kierownik rzucił jej jeszcze jedno spojrzenie z ukosa, jakby sprawdzał, czy nie wyrosła jej druga głowa, ale ruszył. Chór klaksonów grających za ich plecami umilkł.

– Nie wiem, co wy wszyscy macie z tą Sabiną – mruknął pod nosem, skręcając w ulicę Chrobrego. – Moje chłopaki w robocie tak samo, przyjdzie i potupie, a ci już szczają z nerwów.

– I słusznie.

– E tam. Moja żona z nią do przedszkola chodziła. Byłem na pogrzebie jej babki, ta to dopiero wiedźma była... Sabina jest wporzo. Szurnięta na punkcie tego swojego BHP, ale generalnie to nawet słucha, co się do niej mówi, i da się z nią dogadać.

– No, chyba że akurat grozi ci śmiercią lub okaleczeniem – mruknęła Żaneta buntowniczo pod nosem. Marciniak ją usłyszał i prychnął.

– Pffff. Też mi coś. A widziałaś, żeby kogoś zjadła czy zabiła? Pijar, jak nic. Cholernie skuteczny, chłopaki u mnie to jak osiki się trzęsą. Ale, kurde, tylko ona wyjdzie, to zatyczki z uszu wyciągają, bo im niewygodnie. Może jakby faktycznie któregoś ugryzła, toby się lepiej słuchali – dodał z wahaniem.

Żaneta niedowierzała własnym uszom. Gość miał omamy, jak nic. Normatywny był, niby wtajemniczony, ale jak Jon Snow nic nie wiedział. Nic.

– Jakbyś ty ją z raz sauté zobaczył... – mruknęła, wyglądając przez okno samochodów na szarą, nisko stojącą i przy brzegach skutą lodem Odrę.

– Sote? W sensie, bez odzieży, czy jak? – Kierownik łypnął na swoją pasażerkę podejrzliwie. – Zresztą wiesz co, ja nie chcę wiedzieć, co wy tam w biurze robicie – dodał zaraz pospiesznie. – Także nie mów, nie odpowiadaj na pytanie, nie dziel się, w ogóle. Nigdy. Mnie tylko interesuje, żeby mi pracownicy wyżyli i żeby PIP-a się nie mogła przyczepić. A! I jeszcze żeby

mrówek nie było.

– Mrówek? – zdziwiła się Żaneta.

Marciniak zaparkował przed bramą do zakładu. Podłużna hala nie wyglądała specjalnie zachęcająco – ot, długi budynek gospodarczy z szarej cegły, z małą dobudówką na biura i dumnym szyldem głoszącym „Kokoszex” nad metalowymi drzwiami.

Firma, choć nieźle prosperująca, nie dorobiła się jeszcze wyasfaltowanej drogi dojazdowej – wysypany żwirem plac pełen był kolein i kałuż. Po lewej znajdował się warsztat mechaniczny, po prawej druga hala z długią nazwą w obcym języku, obrośnięta chaszczami. W sumie jak najbardziej mogły się tu zagnieździć różne żyjątka, ale nie o tej porze roku.

– No, mrówek – potwierdził Marciniak, gasząc silnik. – Przecież mówiłem, że mamy problem środowiskowy. No i mamy – mrówki w biurze są – oznajmił grobowym głosem.

– No i? – zawiesiła się Żaneta. Kierownik wysiadł z auta, przeszedł na stronę pasażera i otworzył jej drzwi, gdy stało się jasne, że sama nie wysiadzie.

– No i zrób tak, żebyśmy nie mieli – zaproponował. – I w ogóle listopad jest, nie pora na mrówki. Zresztą nieważne. Ważne, żeby się ich pozbyć.

Dziewczyna głęboko rozważyła problem.

– Środek jakiś sobie kupcie?

Opierający się o drzwi auta Łukasz przestąpił z nogi na nogę, całym sobą prezentując dyskomfort na samą myśl o takim rozwiązaniu.

– Nie możemy – wypalił wreszcie. – Mrówki to są bardzo pracowite i dobre zwierzątka i by mnie serce bolało, jakbym się przyczynił do ich śmierci.

Żaneta spojrzała na niego powątpiewająco. I słusznie, bo zaraz się ugiął pod jej spojrzeniem i zaczął się wiercić jeszcze bardziej.

– A poza tym, to Sabina usłyszała, że chcemy je wytruć, i domaga się karty charakterystyki środka na mrówki. Ja nie mam czasu jej takich rzeczy załatwiać, ja mam produkcję na głowie, ty jesteś od ochrony środowiska, mrówki to środowisko jest, to je chroń i powiedz im, żeby sobie poszły.

– Jak ja mam im powiedzieć, żeby sobie poszły?

– No, jakaś tam leśna jesteś? Mrówki to leśne stworzonka? To pogadaj z nimi. Powiedz im, że zima jest, to w ogóle nie sezon na mrówki! Już powinny sobie spać, czy co one tam robią. Przez to cholerne globalne



ocieplenie mamy anomalie pogodowe i mrówki w biurze w listopadzie. No! – ponaglił niecierpliwie Żanetę, żeby wreszcie wysiadła z auta. Zrobiła to niechętnie, bo na dworze dalej siąpiła nieprzyjemna mżawka, ale Marciniak wyglądał na tak zdeterminowanego, że mógł spróbować siłą ją z tego auta wyciągnąć. Nie żeby mu się dała, o nie. Miała w kieszeni amulet ochronny i mogła nim komuś wybić oko. Najchętniej Sabinie, która najwyraźniej latała po Brzegu i paplała wszystkim o dziadowskich przodkach praktykantki.

– Skąd ty w ogóle wiesz, że ja leśna jestem? – zapytała Żaneta podchwytliwie, żeby się upewnić w swoich podejrzeniach.

– Od Sabiny – odpowiedział zgodnie z przewidywaniami Łukasz. – Pytałem ją, czy ty z tych gryzących, powiedziała, że nie, że jesteś eko i w ogóle. Trawki, żyjątko, peace and love. Ale tak między nami, jak chcesz, żeby cię chłopaki słuchali i nie wylewali olejów do kratek ściekowych, to lepiej rozpuść wici, że gryziesz, drapiesz czy co.

Żaneta prychnęła w duchu. Pół załogi Kokoszki to byli nienormalni. Cholera wie, czy potrafili rozpoznać, co za stworzenie z niej jest, ale jeśli Sabina paplała i do nich... Albo do tego swojego eksa, co wyglądał jak niedźwiedź i był w Kokoszeku majstrem... Nikt Żanety nie uświadomił, czy istnieje jakaś etykieta nienormalnych i dajmy na to, ma się innym przedstawiać. A gdyby miała... „Siemka, jestem leśną dziadową”? Kurczę, jak to obciachowo brzmiało...

Marciniak kilkoma susami pokonał kałuże i stał niecierpliwie przed wejściem do firmy, prawie przestępując z nogi na nogę. Żanecie nie pozostało nic innego, jak tylko do niego dołączyć.

Łukasz dramatycznym szarpnięciem otworzył drzwi i zamaszystym gestem wskazał na podłogę tuż za nimi.

– Sama zobacz.

Zajrzała do środka. Betonowa podłoga na pierwszy rzut oka była trochę brudna, na drugi – zaczynała się ruszać. Mrówek faktycznie było pełno, biegały po szlaku jak turyści w Tatrach, tylko lepiej zorganizowane i zdecydowanie bardziej zwinne. Wyglądały całkiem sympatycznie i Żaneta wpatrywała się w ich krzątanie dłuższą chwilę z prawdziwą przyjemnością. Podniosła głowę, dopiero gdy wiszący jej na ramieniu Marciniak zaczął chrząkać znacząco. Coś musiała zrobić.

Szkoda, że nie wiedziała co.

– Won – zaproponowała beznadziejnie mrówkom.

Mrówki zatrzymały się i prawdopodobnie zadarły głowy i na nią patrzyły. Potępiająco. Czują to całą sobą, dezaprobatą jak wtedy, gdy jej się wyrwało przekleństwo przy prababci.

– To znaczy, bardzo byśmy chcieli, żebyście sobie poszły – poprawiła się natychmiast Żaneta. Na Łukasza starannie nie patrzyła, wolała nie wiedzieć, jaką ma minę.

Mrówkom się ta propozycja nie podobała. Na zewnątrz było zimno, mokro, a one nie były gotowe na zimę. W ogóle były bardzo niezadowolone i poirytowane, bo nic nie szło dobrze i plany nie wypaliły tak, jak powinny. Zepsuło się... a w zasadzie to ludzie zepsuli i naprawdę byłoby dobrze, jakby teraz sobie poszli i przestali przeszkadzać. Mrówki były zajęte.

Żaneta zamrugała nerwowo. Czują się jak przy tych głupich dowcipnych testach, które kiedyś znalazła w necie Pati. Wpatruj się przez minutę w kropkę na ekranie komputera, a potem spójrz na cokolwiek innego i będą ci te kropki latały przed oczami... Żanecie przed oczami latały, dosłownie i w przenośni, mrówki.

– One tu zostaną – powiedziała.

– Co? Nie ma takiej opcji! – zaperzył się natychmiast Łukasz.

– Na zewnątrz jest zimno, źle i coś jest nie tak. Tu jest dobrze i one chcą zostać. Obiecały nie przeszkadzać – to ostatnie było kłamstwem, ale Żaneta miała wrażenie, że dałaby radę owady przekonać. W końcu to nie takie trudne być miłym owadzim sąsiadem – wystarczy łązić pod ścianami, nie wchodzić w odzież, nie zjadać drugich śniadań.

– Ekologia ci na głowę padła – podsumował ją szczerze Łukasz, zerkając z odrazą to na mrówki, to na dziewczynę. – Chrzanię to, kupię środek i wytruję, i nawet możesz Sabinie nakablować, proszę cię bardzo!

– Nie możesz! – zaprotestowała Żaneta, łapiąc go kurczowo za ramię. – Spoko są, pogadaliśmy z nimi, nie truje się znajomych!

Łukasz najpierw próbował ją z siebie strząsnąć, ale jego wzrok padł na kawalkadę mrówek i gwałtownie znieruchomiał.

Mrówki, wszystkie jak jeden mąż, znieruchomiały i patrzyły na niego.

– Te, młoda – powiedział powoli – one się na mnie gapią.

Żaneta wypuściła z zaciśniętych palców jego biceps i spojrzała na owady.

– Dziwisz im się? Też byś się patrzył, jakby jakiś wielki człowiek nadawał o tym, jak cię zamorduje!

– Parę rozdeptałem – dodał z lekkim niepokojem Łukasz. – One się nie

będą chyba mścić, co?

Żaneta skrzyżowała dłonie na piersi i wyprostowała się. Nawet taka usztywniona i nabzdyczona ledwie sięgała Marciniakowi do ramienia, ale nie zrażała się tym. W końcu mrówki były jeszcze mniejsze.

– Teraz to się będziesz kitrał, co? Nie wiem, czy one wiedzą, co to zemsta, ale jak coś, to ja im powiem. I wtedy pożałujesz.

– Już żałuję – przyznał uczciwie Łukasz. – Najbardziej to tego, że myślałem, że jesteś normalna. Kurna, psychopatki wokół mnie... – Podrapał się z zafrasowaniem po głowie, spojrzał na świetlówki pod sufitem, szukając w nich rozwiązania, a wreszcie łypnął okiem w stronę hali, z której dochodził, na ile Żaneta była w stanie ocenić, typowy produkcyjny gwar i zgrzyt. – No dobra, mają łaźnię pod ścianami, trzymać się z dala od maszyn i od mojego biurka, a zwłaszcza szuflady ze śniadaniem. I wypad, jak tylko przyjdzie wiosna.

– Super! – Żaneta zaklaskała w dłonie. Mrówki też się ucieszyły, czuła to.

– Ale masz mi dać na piśmie, że będą przestrzegać ustaleń – zastrzegł kierownik. – Potrzebuję podkładki dla starego i jakby Sabina coś zaczęła pitolić o zagrożeniach biologicznych... Do ciebie ją wtedy wyślę i ty się z nią będziesz użerać.

Wawrzyniakówna, wciąż w mrówczanej euforii, machnęła lekceważąco ręką.

– Proszę cię, gościu, ona mi i tak raz w tygodniu grozi śmiercią. Przynajmniej raz będę miała poczucie, że nadstawiam karku w słusznej sprawie.

I faktycznie tak było. Zanim przyjechała z Łukaszem do Kokoszeksu, była mniej więcej świadoma istnienia mrówek jako gatunku. Ba, widywała je na żywo. Ale te, tu w korytarzu... Czuła, że nawiązali ze sobą więź. Jakby coś między nimi było, jakby one były mrówkami, a ona... leśnym dziadkiem. Nie, to brzmiało źle. One były mrówkami, a ona Antmanem. Antwoman. No, w każdym razie była tak troszkę, odrobinę zajebista. I zrobiła coś dobrego.

– Wystawię ci druk na papierze firmowym – zaproponowała wspaniałomyślnie. W końcu jak szaleć, to szaleć. – Tylko mnie podrzuć z powrotem do biura.

– Ej, co ja, kierowca jestem?

– Z miasta mnie przywiozłeś. Mam zasuwać z buta? Pada!

– No dobra – skapitulował Łukasz. – Ale od ręki wystawiasz.

Żaneta w myślach przebiegła szybko plan dnia swoich szefów. Piotr powinien już zaraz mieć sesję, a Sabina od rana słuchała muzyki na cały regulator i była szansa, że nie kapnie się, że praktykantka marnotrawna wróciła.

Poza tym robiła to dla mrówek.

– Okej.

– To jedziemy. – Kierownik otworzył drzwi i puścił ją przodem.

Żaneta zrobiła dwa kroki na placu przed firmą i zamarła. W samym kącie, tuż pod płotem z siatki, obok kontenerów na śmiecie, stało znane jej auto. Ze stalkującą babcią za kierownicą.

Sięgnęła do kieszeni spodni i zacisnęła palce na amulecie, zastanawiając się, czy on przypadkiem nie wybuchą. Bo gdyby tak... cisnęłaby nim w tę wiedźmę bez wahania.

– A ona co tu robi? – zdziwił się za jej plecami Łukasz.

– Kto?! – syknęła gwałtownie Żaneta, odwracając się do niego.

– Moja ciotka – wyjaśnił. – Zasuwa w tym gruchocie po całym powiecie i nawet do Makro do Opola. Ale, kurde, żeby się pchać na te dziury i wyboje u nas, zawieszenie sobie uszkodzi...

Żaneta spojrzała na niego tak strasznym wzrokiem, że aż się wzdrygnął.

– Co jest?

Dziewczyna wyszarpnęła z kieszeni solidny wisior na łańcuchu i machnęła nim tak energicznie, że Marciniak musiał się uchylić, żeby nie stracić oka.

– Poszedł won! – zaintonowała, jakby to co najmniej była jakaś abrakadabra. Łukasz się przestraszył, że faktycznie mu tym okultystycznym żelastwem przyłoży, ale ona tylko zawinęła nim w powietrzu, jakby to było jakieś magiczne nunczako, odwróciła się na pięcie i zwiła sprintem przez parking, rozchlapując wodę w kałużach.

Spoglądał w oszołomieniu na biegnącą drogą dziewczynę i prawie przegapił moment, kiedy passat ciotki nagle zawrócił i z oszałamiającą prędkością dziesięciu kilometrów na godzinę ruszył w pościg. Żaneta skręciła na najbliższym skrzyżowaniu w prawo. Ciotka Ludmiła też.

– No żeby was, kurde, pokreć – pożyczyl im obu z głębi serca Łukasz, chociaż ciotce złorzeczył trochę bardziej niż młodej. Przynamniej do chwili, kiedy poczuł, że gryzą go mrówki.



Poniedziałek przyniósł Kindze ulgę zabarwioną lekką nerwowością.

Ulgę wynikała z tego, że minęły dwa dni od tego nieszczęsnego odwołanego wesela i wyglądało na to, że temat zakończy się bez żadnych głębszych dywagacji – ot, kolejna pechowa para, cóż, lepiej teraz niż później, właśnie po to mamy kary umowne i bezzwrotne zaliczki. Rodzinie pana młodego zależało zresztą, żeby sprawę jak najszybciej zamknąć, a Kinga po cichu im w tym kibicowała i ułatwiała, co się dało.

Uważała, że dla niej i dla wszystkich wokoło będzie lepiej, gdy sprawa pechowej rodziny Bogdanków jak najszybciej odejdzie w niepamięć.

I w zasadzie wszystko byłoby prawie idealnie, gdyby tylko udało jej się dodzwonić do...

No cóż, lubiła nazywać go w myślach współnikiem, ale bardziej był zleceniodawcą. W zasadzie to klientem, przy założeniu że klient nasz pan.

Podejrzewała, że facet nie ma sumienia i prawdopodobnie także kręgosłupa moralnego, ale jego brak nadrabiał tym, że miał kasę i wymagania. Jedno i drugie w ilościach kosmicznych.

Za to najwyraźniej nie miał chęci, żeby odbierać od Kingi telefonów.

W niedzielę całkowicie ją zignorował, w poniedziałek wysłał jej esemesa, że oddzwoni po piętnastej trzydziści. No cóż, przynajmniej wiedziała, o której godzinie będzie musiała zniknąć Ewie z oczu i uszu.



Dramatyczne ucieczki w deszczu były przereklamowane. Dojście do tego odkrywczego wniosku zajęło Żanecie piętnaście minut i niecały kilometr. Związała przed ciotką Łukasza początkowo w panice, a potem już całkiem rozsądnie – ścieżką nad Odrą do mostu, a potem do parku Nadodrzańskiego. Autem ciężko byłoby tam wjechać, no, chyba że ktoś by się bardzo uparł.

Gdyby do tego doszło, Żaneta była gotowa wezwać policję, straż miejską i nadleśnictwo i opowiedzieć im o tragicznej dewastacji brzeskiej zieleni za pomocą passata. A co, ekologia też mogła być bronią. Poza tym w sprawie mrówek mogła powalczyć, to co, w swojej własnej nie dałaby sobie rady?

Miała, kurczę, moc.

Już i tak była solidnie przemoknięta, więc zrobiła kilka chaotycznych kółek po parku, żeby się rozgrzać i zmniejszyć szanse na to, że stara wariatka będzie się na nią czaić, gdy Żana pokaże się na którejś z sąsiednich ulic.

I faktycznie, gdy wyszła alejką koło zamku, po emerytce w passacie nie było ani śladu. Za to na parkingu przy Oławskiej stała beemwica, a obok beemwicy – Sabina Piechota w czarnym płaszczu w stylu wiktoriańskim, czerwonych spodniach i z ogromną czerwoną parasolką w czarne kropki. Wyglądała jak skrzyżowanie biedronki emo z chuderławą modliszką emo i przez chwilę Żanetę ukłuła zazdrość. Bo ona miała na sobie sportowe buty, podarte dzinsy i kurtkę typu pulchny bałwanek, do tego w życiu rozmiarem talii nie przypominała modliszki. Już prędzej tę biedronkę.

– No, wsiadaj – ponagliła ją szefowa. – Mam ręcznik, wytrzesz sobie tego swojego jednorożca... fryz, znaczy.

Żaneta ponuro stwierdziła, że życiowe decyzje podejmuje jak zwierzątko – skoro marznie i moknie, a mówią, że gdzieś będzie jej ciepło i sucho, to nawet nie dyskutuje.

– Skąd się tu wzięłaś? – zapytała, wsiadając na miejsce pasażera.

– Zapomniałam, że ten amulet ma GPS – wyznała beztrzesko Sabina. Parasolkę wrzuciła za swoje siedzenie i podała Żanecie leżący z tyłu ręcznik. – I jeszcze ten, no, kamień nastroju. Odpaliło mi alarmy, ale zanim dojechałam, to już się uspokoiłaś. Stwierdziłam, że powinnam dać ci przestrzeń na przeżycie twoich emocji.

– Piotrek ci tak powiedział? – zgodła praktykantka.

– Zapisał mi na kartce. – Piechota wyciągnęła z kieszeni płaszcza plik czerwonych karteczek elektrostatycznych. Przyklejały jej się do palców i się pomięły, ale dawało się odczytać hasła zapisane wyraźnym i starannym charakterem pisma Strzeleckiego.

„Uszanuj...”, „...dystans”, „...nie chomik”, „komunikat JA”, „nie wolno grozić”. To ostatnie było podkreślone dwa razy.

Sabina przyjrzała się z namysłem karteczkom, rozcapierzając palce, żeby lepiej widzieć, co jest na nich zapisane.

– A! Tu jest – ucieszyła się. – Mam przeprosić za to, że groziłam ci śmiercią. Przepraszam, nie będę mówić, że tego nie zrobię, bo cele należy sobie stawiać realistyczne, ale spróbuję się ograniczyć. Plus, szanse, że faktycznie spróbuję ci zrobić krzywdę, są generalnie małe. Serio. Laska wbiła Piotrkowi kółek w serce i dalej łązi po Opolu – dodała z goryczą.

– Że co, proszę?! – wydusiła wstrząśnięta Żaneta.

– Kołek, w serce, myślała, że on wampirem jest. Idiotka. – Sabina pokręciła głową z dezaprobatą.

– I on to przeżył?

– Piotruś jest twardy – uświadomiła ją szefowa. – Jak ta, no, galaretka. Wygląda na miękkie, a jak jest full żelatyny, to nie ugryziesz.

Praktykantka przez chwilę milczała, trawiąc otrzymaną informację. No nie spodziewała się. Niby szczeniaczek z pozoru, a pod spodem jakiś hardkorowy koksu...

– I ona mu ten kijek wbiła, a wy jej nic? – zainteresowała się nagle. Nijak jej to nie pasowało do charakteru Piechoty.

– Bo mi Piotrek powiedział, że mam jej nie robić krzywdy – wyjaśniła z głęboką urazą w głosie Sabina. – A w twoim przypadku to nawet dał mi to na piśmie. – Oderwała od kciuka właściwą karteczkę i przykleiła ją na tablicy rozdzielczej. – Widzisz?

Żaneta kiwnęła głową. Na kartce jak byk stało: „Pamiętaj, że nie chcesz jej zrobić krzywdy, i jej tej krzywdy nie rób”. W kategorii listów żelaznych ten był wyjątkowo... oryginalny, a zarazem dziwnie uspokajający. Podobnie jak pozostałe karteczki, poprzyklejane do dłoni Sabiny, jej mankietów i rękawa. „Nie wypychaj jej przemocą ze strefy komfortu” wylądowało na drążku skrzyni biegów.

– To co, między nami okej?

– Nie – powiedziała praktykantka, zaskakując samą siebie. – Nie jest okej. Ale chyba w końcu może być.

– Proces – oznajmiła z głęboką satysfakcją w głosie Sabina. – Rozplanujemy go sobie na etapy i zrobimy wykresik w Excleu.

– Wołałabym nie – zaprotestowała Żaneta.

– Zobaczysz, będzie super – poinformowała ją nieczuła na protesty Piechota. Wawrzyniak miała ochotę oderwać jej od rękawa karteczkę z napisem: „Słuchaj, co do Ciebie mówi, i bierz pod uwagę jej odczucia” i przykleić ją szefowej na czole. Albo nie, lepiej na środku kierownicy.

– Może kiedyś będzie – zgodziła się dyplomatycznie. – Ale na razie muszę ci o czymś opowiedzieć...

## 5. Poniedziałek III

Do Brzeziny Piotr jeździł zwykle we czwartki. Jakoś tak samoistnie ustaliło się, że czwartkowe wieczory od zawsze były ich, tylko matka i syn, i kolejny wynalazek kulinarny. Rozmowy o wszystkim i o niczym przy dźwiękach najnowszego etnicznego odkrycia muzycznego Marysi.

Czasem zdarzało mu się przyjść pieszo albo zrobić sobie małą przebieżkę, akurat z ulicy Nysańskiej do Brzeziny i z powrotem, ale odkąd doszło do niefortunnego... wypadku, przebiegł drogą Brzeg-Brzezina raz. Żeby sobie udowodnić, że jest panem swoich lęków. Z pewną ulgą doszedł do wniosku, że skoro już to sobie udowodnił, to nigdy więcej nie musi pokonywać tej trasy pieszo, a tylko i wyłącznie autem z włączonym zamkiem centralnym i leżącą na fotelu pasażera komórką. Sabinę miał na szybkim wybieraniu i wiedział, że jeśli przyjdzie co do czego, to ona go z opresji uratuje.

Matka nie skomentowała tego, że przyjeżdżał już zawsze autem, nie był pewien, czy w ogóle zauważyła, że nie przychodził z wizytą w dresie. Marysia Strzelecka żyła w świecie aur, słońca, medytacji, relaksacji i całkowitej harmonii. Nie było potrzeby, by ją z tego świata wyrwać informacją, że jej syn to potwór, który na samą myśl o tym, jak niemal nie stracił życia i co nastąpiło, doznawał... emocji. Różnych. Na samym początku, zaraz po ataku, jak mantrę powtarzał sobie, że nie ma emocji dobrych czy złych, są tylko takie, których nie rozumiemy.

Problem tkwił w tym, że on jednak te swoje emocje odczytywał i rozumiał doskonale. A owszem, sam moment zakołkowania kojarzył mu się z bólem i dezorientacją, ale potem... Odczuwał radość, spokój, zaspokojenie, ekstazę. Czuł się bardziej żywy niż kiedykolwiek nie dlatego, że otarł się o śmierć, ale dlatego, że aby się uleczyć, sięgnął po zakazany owoc. Oszołomiony zaczerpnął z ludzi energii, której starannie starał się nie tykać od lat.

Ozdrowiał. Wszystko wróciło do normy. Biegał, chodził, żył. Czasem przyznawał się przed samym sobą, że żałuje, że nikt więcej nie próbuje go zabić. Miałby wtedy powód...

Otrząsnął się z tych myśli. Nie miał żadnych powodów, żadnych! Nie chciał być osobą, która by znajdowała sobie te powody, te uzasadnienia, te



usprawiedliwienia! A już na pewno nie chciał, żeby jego matka kiedykolwiek się dowiedziała, co mu siedzi w... głowie. Marysia Strzelecka była na taką wiedzę zbyt delikatna, zbyt niewinna. Tylko że najprawdopodobniej razem z tą całą swoją relaksacją, medytacją, harmonią, niewinnością i w towarzystwie swojej współpracownicy, szacownej emerytki, śledziła biedną, zestresowaną studentkę.

Odczucia Piotra względem Ludmiły Marciniak były ambiwalentne. Nie znał jej za dobrze, bo chociaż była współpracowniczką Marysi i dodatkowo zawsze kręciła się gdzieś w pobliżu, nawet w sytuacjach niezawodowych, to Piotrką jakby unikała, a jeśli już się na niego natknęła, to była dość oschła i nietowarzyska. Jakby nie wiedziała, jak się przy nim zachować, a jednocześnie wołała za dużo w jego towarzystwie nie przebywać. Wydawała mu się przez to antypatyczna, ale także, ilekroć miał okazję obserwować jej relacje z Marysią, widział cierpliwość, życzliwość, łagodność i ciepło.

Strzelecki miał, rzecz jasna, swoje podejrzenia, ale z wprawą je wypierał. Życie uczuciowe jego matki było sprawą tylko i wyłącznie jej i wołał się nad tym nie zastanawiać.

Zdecydowanie bardziej interesował go ten cały szamanizm... Wróć, nie interesował go w ogóle, wołałby o niczym nie wiedzieć, ale Ewka zburzyła mu spokój ducha i żadna ilość lawendowych świeczek nie była w stanie go przywrócić do stanu poprzedniego.

A później jeszcze ich biedna, niezrozumiana i prawdopodobnie śledzona przez Ludmiłę Marciniak praktykantka dokopała mu w świadomość coachingową i wiarę we własną uważność. Jak on mógł nie dostrzec, jakie w niej emocje i problemy buzują?! Codziennie ją przecież widywał!

Początkowo planował odwiedzić Marysię wieczorem, najlepiej po kilku godzinach medytacji i może jakiejś sympatycznej mantrze, ale się po prostu nie dało. Szarpał go niepokój, podkopujący fundamenty równowagi psychicznej.

Odbył miłą i pełną wzajemnego zrozumienia rozmowę telefoniczną z klientami z Norwegii i z Wrocławia, odwołując zaplanowane na popołudnie sesje na Skypie, zgasił metodycznie wszystkie świece, wyłączył komputer, zamknął biuro na klucz i poszedł na Nysańską po zostawione pod domem auto.

Przez głowę przeszło mu, że właśnie teraz, w takich okolicznościach, bieg

z Brzegu do Brzeziny byłby idealny na poszarpane nerwy i ogólne samopoczucie, ale realistycznie uznał, że w obecnym stanie ducha to już na pewno dopadnie go atak hysterii tam, gdzie został zakołkowany.

Ta głupia dziewczyna mogła mu uciąć łeb i byłoby po sprawie, ale nie, musiała go potraktować zasadniczo nieszkodliwym dla inkubów kołkiem. Wziął głęboki oddech. Oczywiście ta młoda osoba jak najbardziej była odpowiedzialna za próbę morderstwa z premedytacją, ale nie mógł jej winić za to, jak zareagował na całą sytuację. Poszedł najprostszą drogą, zabrał jakimś biednym, romantycznie nastawionym ludziom to, czego potrzebowal, i było mu z tym dobrze.

A nie powinno być!

Zamknął oczy, zwizualizował sobie pola lawendy i powoli policzył od dziesięciu do jednego. Potrzebował skupić się na spokojnej i racjonalnej części swojego jestestwa i jej przekazać stery.

Najlepszym planem było po prostu wsiąść w auto i pojechać do mamy na obiad. Zwykle nie planowała żadnych obowiązków na godzinę pierwszą – to był jej czas, żeby w przyjemnej atmosferze zregenerować siły i zjeść coś pysznego. Piotr bez najmniejszego problemu mógł wpaść bez zapowiedzi potowarzyszyć rodzicielce przy posiłku. W końcu był jej synem i, jak zawsze podkreślała, jego polityka otwartych drzwi dotyczyła w sposób szczególny.

Sama droga do Brzeziny, pokonywana autem, też nie stanowiła przesadnej trudności. Kłopoty zaczęły się, gdy Piotrek zaparkował przed domem matki.

Określenie „dom” w sensie architektonicznym niezupełnie pasowało – Marysia zaadaptowała stare gospodarstwo wraz ze stodołą na swoje Siedlisko Relaksu i oba budynki bardziej przypominały teraz zbudowane na ponemieckich murach pawilony orientalne. Nowa właścicielka dodała ogromne okna, drewniane tarasy, loggię, wyłożone deskami ścieżki i staw w stylu orientalnym. Zdaje się, że nawet miała w nim prawdziwe japońskie karpie.

Cały ośrodek promieniował spokojem, bezpieczeństwem i miał w sobie miękkość i przytulność kocyka, którym można się było otulić w lekko chłodny wiosenny wieczór. Nawet teraz, w listopadzie, Piotr miał wrażenie, że ogród i budynki pachną wiosną.

Dotarło do niego, że to mogło nie być wrażenie, ale szamańskie czary i ta myśl całkiem go sparaliżowała.

Całe życie, no pół życia, pracowicie ukrywał przed matką, że

nienormatywność istnieje. Że on sam jest nienormatywny. Jeśli ona też miała coś wspólnego z tą mniej oczywistą częścią rzeczywistości, jeśli wiedziała... Trochę miał uczucie, jakby mu się waliły, a przynajmniej przekształcały fundamenty świata, w którym dotąd żył. I to było wyjątkowo nefajne.

Być może zostałby na drodze przed wejściem do Siedliska dłużej, moknąc w lepkiej listopadowej mżawce, ale matka dojrzała go przez okno i zanim się obejrzał, już wprowadził auto na dziedziniec i pod wiatę i znalazł się w środku, w ogromnej, jasnej kuchni, usadzony przy masywnym, drewnianym stole, mokra kurtka wisiała na wieszaku, zabłocone buty schły na dywaniku przy wejściu, a Marysia Strzelecka, drobna, długowłosa i jak zawsze kolorowa jak wiosenny ogród, kręciła się między stołem, blatem, kuchenką i lodówką, nakładając jedzenie na talerze.

Do Piotra dotarło, że to już. To jest ta chwila, przekłeta oczyszczająca rozmowa, prawda w oczy i ogólna katastrofa, po której, na zgłiszczach kłamstw, powstanie nowy porządek.

Do czegoś takiego zachęcał zawsze swoich klientów. Jak on mógł im to robić? Przecież to było straszne!

Wziął głęboki oddech. Nie mógł się poddać. Po pierwsze, był magistrem psychologii. Pięć lat studiował ludzką psychikę i co, z własną matką nie będzie w stanie szczerze porozmawiać? Po drugie, winien był Żanecie choćby próbę znalezienia odpowiedzi na pytanie, co jest grane. I wreszcie, po trzecie, bardziej od rozmowy z własną matką na ważne i nienormatywne tematy przerażała go perspektywa zgłoszenia się do Ewy z informacją, że skitrał i nic nie działał.

Uznał w końcu, że raz coachowi śmierć. No, drugi raz.

– Mamo, czy ty nie chciałabyś się ze mną czymś podzielić? – zagaił swoim najbardziej profesjonalnym i zachęcającym do rozmowy tonem.

Marysia Strzelecka oderwała się od artystycznego układania plasterków buraka na rukoli i spojrzała życzliwie na swojego jedyne go syna.

– Czekoladowym ciastem z czerwonej fasoli – oznajmiła radośnie. – Ale to na deser, najpierw lanczyk.

Piotr postanowił się nie zrażać i spróbował ponownie.

– Nie, no bardziej chodziło mi o to, czy nie chciałabyś mi czegoś powiedzieć. No wiesz, o sobie i o pani Ludmile na przykład?

Na twarzy jego matki pojawił się wyraz głębokiego namysłu. Trwała w zadumie przez jakieś półtorej minuty, a potem nagle energicznie kiwnęła

głową, opłukała dłonie z soku z buraka i zamasyście usiadła naprzeciwko syna.

– Mogłabym chcieć – stwierdziła z powagą. – Rodzina Ludki od jakiś czterystu lat pilnuje porządku w okolicy. Wiesz, takie Van Helsingi od nienormalnych, tylko bardziej jak policja niż płatni zabójcy. Ludka ma nawet miecz po przodkach, ale podobno beznadziejnie wyważony. W szafie go trzyma, tam gdzie płaszcze zimowe. Jak się tu sprowadziliśmy, to jej zaczęłam pomagać. Czemu nie jesz? – zatroskała się.

Piotr spojrzał na swoje dłonie, w których wciąż leżały nóż i widelec. Odłożył sztucce na stół, żeby nie mieć w rękach nic ostrego, na wszelki wypadek. Żeby się przypadkiem nie pociąć.

– Ja myślałem, że wy po prostu macie romans – powiedział żałośnie i z lekkim wyrzutem.

– To troszkę też – zgodziła się pogodnie Marysia. – Ale to już od paru lat, myślałam, że już wiesz.

Wzruszyła ramionami, wstała od stołu i zajęła się posypywaniem carpaccio z buraczka serem kozim.

Syn smętnym wzrokiem spoglądał jej na ręce, a potem równie ponuro zerkał na talerz, który przed nim postawiła.

Marysia usiadła naprzeciwko niego ze swoją porcją.

– Jedz – zachęciła. – To dobre jest.

Piotr oderwał się od kontemplowania buraczka.

– Konieczność rekalkibracji moich poglądów na świat trochę odbiera mi apetyt – wyznał.

– Synu, nie dramatyzuj przesadnie – zaproponowała mu Marysia. – Aura ci się od tego brudzi, a już i tak przyszedłeś z jakąś średnią. Potem cię kryształkami obdzwonię, to ci się poprawi.

Strzelecki zmarszczył czoło. Przypomniał sobie, co powiedziała mu o Marysi Ewa.

– Te kryształki to działają naprawdę, co? I ty dobrze wiesz, co potrafisz zrobić?

Maria odłożyła sztucce i sięgnęła przez stół, żeby poklepać syna po policzku.

– Nie było ci za fajnie z nienormalnością, to pomyślałam, że poczekam i pozwolę ci znaleźć swoją własną drogę. Wiesz, tak jak na tych twoich wizytówkach. Nie przewidziałam, że będzie aż taka strasznie kręta.

Do Piotra dotarło, że nijak, no nijak nie może w takich okolicznościach się obrażać, zgłaszać pretensji czy nawet małego focha strzelić. Nijak! Został pokonany własną bronią, niech to diabli wezmą, pokonany psychologią! Jedyne, co mógł zrobić, to bardzo starannie zwerbalizować swoje uczucia.

– Uważam, że to jest bardzo nie fair, że moje własne słowa i przekonania mogą zostać wykorzystane przeciw mnie – oznajmił. – Jest mi też bardzo źle z tym, że dopiero teraz się o takich sprawach dowiaduję. Wolałbym usłyszeć o tym... szamanizmie, czy co to jest, od ciebie, a nie od Ewy.

– Ewa Ryńska ci powiedziała? – zainteresowała się niewinnie Marysia. Piotr nie dał się zwieść. Kogo jak kogo, ale własną matkę znał całe życie i owszem, zwykle była barwnym motylem, troskliwą ważką i istotą przebywającą duchem na innej płaszczyźnie rozwoju, ale tylko przez jakieś pięćdziesiąt osiem procent czasu. Pozostałe dwa to były sytuacje, kiedy ktoś naprawdę, ale to naprawdę jej podpadł.

– Znasz w ogóle Ewę? – zainteresował się równie niewinnie.

Matka i syn mierzyli się przez chwilę wzrokiem. Marysia poddała się pierwsza, Piotr podejrzewał, że przez wzgląd na jego aktualnie delikatną i wstrząśniętą psychikę. Matczyna troska wygrała z niechęcią do wyjaśnień.

– Ze słyszenia. Trochę oczywiście od twojej Sabinki, a trochę od Ludki.

Piotr dokonał skomplikowanego łączenia faktów.

– Ludmiła ma coś do Ewy czy Ewa do Ludmiły?

– Powiedzmy, że one obie jakoś za sobą nie przepadają.

– Jakoś?

– No, tak szczerze mówiąc, to pozabijałyby się, jakby mogły – przyznała uczciwie Marysia. – Tak na śmierć. Ludka to pewnie by jeszcze Ewę na wszelki wypadek spaliła, tak wiesz, żeby do żadnej nekromancji przypadkiem nie doszło. No, ale nie może, jakiś mają kodeks, rozumiesz, czy przepisy. Ludzi muszą bronić, przed potworami, a nie zabijać.

– Tylko nienormalnych? – upewnił się coraz bardziej zaszokowany Piotr.

– No właśnie – wyjaśniła Maria. – Coś tam mają o chronieniu przed niebezpieczeństwem. Ale Ludka tak naprawdę nikogo nie tyka, no bo kto tu w okolicy w ogóle jest niebezpieczny?

– Sabina – odpowiedział bez wahania Piotr.

– Oj tam, oj tam. To miła dziewczyna. Poza tym ma bezpieczeństwo w zawód wpisane, Ludka to szanuje.

– Ja – rzucił ponuro psycholog. Wielka oczyszczająca rozmowa zaczynała zbaczać na tematy, do których podjęcia w ogóle nie był przygotowany, takich jak „a przy okazji, jestem półlinkubem i to raczej nie po tobie”. Złapał za widelec i przebił plaster buraka, żeby choćby minimalnie dać upust szarpiącym nim emocjom.

– Chyba dla siebie – uprzejmie wytknęła mu matka. – Prędzej wrzodów dostaniesz, niż kogoś skrzywdzisz.

– Mamo...

– Nie powinnam była pozwalać ci szukać tej własnej drogi – stwierdziła z westchnieniem Marysia. – Wszystko sobie poplątałeś. Dobrze, że chociaż Sabinka się napatoczyła. To mądra dziewczynka jest. Więcej ma rozumu niż ta jej babcia, przynajmniej tak twierdzi Ludka. One się przyjaźniły, wiesz? – dodała znienacka. – Ludka i Regina Piechota. I Regina ten świat opuściła własnym sumptem. – Uśmiechnęła się ciepło do syna i wróciła do posiłku.

Piotr spojrzał bezradnie na nabite na widelec warzywo.

– Jedz, jedz – zachęciła matka. – Bo ciasta ci nie dam.

Posłuchał, bo w zasadzie i tak brakowało mu słów. Przeżuwał w skupieniu każdy kęs, rozważając przy okazji głęboko to, czego się dowiedział. Kiedy skończył, zebrał talerze, opłukał i włożył do zmywarki. Marysia nastawiła wodę na herbatę. Nasypała do dzbanka zielonej z wiśnią i w całej kuchni zapachniało późną wiosną.

– Pani Ludmiła jest łowczynią nienormatywnych – zaczął wyliczać Piotr. Maria potwierdziła skinieniem głowy. – Ty jesteś... szamanką?

– To określenie chyba najbardziej mi się podoba – przyznała.

– I wiesz o istnieniu nienormatywnych.

– Od dawna.

– I przez cały ten czas wiedziałaś... o mnie.

– Nie, dopiero jak miałeś z piętnaście lat, to okazało się, że odziedziczyłeś to i owo.

– I nic mi nie powiedziałaś.

Wzruszyła ramionami, odwracając głowę, wzrok wbijając gdzieś w kąt kuchni. Przez chwilę nie przypominała siebie, radosnej, świetlistej, tęczowej, przez chwilę była bardzo, bardzo drobna i bardzo, bardzo szara.

– Cały czas myślałam, że do mnie przyjdiesz, porozmawiamy i wszystko się wyjaśni. Mamy taki fajny kontakt... tylko że nie przychodziłeś. Kiedy zrozumiałam, że tego nie zrobisz i że zrobiłam błąd, zostawiając cię z tym

samego, już zacząłeś układać sobie życie i stchórzyłam. Bałam się, co powiesz, jeśli się dowiesz, że cały czas wiedziałam.

– Sam jeszcze nie wiem, co powiem – przyznał uczciwie Piotr. – Muszę sobie wszystko w głowie poukładać, ale możliwe, że będę odczuwał pewne... emocje... i one mogą być gwałtowne.

– To tylko zadbaj, żeby twoja Sabinka gdzieś w pobliżu była – poprosiła Marysia, spoglądając znowu na niego. – Może być tak, że ktoś cię będzie musiał poskładać do kupy, i możesz nie chcieć, żebym to była ja.

Skinął głową.

– A skoro o Sabinie mowa...

– Nie wiem – upредиła pytanie Maria. – To mądra dziewczynka jest, mówiłam. Może się domyśla, może wie, może myśli, że mi przypadkiem te czary wychodzą. O Ludce nie wie. Regina, jej babcia, nie chciała, żeby Sabina wiedziała. Głupio jej chyba było, że Ludmiły nie rozszarpała, wiesz, w końcu miała we wsi renomę.

Piotr zastanowił się, czy bardziej czuje ulgę, że Sabina jednak nie miała przed nim tajemnic, czy irytację na nią, że mogła się nie domyślić, że tuż pod nosem mają łowczynię potworów, kogoś, kogo co raz uparcie wpisywała w oceny ryzyka zawodowego! Gapiły się z panią Zofią na tego Winchestera, zamiast się po własnej okolicy rozejrzeć. Na pewno z nią też będzie musiał porozmawiać... Aż się wzdrygnął na myśl o kolejnej potencjalnie szczerej i oczyszczającej rozmowie.

Na razie tej nie zakończył, została jeszcze jedna kwestia do wyjaśnienia. Przygryzł wargi, wpięrow nie mogąc znaleźć odpowiednich słów, a potem nie mogąc ich wypowiedzieć.

– A on...? Ten inkunb? – wydusił z siebie wreszcie.

– Chcesz wiedzieć? – zapytała Maria tonem bardzo neutralnym.

Piotr zastanowił się.

– Nie – zdecydował. – Nie potrzebuję tego, w każdym razie nie teraz. Jeśli kiedyś zmienię zdanie, przyjdę do ciebie z tym pytaniem. Możemy tak się umówić?

– Oczywiście. – Maria ścisnęła jego dłonie. Pozwolił na to. Przypuszczał, że w najbliższej przyszłości czwartkowe wizyty mogą być dość... burzliwe albo przez jakiś czas nawet w ogóle się nie odbywać, ale tu i teraz liczyło się to, że mieli siebie nawzajem i kiedy skończą się burze i zawieruchy, dalej się będą mieli.

To była bardzo uspokajająca, przyjemna i bezpieczna myśl. Taka, jakiej w tej chwili bardzo potrzebował.

Podobnie jak ta, że niezależnie od wszystkiego będzie miał przy sobie Sabinę. Może nawet da się jej namówić na paintballa, w końcu to mogła być odpowiednia droga na wyrzucenie z siebie wszystkich emocji, z pewnością lepsza niż rzucanie świecznikami w ścianę albo bieganie do upadłego wokół jeziora. Gdzieś tam, w głębi umysłu powoli kształtowało się przekonanie, że jest sposób na to, by okiełznać bestię, może na drodze medytacji albo relaksacji. On sam i jego żywa i zdrowa rodzicielka stanowią na to dowód. I to też było przyjemne. I związane z kołkiem wizje stawały się jakby mniej wyraźne i mniej przytłaczające.

Wziął głęboki oddech. Fundamenty jego poglądów na świat, życie i własną matkę szlag trafił. Do tego jej, cóż, bliska przyjaciółka była kimś polującym na nienormalnych i może Maria, zaślepiona uczuciem, uważała, że to nie problem, ale Piotr był innego zdania. Będzie sobie musiał mnóstwo rzeczy przemyśleć i na nowo poukładać.

– A po nocy przychodzi dzień... – mruknął, przypominając sobie jedną z ulubionych piosenek matki.

– ...a po burzy spokój – dopowiedziała Marysia. – Powiesz mi, kiedy do nas przyjdzie?

– Powiem.

Ścisnęła jego dłonie raz jeszcze i wstała, żeby zalać herbatę gorącą wodą i nałożyć ciasta na talerzyki. Piotrek został przy stole.

Było mu zarazem ciężko i lekko.

Jakby nagle ktoś mu powiedział, że na plecach ma ciężkie głazy, a potem pomógł je zdjąć, jeden po drugim. Piotr zmęczony był tymi robotami odkrywkowymi, ale jednocześnie jakby pierwszy raz od dawna mógł się bez wysiłku wyprostować.

Tylko że coś go jeszcze uwierało, został jeszcze jeden mały kamyk.

– Mamo... A kojarzysz tę praktykantkę Sabiny, Żanetę?

– Co, zauważyła mnie? – domyśliła się Marysia.

Piotr sądził, że nic go już nie zaskoczy, ale prawie stracił stawianą przed nim filizankę. Nie, no tego się jednak nie spodziewał. Własna matka!

– Dlaczego ty śledzisz niewinne studentki?! Co na to Ludmiła? – Strzelecki bardzo niecoachingowo i z lekkim wyrzutem sumienia zadał cios poniżej pasa.



Jego matka, niewiele przejęta nieczystym zagranem, wzruszyła ramionami.

– Ludka woli za nią jeździć w dzień, wieczorem ma seriale. Mówiłam jej, że teraz można oglądać przez internet i nawet w telefonie by mogła, kiedy tylko by chciała, nawet jak czatuje na młodą, ale wiesz, jaka ona jest. Tradycjonalistka – podsumowała z czułym rozbawieniem Strzelecka.

Jej syn uznał, że zasadniczo to osiągnął poziom krytyczny wstrząsów psychicznych i może się przestać przejmować czymkolwiek, bo już nic, naprawdę nic go nie ruszy. To była zaskakująco przyjemna i przynosząca ulgę myśl, więc uczeplił się jej z całych sił.

– Mamo, czy wy nie możecie mieć jakiegoś innego wspólnego hobby? – zapytał, być może trochę żałośnie.

Marysia Strzelecka uśmiechnęła się do niego szeroko, szczerze i życzliwie, a potem poklepała go po policzku.

– Ciasta z fasoli? – zaproponowała.

– Poproszę. – Piotr podsunął talerzyk. – I naprawdę bardzo chciałbym wiedzieć, dlaczego ty i twoja partnerka śledzicie naszą praktykantkę. Żaneta też jest trochę nienormalna, wiesz? To, że śledzi ją ktoś z... no, ktoś taki jak Ludmiła, budzi we mnie duży niepokój.

– Och, to nie tak. Nikt nie będzie wam Żanetki zabijał, nie martw się. Ludka po prostu jest trochę nadopiekuńcza.

Piotr na jedną chwilę zamarł z widelczykiem pełnym ciasta w pół drogi do ust. Powtórzył sobie w duchu, że już naprawdę nic, ale to NIC go nie rusza, i odzyskał mobilność.

– Nadopiekuńcza?! Śledzenie ludzi to ma być forma opieki?! Mamo, to się stalking nazywa! I za to się idzie do więzienia! I dlaczego, wyjaśnij mi, Ludmiła uważa, że powinna się w ten szczególny sposób opiekować Żanetą?! Zaraz się okaże, że w ramach opieki zdrowotnej należy Żanie przyłożyć jakimś ostrym narzędziem, nie wiem, żeby się waporów pozbyła?!

– To nie jest dziewiętnasty wiek – prychnęła Marysia. – Ani już nawet nie dwudziesty. Wapory, też coś! I nie tylko Żanetę, wami wszystkimi! No, może to trochę przeze mnie – przyznała uczciwie. – Wiesz, martwiłam się o ciebie. To twoje wyparcie wcale nie jest takie zdrowe. I jeszcze te kryminały sprzed paru miesięcy! Niewiele brakowało, abyś zginął! Ludmiła chciała mnie tylko uspokoić!

– Mamo, to ty wiesz...?

– Że ktoś chciał ci zrobić krzywdę? Wiem. I to nie od ciebie!

Piotr poczuł, że ma problemy z oddychaniem. Dyskusja zdecydowanie zaczęła zbaczać na niebezpieczne tory.

– Mamo, chcę podkreślić, że doceniam twoją troskę – oznajmił stanowczo.

– Wszyscy na pewno byśmy ją docenili, no, może Żaneta trochę mniej, bo się całą sytuacją zestresowała...

Przyszło mu do głowy, że matka martwiła się o niego nieco przesadnie, ponieważ komunikacja między nimi nie przebiegała w sposób idealny. Odpowiedzialność leżała oczywiście po obu stronach, ale uczciwie musiał przyznać, że jego chęć chronienia Marii oparta była na fałszywych przesłankach. Przez to zatajał przed nią pewne sprawy, a ona nie dość że sama się przejmowała, to jeszcze najwyraźniej zaraziła tą troską swoją partnerkę do tego stopnia, że przejęta pani Ludmiła zaczęła wystawać na czatach pod ich biurem. W tym wieku! W listopadzie! Mogła dostać zapalenia płuc!

A Żaneta, biedna, całkiem niepotrzebnie zestresowana dziewczyna, myślała pewnie, że starsza pani chce ją zamordować...

Przez głowę mu przemknęło, że przyczyną zarówno potencjalnego zapalenia płuc u Ludmiły, jak i całkiem realnych nerwów Żanety jest właśnie ten brak właściwej komunikacji między nim a matką i w jakimś małym stopniu on sam mógłby się poczuć za jedno i za drugie odpowiedzialny...

Odepchnął zaraz tę myśl od siebie. Nie odpowiadał za wybory i emocje innych ludzi, pomagał im sobie tylko z tym radzić.

– Mamo, Żanecie trzeba to wszystko wyjaśnić, ona się zdenerwowała... I Sabina się przejęła. – Jak na standardy przejmowania się czymkolwiek u Sabiny, dodał w duchu. – Kiedy im powiemy co i jak, to się zaraz uspokoją... – Miał świadomość, że trochę przesadził. Nie był w stanie przewidzieć, jak Sabina zareaguje na informację, że Winchesterowie, owszem, chodzą po ziemi, ale są emerytką po sześćdziesiątce w szarym sweterku, grafitowej spódnicy i pantoflach typu kaczucha. Tego szoku mógł nie uleczyć nawet wagon pierniczków. A jak ich księgowa, świętej pamięci pani Zofia, wierna wyznawczyni #teamdean się dowie... Na sto procent nie rozliczy im VAT-u na czas! – Ale! – podkreślił bardzo stanowczo. – Myślę, że należałoby znaleźć inne sposoby podejścia do tematu... Wiesz, takie bardziej zachęcające niż śledzenie i terroryzowanie biednej dziewczyny.

– No, może – zgodziła się Marysia. – Ale ja sądzę, że trzeba by znaleźć też

inne sposoby komunikacji w rodzinie Strzeleckich. Wiesz, takie bardziej szczerze. Aktualne. Z pierwszej ręki.

– Popracujemy nad tym – obiecał z lekkim przekąsem Piotr. W końcu, jak już ustalił, nie tylko on tu ponosił odpowiedzialność. – Następnym razem, jak mnie ktoś kołkiem przebije pod Brzezina, to przyjdę prosto do ciebie.

## 6. Poniedziałek IV

Popołudnie zastało Ludmiłę w domu brata i bratowej przy stole w kuchni. Siedziała na ławie pod ścianą, pod dość prymitywnymi obrazkami na szkle, które Irenka malowała wedle wzorów ściąganych z namaszczeniem z internetu.

Pachniało jeszcze schabowym, ziemniakami z masłem i kiszoną kapustą. Obiad prosty i tradycyjny, całkiem w gust jej brata.

Irenka koniecznie chciała porozmawiać o organizowaniu Dni Brzeziny, do których zapaliła się bardzo i próbowała tym swoim zapałem zarazić wszystkich, a zwłaszcza swoją szwagierkę – jakby nie patrzeć, Ludmiła stanowiła pół firmy posiadającej Siedlisko Relaksacji, jasny punkt na biznesowej i wellnessowej mapie lokalnej. Większość mieszkańców wioski patrzyła na ich ośrodek z lekką rezerwą, wszak to było nowomodne i podejrzanе, ale jednocześnie rozpierała ich duma, że tu, u nich, jest takie miejsce, do którego ściągają ludzie, i sam komendant z Opola był, i nawet witał słońce na łące z kołem gospodyń wiejskich!

Ludka uprzejmie przyjęła zaproszenie na obiad i kawę i słuchała o tym, jak byłoby miło, gdyby Marysia poprowadziła tai-chi z kołem gospodyń wiejskich, tylko wcześniej by koniecznie poćwiczyły choreografię, żeby to ładnie wyszło. Wtedy do domu rodziców wpadł bardzo zdenerwowany Łukasz.

Nawet się nie przywitał, ba, nawet butów roboczych nie wytarł, tylko wparował do kuchni, nanosząc błota, stanął naprzeciwko ciotki i obie dłonie z impetem oparł na stole.

Irenka aż podskoczyła, nic dziwnego – Łukasz miał ponad metr osiemdziesiąt, solidne bary i do tego jeszcze ostatnio nosił czarną bródkę w stylu na diabełka albo, jak wołała to określać Ludmiła, na kozę. Wściekły robił wrażenie całkiem diaboliczne.

Ludka strachliwa nie była, ale umiała docenić porządne wejście z otwarciem zastraszającym. Miał Łukasz te geny przodków, oj, miał.

– Łukasz! – oburzył się Broniek i już miał zacząć syna obsobaczać, gdy ten rzucił mu takie spojrenie, że ojciec aż siadł z wrażenia. Irenka zakryła usta.

– Z ciotką mam do pogadania – oznajmił. Odwrócił się do Ludmiły. Też próbował ją zgromić wzrokiem, ale z czym do niej startował! Ludka miała lata, lata! doświadczenia w patrzeniu w twarz niebezpieczeństwu. Łukaszek skłęśł trochę, gdy uniosła pytająco brew, ale był pełen determinacji, by wyłożyć swoje.

– Ja bym chciał wiedzieć, co tu się odpiardala – zaczął tonem grzecznym, aczkolwiek złowróbnym. – Bo jeśli na ten przykład Sabina postanowi odkopać swoją babkę, a potem ją na ciebie poszczuć, to ja muszę sobie wcześniej kupić garnitur na twój pogrzeb, bo w stary się już nie mieszczę!

Bronek wydał z siebie coś pomiędzy piskiem a charkotem i rzucił paniczne spojrzenie na żonę. Ludka powstrzymała złośliwy uśmiezek, który cisnął jej się na usta. Brat w końcu dostanie za swoje, za wypięcie się na dziedzictwo przodków i za to, że twardo wszystko przed Ireną ukrywał.

– Nie wiem, o czym mówisz – oznajmiła z godnością, pamiętając o obietnicy, jaką brat na niej wymusił.

– Jasne. – Łukaszek nie dał się zbyć. – Ta mała od Piechoty jak tylko cię zobaczyła, to załapała jakiegoś schiza i zwiąła. Jakby spłynęła na widok kogo innego, tobym uznał, że jej odwaliło. Ale ja cię, ciotka, znam. Jak nienormalna dziunia spitala na twój widok, to jak nic masz coś na sumieniu.

– Ty miałeś o tym nic nie wiedzieć! – wykrzyknął Bronek, podrywając się od stołu. Irenka patrzyła na nich wszystkich oczami wielkimi jak spodki i pełnymi niezrozumienia.

– Ale wiem! – odkrzyknął mu syn. – I nie chcę z tym mieć nic wspólnego!  
– Na podkreślenie swoich słów walnął pięścią w stół. Ludmiła podniosła kubek z kawą – tylko tego brakowało, żeby jej smarkacz coś porozlewał.

– A, to dobrze. – Bronkowi cała para zeszła, usiadł przy stole i już miał sobie ciasta nałożyć, kiedy pochwycił spojrzenie małżonki. Dodał więc tylko niepewnie: – To dziwaki i popaprańce, lepiej się od takich trzymać z daleka...

– Jakie popaprańce?! – zdenerwował się jeszcze bardziej Łukasz, tym razem dla odmiany na ojca, nie na ciotkę. – Sabina jest w porządku. Piotrek jest w porządku. Ta mała od nich jest w porządku. Może są trochę, kurde, oryginalni, ale to jak z tymi kompaktami. Oryginalne to lepsze.

– Jaki Piotrek? – Bronek zbladł. – Ten od Strzeleckiej? – Spojrzał na siostrę oskarżająco. – Ty masz z nimi jakieś szachrajstwa?! Cioteczny wuj

Antoni się w grobie przewraca!

– Ciotecznego wuja Antoniego skremowali, to najwyżej się z oburzeniem przesypuje – przypomniała zimno Ludmiła. – A ty się w to wszystko nie wtrącaj, nie chciałeś mieć z rodzinnym fachem nic wspólnego, to nie miej. Nie interesuj się – zaleciła.

– Jak mam się nie interesować! – oburzył się Bronek, gładząc nerwowo czubki wąsów. – Łukasz miał nic nie wiedzieć! Nic! Normalnie miał żyć!

– Ojciec, weź się ogarnij – zaproponował stanowczo Łukasz. – Głupi nie jestem, dawno się domyśliłem, co jest grane. I to nie są dziwadła, to są, kurde, normalni, ciężko pracujący ludzie! To my jesteśmy dziwadła i psychopaci, że w ogóle mamy w rodzinie tradycję polowań na innych.

– Ty przodków szanuj...! – Bronek poczerwieniał. Najwyraźniej mimo wypięcia się na własne dziedzictwo jakaś duma rodowa w nim została.

– Takich przodków to ja pierdołę – wyznał szczerze Łukaszek. – Rasiści, kurde, mordercy i sadyści. I nawet mi nie mów, że jest inaczej, widziałem te książki, co mamy na strychu. Mam, kurde, nadzieję, że to indoktrynacja kolejnych pokoleń, a nie geny. Ja dzieci mam i ja bym chciał, żeby wyrosły na normalnych, uczciwie pracujących ludzi, a nie czaili się na kogoś z kołkiem, jak jakiś seryjny morderca. Bez urazy... – rzucił w stronę Ludmiły.

Łypnęła na niego z politowaniem. Jakby rodzice mogli wybierać, na kogo wyrosną dzieci... Chociaż musiała przyznać, że córki Łukaszka zapowiadały się raczej na normalne i sympatyczne osoby. Pewnie po matce.

– Ale! – przypomniał sobie Łukaszek. – Nie będziemy gadać o naszych powalonych przodkach i wszyscy, kurde, przyjmujemy do wiadomości, że nienormalny też człowiek. I się go, ciotka, nie śledzi! Serio, no tylko czarną wołgę ci kupić!

– Nic nie wiesz i nie rozumiesz...

– To mi powiedz – zażądał bratanek. – Komunikacja – ja mówię, ty mówisz, wymieniamy informacje. I ja ci radzę, skomunikuj się ze mną i wyjaśnij, czemu Żaneta zwiłała na twój widok. Te cholerne mrówki się do mnie o to przyczepiły i ty, ciotka, nie chcesz wiedzieć, gdzie mnie użarły!

– Jakie mrówki? – wyrwało się zaskoczonej Ludmile.

– Nasze, pracowe. Ale ty mi tu nie zmieniaj tematu! – Usiadł ciężko na ławie naprzeciwko ciotki, oparł łokcie na stole i wbił w nią stalowe spojrzenie. – Dawaj.

Ludmiła westchnęła w duchu. Uparty był szczył, ale cóż robić – to było w końcu rodzinne. Gotów jeszcze się za nią po całej wsi włóczyć i inwektywy wykrzykiwać. Albo auto jej łajnem obrzucić, tak jak kiedyś...

Zaczerpnęła powietrza, zastanawiając się, na ile szczeroci może sobie pozwolić w zaistniałej sytuacji, ale nieoczekiwanie została wybawiona z opresji.

– Ktoś mi powie, o co chodzi? – zapytała bardzo złowróbnym tonem siedząca do tej pory cicho Irenka.

Ludmiła rzuciła tylko okiem na poblądłe gwałtownie twarze brata i bratanka i zmyła się w tempie sprinterskim.



Nowa, ulepszona i najwyraźniej przecoachingowana przez Piotra Sabina podobała się Żanecie zdecydowanie mniej niż ta stara.

Praktykantka oczekiwała, że kiedy wyzna, że ścigają ją podejrzone staruszki o ustalonej tożsamości, to jej szefowa weźmie sprawy w swoje ręce, szpony, zęby czy inną nieprzyjemną część ciała. Piotr to może by miał jakieś skrupuły przed zastraszaniem emerytek, ale przecież nie Sabina!

Tymczasem Piechota beztróska stwierdziła, że na pewno wszystko da się wyjaśnić. Na nic zdały się protesty i żale, strzyga zgasiła je jedną czerwoną karteczką z napisem „Warto rozmawiać”, którą przykleiła swojej praktykantce na nosie. A potem oznajmiła, że w imię zdrowej atmosfery, stosunków sąsiedzkich i w ogóle należy wszystko od razu wyjaśnić i pojedą sobie teraz we dwie do Brzeziny, do Ośrodka Relaksacji, gdzie być może zastaną Ludmiłę, a może dostaną jej adres i wszystko będzie można kulturalnie omówić. I jeszcze bezczelnie zapewniła Żanetę, że będzie ją w tym wspierać.

Praktykanta ogromnym wysiłkiem powstrzymała się od wyjaśnienia, gdzie szefowa może sobie to wsparcie wsadzić, za to w przypływie natchnienia wypaliła, że w ramach pomocy psychologicznej to by chciała ciasto marchewkowe. Okazji do uzupełnienia poziomu cukru w organizmie, a przy tym do zachowania się zgodnie ze świętymi czerwonymi karteczkami, jak je zaczynała w myślach nazywać Żaneta, Piechota nie mogłaby odpuścić.

Dlatego zamiast jechać do Brzeziny, siedziały w cukierni przy ulicy

Długiej, gdzie Wawrzyniak bohatercko i w żółwym tempie spożywała trzeci kawałek ciasta marchewkowego. Było pyszne, ale trzy kawałki to jednak było dla kogoś, kto nie nazywał się Sabina Piechota, zdecydowanie za dużo. Żaneta jadła tylko po to, żeby opóźnić chwilę wyjścia, na szczęście nie musiała przejmować się, że jej szefowa coś zauważy. Sabina zamówiła po kawałku ciasta każdego dostępnego rodzaju i radośnie dokonywała degustacji.

– Jeszcze tylko eklerek i jedziemy – oznajmiła radośnie. Praktykantka podniosła głowę znad swojego ciasta. Wszystkie pozostałe talerzyki stojące na stole były puste. Zbierała je właśnie kelnerka z profesjonalnie kamienną twarzą. Albo bardzo starała się nie gapić na Sabinę jak na jakieś dziwo z ośmioma żołądkami, albo, co bardziej prawdopodobne, już ją tu dobrze znali.

– A nie będziesz chciała jeszcze tego czekoladowego? – zaproponowała z nadzieją Żaneta. – Mówiłaś, że ci bardzo smakuje.

– Na wynos weźmiemy. O! – Piechocie zaświeciły się oczy. – Dużo na wynos weźmiemy, to będzie bardzo uprzejme i towarzysko akceptowalne przyjechać z ciastem.

– Chcesz jej wręczyć wuzetkę i zapytać, czemu mnie śledzi?

– No! – Sabina uśmiechnęła się szeroko. – Nie bój się, jak nie będzie chciała gadać, to jej tę wuzetkę rozsmaruję na twarzy – obiecała, oblizując łyżeczkę. – Tylko jakby Piotruś pytał, to zaczęłam od zakomunikowania swoich uczuć i oczekiwań, a dopiero potem przeszłam do rękoczynów.

– Dobrze – zgodziła się Żaneta, lekko pocieszona tym, że Sabina, owszem, postanowiła się rozwijać społecznie, pracować nad sobą i takie tam, ale jednocześnie nadal była strzygą, która robiła za idealny straszak na potencjalnych wrogów. – Ale wcześniej jeszcze kupimy chipsy. Jak mam jechać w jednym aucie z toną ciasta, to muszę się odsłodzić.



Z domu Bronka do Siedliska było może z pięćset metrów. Więcej czasu zajęło wsiadanie i wysiadanie z auta niż sama jazda. Ludmiła zaparkowała pod bramą. Wcześniej jeszcze było, zanosilo się na to, że do miasta pewnie jeszcze z raz pojedą, choćby po to, żeby sprawdzić, jak młoda.



Ucieczka do parku była sprytnym posunięciem – młoda miała potencjał. Oczywiście gdyby Ludka naprawdę chciała ją dopaść, to takie sztuczki nic by nie dały. Dopadanie chwilowo jednak było pieśnią przyszłości. Teraz Ludka chciała dowiedzieć się czegoś o ekologii. Ta ekologia była wyjątkowo niepokojąca. Już BHP budziło w Ludce uczucia co najmniej mieszane. Cała ta koncepcja, żeby zapewnić potworom bezpieczeństwo i higienę pracy, budziła w Ludce skojarzenia z wampirami w rzeźni. Wampiry w Brzegu się nie pojawiały, może dlatego skończyło się tylko na skojarzeniach. Ale w przypadku ekologii skończy się z pewnością gorzej.

Ludmiła nie wymyśliła jeszcze, jak zlikwiduje Piotra, żeby Marysia się nie zorientowała.

Żaneta nie stanowiła najmniejszego problemu i to nie tylko dlatego, że Ludmiła już wiedziała, kiedy i gdzie bywa młoda Wawrzyniakówna. Owszem, dziewczuszka miała potencjał, ale za to nie miała nikogo, kto by powiązał jej zniknięcie z działalnością Ludki. Tu znacznie większym problemem była Piechotówna. Przysłowiowe pięć minut po zniknięciu Sabiny na progu Ludmiły pojawi się ta upiorna Ryńska. Marciniakowa westchnęła ciężko pod nosem. Z drugiej strony może to da im obu okazję do... zamknięcia pewnych spraw.

Ale Piotr... Piotr stanowił największy problem, bo jego być czy nie być wiązało się z być czy nie być Ludmiły. Wychodziło na to, że w najlepszym wypadku Ludka zdoła ukryć tę kwestię do pierwszego czwartku po... likwidacji. Piotr co czwartek zjawiał się z obowiązkową wizytą u matki. Ludka miała szansę utrzymać Marysię w nieświadomości przez tydzień. A tydzień to stanowczo za mało.

Istnienie Marysi wszystko tak bardzo komplikowało i ułatwiało jednocześnie. Była taka kolorowa, radosna, skrzęca się jak gwiazda, pełna wdzięku, uroku i mocy. Gdyby Ludka nie wiedziała, jak się sprawy mają, sądziłaby, że to po niej Piotrek ma tę swoją... przypadłość. Ale nie. Marysia była człowiekiem, który sięgnął gdzieś głęboko w siebie i wydobył to, co ukryte, a co kiedyś, dawno, przed wiekami, było częścią ludzkości.

Ludmiła niekiedy nie była w stanie pojąć, jak takie drobne, kruche ciało jest w stanie pomieścić taką magię... i taką silną wolę. Bo Marysia może i przypominała delikatnego motyla, ale duszę i kręgosłup miała z żelaza.

Od razu postawiła sprawę jasno. Jeśli Ludka wtrąci się w jej sprawy – pożałuje. Jeśli tknie Piotra – pożałuje. Z tym drugim się Ludmile dotąd

udawało, ale to pierwsze...

Razem prowadziły Siedlisko, razem żyły – no, niewtrącanie się jej nie wyszło. Nie żałowała.

Pierwszy krok przez próg Siedliska zawsze był jak wejście w chłodną mgiełkę wody w upalny dzień. Wszystkie problemy i troski zostawały na zewnątrz, a człowieka otaczał kryształowy spokój. Z każdym kolejnym krokiem w głąb domu delikatne fale relaksu muskały ciało i duszę i błogosławiły gościa przyjemnym odprężeniem. Ludmiła nie była pewna, czy odwiedzający Siedlisko czują to samo co ona – nigdy jakoś nie zebrała się, żeby zapytać o to Marysię. Chyba wołała przyjąc, że chociaż wszystkim mogło być w tym domu dobrze, to dla niej była to dobroć wyjątkowa.

Skierowała się do kuchni, w nadziei że Marysia ma zaparzony swój ulubiony owocowy napój, ale zatrzymała się w drzwiach.

Przy stole siedziała Maria, jak zawsze promienna i kolorowa, i jej syn, Piotr. Ludmiła już miała wymamrotać jakąś wymówkę i zejść im z oczu, gdy dostrzegła wyraz twarzy Strzeleckiego, który gdy tylko weszła, oderwał się od rozmowy z matką i spojrzał prosto na nią.

I pomyśleć, że strategicznie opuściła dom Bronka i przyjechała do Siedliska, żeby zaznać trochę spokoju i relaksu...

– Porozmawialiśmy sobie – oznajmiła radośnie Marysia, rozpromieniwszy się jeszcze bardziej. – Tak szczerze i od serca.

Ludka zdusiła jęk. Nie znosiła rozmów szczerych i od serca. Odbyla w swoim życiu całe dwie i to było o jedną za dużo – i dlatego tylko zaledwie o jedną, że drugą przeprowadziła z Marią. Ale cóż, mus to mus.

Uśmiechnęła się do Piotra, możliwe, że trochę krzywo, i usiadła przy stole. Przez chwilę miała déjà vu z domu Bronka – znowu siedziała za stołem i miała naprzeciw siebie wkurzonego chłopaka. Nawet obaj mieli te idiotyczne kozie bródki, tylko Piotrek jasną i zdecydowanie mniej porządnie przystrzyżoną. No, przynajmniej młody Strzelecki nie zabierał się do walenia łapami w stół jak Łukaszek, chociaż Ludmiła nie miała złudzeń – może mniejszej postury, ale Piotr był zdecydowanie bardziej niebezpieczny. Oczywiście szanse na to, że spróbuje...

– Przestań – powiedziała stanowczo Marysia. Spojrzeli na nią oboje, zdumieni. Rzadko się zdarzało, żeby drobna kobieta odzywała się z taką furją w głosie.

Maria odchrząknęła, otrząsnęła się, jakby zrzucając z siebie złość,

i uśmiechnęła się do nich znowu, promiennie jak wschodzące słońce.

– Piotrze – powiedziała – to jest moja partnerka Ludmiła, moja współpracowniczka w Siedlisku i strażniczka bezpieczeństwa tych ziem. Ludmiło, to jest mój syn Piotr, psycholog i nienormatywny.

Zapanowała niezręczna cisza. Pólinkub i łowczyni siedzieli naprzeciw siebie, starannie patrząc na blat, na ściany, na sufit.

Marysia odchrząknęła.

– Mamy sobie podać ręce? – zapytał z powątpiewaniem Piotr.

Maria pokiwała radośnie głową, więc to zrobili. Ostrożnie i krótko, oboje może ściskając odrobinę mocniej, niż było trzeba.

– Kocham was oboje – poinformowała ich Marysia. – A wy kochacie mnie, więc spróbujecie się dogadać... docelowo. Na razie wystarczy mi pakt o nieagresji. Zresztą nam wszystkim chodzi o to samo, żeby w Brzegu i w okolicach było miło i bezpiecznie... dla wszystkich – podkreśliła.

– We wrześniu tu za bezpiecznie nie było – mruknął pod nosem Piotr.

Maria posmutniała nagle i Ludmiła miała ochotę smarkaczowi przyłożyć, nawet jeśli miał rację. Dały wtedy ciała, nie – ona dała ciała. Nie powinna była słuchać Marysi, jak mówiła, że dzieci sobie poradzą i muszą pozwolić im rozwinąć skrzydła.

– Popełniłam w życiu dwa błędy, których bardzo żałuję – powiedziała bohaterko Maria. – Nie porozmawiałam z tobą, kiedy powinnam, i uznałam, że należy pozwolić wam uporać się z sytuacją. Przekonałam Ludkę, żeby dać wam przestrzeń. Nie sądziłam, że zostanie w tobie tyle bólu. Źle cię oceniłam. – Uśmiechnęła się bardzo smutno. – A ty jesteś twardy, taki jak ja. Zawsze dasz sobie radę. Za mało ci mówiłam, że nie zawsze musisz dawać ją sobie sam.

Piotrek skrzywił się boleśnie.

– Ja nawet nie mam do kogo iść na terapię – poskarżył się. – Wszyscy nienormatywni chodzą do mnie, a mnie zostaje palenie świeczek i opowiadanie o wszystkim Sabinie.

– A skoro o niej mowa... – Ludmiła przechyliła się na krześle i wyjrzała za okno, zza którego dobiegł ryk silnika. – To jej auto.



Wyrwanie się z pracy o piętnastej było banalnie proste. W tygodniu Ewa Ewent pracowała w godzinach nieregularnych, a poniedziałki, jako dni „poweselne”, zwykle były albo całkowicie wolne, albo wymagały maksymalnie trzech–czterech godzin pracy. Nie było osobnego biura, więc pracowały zawsze u Ewy w domu. Zawsze na parterze, w salonie lub w jadalni. Piętro i piwnice były terenem prywatnym i tam Kinga nigdy nie postawiła nawet stopy.

Nie żeby jej nie kusiło. Ale też była przekonana, że gdyby na przykład pod nieobecność szefowej choćby uchyliła drzwi do piwnicy, Ewa by o tym wiedziała.

Pozostawał jej do dyspozycji cały parter, urządzone z eklektycznym przepychem i zawsze wysprzątany, jakby dopiero co opuściła go ekipa robiąca zdjęcia na rozkładówkę „Twojego Domu”. Bałagan i kurz przydarzały się innym ludziom, nigdy Ewie.

Kinga pożegnała się grzecznie i wyszła punkt trzecia.

Starannie zamknąwszy za sobą drzwi, Kinga wsiadła do swojego auta i wyjechała na obwodnicę Brzegu. Skierowała się w stronę Opola, ale zamiast ruszyć w stronę domu, zjechała na pierwszy parking. Czekala ją wymagająca skupienia i potencjalnie stresująca rozmowa telefoniczna i Kinga nie czuła się na siłach jednocześnie zachowywać zwyczajową czujność za kierownicą.

Kiedy jej zleceniodawca nie oddzwonił do piętnastej trzydzieści dwie, sama wybrała jego numer.

– Jesteś bardzo niecierpliwą osobą – powiedział zamiast przywitania.

– Jestem osobą dbającą o własne interesy – odparowała butnie. – A tu sprawy się trochę komplikują.

– Tak?

Miała ochotę go udusić za to grzeczne, obojętne i podszyte delikatnym niedowierzaniem „tak”. Tak, kurde, sprawy się pierdoliły. Mógłby się przejąć.

Ale wiedziała, że nie może sobie pozwolić na nieostrożność w kontaktach. Jej gadzi mózg, ta mała pierwotna część systemu nerwowego z czasów, gdy jej przodkowie zwiewali przed mamutami i tygrysami szablozębnymi, zawsze panikował przy kontakcie z tym człowiekiem. Facet może wyglądał na całkiem spoko i w miarę atrakcyjnego gościa w średnim wieku, ale był drapieżnikiem. Kinga też uważała się za drapieżkę, no ale przy nim to była

jak lwica przy T. Reksie. Nie ta skala.

– Jeden z tych wilków zwariował – powiedziała spokojnie. – Akurat ten, co miał się hajtać. Potencjalnie duża afera, ale obciach też duży, więc rodzina robi, co może, żeby zamieść pod dywan, zanim się rozejdzie.

– To bardzo przykre – skomentował jej rozmówca.

– Tak. I może się okazać bardzo... głośne.

– Podobno na hałas pomagają odpowiednie zatyczki do uszu – podsunął uprzejmie. – Można kupić w sklepie z artykułami BHP.

Kinga powstrzymała zgrzytnięcie zębami. Miała podejrzenie, że on sobie z niej drwi. I nie miała dość odwagi, żeby mu to wytknąć. W końcu lwica i T. Rex.

– Nie tak się umawialiśmy – zaryzykowała. – Miało być... dyskretnie.

– W ogóle się nie umawialiśmy na dyskrecję – odpowiedział spokojnie. – Na kasę – tak, na miejsce – owszem, nawet na... zakres usług. Ale nie było w tej umowie nic o dyskrecji z mojej strony. Pamiętałbym, podchodzę do tych spraw z dużą pieczęcią.

Zgrzytnęła jednak zębami.

– Zważywszy na zakres usług i brak jakichkolwiek dokumentów księgowych, założyłam, że dyskrecja jest... oczywista.

Wystarczyło pięć sekund milczenia po drugiej stronie słuchawki, żeby pożałowała swoich słów. Nie grozi się większym od siebie, chyba że ma się w zanadrzu bazookę.

– Pod pewnymi względami jest – odezwał się w końcu jej rozmówca. – Nie chcielibyśmy przecież, żeby ktoś dowiedział się o, jak to pięknie ujęłaś, zakresie usług i braku dokumentów księgowych. Ja oczywiście nie zamierzam nikomu o tym wspominać. A ty? – zapytał takim tonem, jakby to był problem z gatunku „ja wolę kawę z mlekiem, a ty?”.

– W życiu – powiedziała ponuro Kinga.

– No właśnie – zgodził się pogodnie mężczyzna. – Nie martw się, moja droga, sprawami, które są niczym wobec wieczności.

I się rozłączył.

## 7. Poniedziałek V

Sabina z wdziękiem wysiadła z beemki. Żanecie wyszło to zdecydowanie bardziej niezgrabnie, ale cóż, nie każdy był pająkiem emo.

Na wszelki wypadek zagarnęła wszystkie kartony z ciastem, upierając się, że będzie ja niosła sama. Miała w tym ukryty cel, i to niejeden. Po pierwsze, stanowiły niezłe maskowanie taktyczne, po drugie, mogły robić za tarczę, gdyby je ktoś zaatakował, albo za broń ofensywną. Po trzecie, dzięki temu Sabina miała wolne ręce i istniała nadzieja, że jeśli ktoś je napadnie, to Piechota mu przyłoży. Żaneta miała lekkie wątpliwości, co jej szefowa by wybrała, mając do wyboru wypuszczenie z objęć czekolady lub walkę o życie. Po czwarte, wedle tej samej logiki, praktykantka z czekoladą była dziesięć razy więcej warta ochrony niż praktykantka bez czekolady.

Żaneta odczuwała niekłamaną dumę, że zdobyła się na taki logiczny ciąg myślowy i to w obliczu wizyty w możliwej siedzibie wroga. Nie żeby Siedlisko robiło jakieś niebezpieczne wrażenie, wręcz przeciwnie.

Gospodarstwo było duże i bardzo zadbane. Dwa budynki, jeden mieszkalny, drugi wyglądający, jakby ktoś zabytkową stodołę zaadaptował na takie dojo z filmu o karatekach, stały po dwóch stronach równo przystrzyżonego trawnika. Ścieżki były wyłożone drewnem, przy płocie rosły drzewa i nawet pozbawione liści sprawiały malownicze wrażenie, a z drugiej strony podwórka dochodził szum wodospadu przy stawie ogrodowym.

Całość wydawała się jaśniejsza i bardziej skąpana w słabych promieniach listopadowego słońca niż pozostałe zabudowania stojące przy drodze.

Na zgrabnym płocie ze sztachet, przy furtce oplecionej bluszczem przybito kawałek drewna z doskonale widocznymi słojami. Kolorowymi farbami ktoś wypisał na nim „Siedlisko Relaksacji Brzezina”.

Całość zdecydowanie bardziej przypominała ośrodek wczasowy dla troskliwych misiów niż miejsce, w którym bywają emerytowane stalkerki.

Oczywiście to przyjemne i niewinne wrażenie psuł stojący przed bramą, znany Żanecie od najgorszej strony passat.

Zamarła, balansując trzymanymi w objęciach kartonami.

– Ta baba tam jest – mruknęła.

– O widzisz, to od razu będziemy mogli sobie wszystko wyjaśnić – zareagowała entuzjastycznie Piechota, otwierając furtkę i przytrzymując ją przed obładowaną ciastkami praktykantką. – No dawaj, wchodzimy! – Podeszła bez wahania prosto do drzwi wejściowych.

– Oszalałaś? Tak po prostu?

– Jasne, tu drzwi są zawsze otwarte. – Na potwierdzenie swoich słów Piechota pchnęła je bez wahania. Ustąpiły. – Widzisz? Chodź.

Żanecie nie pozostało nic innego jak podążyć za szefową w głąb budynku.

Piechota, być może kierując się węchem, podążyła prosto do kuchni, w której przy stole siedziała drobna jasnowłosa kobieta koło pięćdziesiątki w kolorowych szatkach, obwieszona jakąś hippisowską biżuterią, wyraźnie nieszczęśliwy Piotrek i skrzywiona jak po cytrynie stalkerka Żanety.

– O! I wszyscy są! – ucieszyła się Sabina.

Wawrzyniak rzuciła Piotrowi spojrzenie pełne urazy. Jak on mógł, zdrajca, siedzieć tak przy stole z jej prześladowczynią i jeść ciasto!

– Po co ją tu przywiozłaś? – zdenerwował się Strzelecki.

Sabina bez zaproszenia ukroiła sobie kawałek stojącego na blacie ciasta i przysiadła się do stołu.

– Pani Ludmiła zaważyła śledzenie i Żaneta ją zidentyfikowała – wyjaśniła.

– Przyjechaliśmy na szczerą, oczyszczającą atmosferę rozmowę.

– Następną – wyrwało się żałośnie emerytowanej stalkerce.

– Trochę się spóźniłyście – oznajmił Piotr głosem pełnym napięcia. – My tu już sobie bardzo dużo wyjaśniliśmy.

To nie brzmiało optymistycznie. Żaneta łypnęła na zgromadzone wokół stołu towarzystwo. Zasadniczo nie wyglądali, jakby się zaraz mieli za łby brać, ale dobrze wiedziała, że pozory mylą.

– Pewnie pożałuję pytania – odezwał się Strzelecki, wpatrując się intensywnie we własne, oparte na stole ręce – ale wiedziałaś?

Sabina, do której najwyraźniej było skierowane pytanie, podniosła gwałtownie głowę znad ciasta.

– Ja? – zdziwiła się szczerze. – Ja wiem bardzo dużo. Ale mam też czas skupienia kota przy wskaźniku laserowym, więc luz, nic ze mnie nie wyciągniesz. – Wpakowała do ust połowę odkrojonego kawałka, wypychając sobie policzki jak chomik, i zaczęła z namaszczeniem przeżuwać.

Piotrek na jedną chwilę ukrył twarz w dłoniach. Plecy poruszały mu się powoli i rytmicznie, jakby brał głębokie, powolne wdechy. Przy piątym

podniósł głowę.

– Usiądź – zaproponował Żanecie. – Zaraz ci wszystko wyjaśnię... wyjaśnimy.

Wawrzyniakówna nie była przekonana. Przede wszystkim, żeby usiąść, musiałaby odłożyć pudełka z ciastem, a zaczęła już o nich myśleć jak o swojej tarczy i gwarancji, że w razie potrzeby strzyga będzie ratować ją w pierwszej kolejności. Poza tym z pozycji siedzącej trudniej było uciekać. No i jeszcze dochodził aspekt siadania do stołu z potencjalnym wrogiem...

Drobna blondynka wstała, pobrzękując bransoletkami, i bez słowa wyjęła jej z rąk kartony.

– Siądź, dziecko, meliski ci zrobię – powiedziała łagodnie. Wawrzyniak łypnęła na nią podejrzliwie.

– Żaneto, pozwól, że przedstawię ci moją matkę – odezwał się nagle Piotr. – Maria Strzelecka. To jest jej współniczka i partnerka, Ludmiła Marciniak. Możesz je kojarzyć, bo...

– ...obserwowałyśmy cię od jakiegoś czasu – oznajmiła twardo Marciniak.

– Nosz kurde, serio? – zdziwiła się Żaneta. – Nie zauważyłam?

Sabina prychnęła ciastem. Strzelecki przybrał jeszcze bardziej zboląły wyraz twarzy. Jego matka miała tyle przyzwoitości, że wyglądała na lekko zawstydzoną. A główna śledząca, Marciniak, mierzyła się z Żanetą wzrokiem, jakby brały udział w konkursie, która pierwsza mrugnie.

Mogła sobie baba próbować, Wawrzyniakówna regularnie odstawiała pojedynki na mruganie z Piechotą. Stara gołębica mogła jej naskoczyć, no chyba że tak jak Sabina oszukiwała i zniecka zacznie mrugać wewnętrzną powieką, oznajmiając potem bezczelnie, że to się nie liczy.

Gapiły się tak na siebie, Strzeleccy emanowali mniejszym lub większym dyskomfortem psychicznym, a Sabina skończyła z ciastem i rozejrzała się za dokładką.

– Długo tak będziemy siedzieć w milczeniu? – zastanowiła się głośno, zabierając się do otwierania kartonów, które przyniosła Żaneta. – Bo generalnie to ciasto kupiliśmy dla wszystkich, ale jak macie wytwarzać atmosferę, to wszystko zjem sama. No, Żanecie dam kawałek, bo jest nieszczęsną ofiarą, tylko jeszcze nie wiemy czego, i Piotrusiowi, bo potrzebuje, i pani Marysi, bo jej aura siąpnęła... – Przechyliła głowę na bok, jakby próbowała spojrzeć na coś za plecami Strzeleckiej. – No brzydal normalnie, pani Marysiu. Mam WD40 w aucie, przynieść?



– Aury się nie czyści WD40 – skorygowała przez zaciśnięte zęby Marciniak, nie odrywając stalowego spojrzenia od Żanety.

– Czyści się – odpowiedziały jednocześnie Sabina i Maria.

– Nie jest to oczywiście subtelna metoda – dodała Strzelecka.

– Ale działa – zaznaczyła Piechota, podkreślając swoje słowa uniesieniem widelczyka. – A ze słońcem w listopadzie krucho. Przynieść?

– Spokojnie, kochanie, mam misy tybetańskie – uspokoiła ją Maria, poklepując ją czule po dłoni. – Ale miło z twojej strony, że się o mnie troszczysz.

– Fale dźwiękowe? – zainteresowała się Sabina. – A jakbym tak sobie zrobiła pomiary przy okazji, mam czujnik w bagażniku i to mogłoby być bardzo praktyczne w zamkniętych pomieszczeniach z ograniczoną wentylacją...

– Sabino, dołóż sobie ciasta – zarządził nagle Piotr. – Tak ze trzy kawałki najlepiej. Nie ma co aur na razie oczyszczać, przed nami kilka spraw do wyjaśnienia.

Piechota zerknęła na niego z ukosa, ale posłusznie podsunęła sobie całe pudełko ze słodkościami. Drugie pchnęła w stronę Żanety.

– Bierz, mała, będzie psychologia dla zaawansowanych. Kalorie się przydadzą.

Ludmiła na chwilę oderwała swoje ciężkie spojrzenie od Żanety i zerknęła na Piechotę. Wyglądała na nieco poirytowaną, a trochę, jakby ją na chwilę nostalgia ogarnęła. To trwało może z pięć sekund, potem jej twarz znowu zmieniła się w kamienną maskę.

Sabina nic nie zauważyła, zajęta oblizywaniem widelczyka.

– Dajesz – zachęciła Piotra. – Sama jestem ciekawa, czemu twoja mama z panią Ludmiłą śledzą Żanetę. Jedyne, na co na razie wpadłam, to że będą stosować agresywną formę terapii, porywać ludzi i wywozić ich do Siedliska, żeby wyluzowali. Takie połączenie sportów ekstremalnych i równowagi wewnętrznej. Zaczęły od Żanki, bo ona jest jak kłębek nerwów.

– Sabinka ma wyczucie biznesu – zauważyła z namysłem Maria Strzelecka. – To mogłoby zadziałać...

– Jak coś takiego zrobicie, to ci ludzie... czy nieludzie, których porwiecie na terapię, będą potrzebowali terapii po waszej terapii – zdenerwował się Piotr.

– No to pójdą do ciebie na terapię numer dwa i biznes się kręci –

skwitowała Piechota.

– Sabino! – jęknął Piotr.

– Piotrze – odpowiedziała mu z powagą Sabina.

– Czy możemy wrócić do tematu? – zaproponowała Żaneta. – Bo ja to terapii na pewno będę potrzebować, ale chciałabym wiedzieć z jakiego powodu.

Nikt się nie odezwał. Sabina niczym morderczy piesek preriowy kręciła głową na wszystkie strony, zerkając to na Piotra, to na jego matkę, to na Marciniakową i entuzjastycznie oczekując odpowiedzi.

– Od niepamiętnych czasów... – zaczęła wreszcie stalkera Żanety.

– Moja matka jest miejscową szamanką. A pani Ludmiła jest łowcą potworów z dziada pradziada – wypalił Piotr, któremu chyba w końcu skończyła się cierpliwość. – Ale spoko, nie chce cię zabić, chce cię chronić. A poza tym spotyka się z moją matką. Nie biznesowo. Romantycznie, znaczy.

– Ale to akurat wszyscy wiedzą...! – zdziwiła się Sabina.

– Ja nie wiedziałem – warknął Piotr.

Piechota położyła łokcie na stole, splotła dłonie i oparła na nich brodę. Nie odrywając spojrzenia od Strzeleckiego, mrugnęła wewnętrzną powieką.

– Wiesz, że zaczynasz trochę syczeć? I język ci się rozdwaja na końcu – oznajmiła z pełnym fascynacji zachwytem. – Naprawdę musiałeś się wkurzyć.

– Jestem oceanem spokoju – oznajmił Strzelecki takim tonem, że nikt nie miał ochoty wytknąć mu oczywistego kłamstwa. – Strumieniem równowagi, bajorem akceptacji...

– Gościem z językiem jak u żmii – stwierdziła z mimowolnym podziwem Żaneta. – Widziałam takich w necie, robią sobie dziary, kolczyki, ćwieki i rozcinają języki. Hardkor.

– Ciasteczka? – zaproponowała Sabina, podsuwając mu prawie pod nos załadowany widelczyk. Żaneta uznała, że to był wyjątkowo odważny ruch, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że Piotr sprawiał wrażenie, jakby miał ochotę jej tę rękę odgryźć. Kurczę, dwa miesiące u nich pracowała, a nikt jej nie powiedział, że szef nie jest ciapą, tylko ma rozdwojony język i może przeżyć trafienie kołkiem w serce.

Nic dziwnego, że nie bał się Piechoty...

– Nie – zdecydował stanowczo psycholog. – Jestem jeziorem

profesjonalizmu, mam magistra z psychologii i jestem dojrzałym, odpowiedzialnym człowiekiem. Potrafię poradzić sobie z sytuacją bez użycia czekolady. Mama się o mnie martwi, pani Ludmiła się martwi razem z mamą i obie nas pilnują! – wyjaśnił gromko.

Marysia energicznie pokiwała głową. Marciniakowa skrzywiła się jeszcze bardziej, choć chwilę wcześniej wydawało się to niemożliwe. Piechocie błysnęło w oku.

– A! – ucieszyła się, podrywając gwałtownie głowę z nad kostki bananowej. Wszyscy siedzący przy stole aż się wzdrygnęli. – Pani była na pogrzebie babci! To znaczy, że ona ma jednak tę trumnę zaspawaną i z niej nie wyjdzie?

Ludmiła sztywno skinęła głową, jakby niepewna, jak strzyga na tę rewelację zareaguje. Piechota rozpromieniła się niczym małe mroczne słońeczko.

– Super! Matce ulży, boi się ojca tu przywozić. Babcia go już za życia nie trawiła, a po śmierci toby go na pewno zjadła.

Kolejne bolesne skrzywienie mogło wskazywać na to, że Ludmiła sentyment Reginy do zięcia w pełni podziela.

– Moglibyśmy dać sobie czas na przetrwanie sytuacji – zaproponowała desperacko Wawrzyniakówna. – No, przespać się z tym. Załapać dystans.

Sabina łypnęła na nią z szacunkiem i dyskretnie uniosła kciuk w górę. Piotr tego nie zauważył, zbyt zachwycony uwagami Żanety.

– To jest bardzo dojrzała i trafna propozycja – orzekł, podrywając się na równe nogi. – Tak właśnie zrobimy! Sabino, Żaneto, zostawmy mojej mamie i pani Ludmile przestrzeń. Wychodzimy.

Marciniak zmarszczyła brwi i wyglądała, jakby chciała się wtrącić i zaprotestować, ale powstrzymało ją jedno stanowcze spojrzenie Marysi.

Strzelecka też wstała i delikatnie dotknęła ramienia syna.

– Kiedy przyjdzie dzień – przypomniała. – Powiesz mi?

Piotr westchnął głęboko.

– Powiem. Ale na razie naprawdę muszę to wszystko przetrwać.

Stał przy wyjściu z kuchni i bardzo znacząco spojrzał na Żanetę i Sabinę. Praktykantka bez wahania skorzystała z możliwości opuszczenia Siedliska.

– Tak... już pójdziemy – powiedziała i szturchnęła znacząco szefową.

Piechota oderwała się na chwilę od ciasta i zamrugała jak półprzytomna

sowa.

– Jeszcze mamy biznesy do omówienia, ja bym została...

– Musisz mnie odwieźć! – rzuciła bez wahania Żaneta, wykazując się znaczącą odwagą cywilną i łapiąc szefową pod ramię. – Koniecznie! Pamiętasz, po co mi amulet był? Nie mogę sama wracać!

Strzyga, najwyraźniej zaskoczona tym, jak brutalnie ośmieliła się ją potraktować praktykantka, pozwoliła się wyciągnąć z kuchni Siedliska i oprzytomniała dopiero pod drzwiami wyjściowymi.

– Przecież Piotruś cię może odwieźć, a ja sobie jeszcze chwilę zostanę...

– Piotruś też potrzebuje przestrzeni – warknął Strzelecki, otwierając drzwi wyjściowe. – Żanetę odwozisz ty, ja nie mam głowy do towarzystwa.

Sabina nic nie powiedziała, przechyliła tylko głowę na bok i wpatrywała się w niego swoimi czarnymi oczami.

– Lawendy potrzebujesz? – zgađła.

– Oczywiście, że potrzebuję lawendy. Dożyłnie. To, że moja matka razem z Ludmiłą doi unijną kasę na szkolenie mundurowych, to luz, jest osobnym bytem, nie musi mi się z życia tłumaczyć. To, że robi za moimi plecami jakiś interesy z tobą, to okej, rozumiem, czemu się kitracie po kątach, zresztą sam wolałem tego nie zauważać – przyznał uczciwie. – Ale to, że od iluś lat robi za jakieś lokalne skrzyżowanie Baby-Jagi i... nie wiem... Wonder Woman? I żyje z lokalnym Van Helsingiem, to mogła chociaż wspomnieć!

– Wonder Woman to jest pani Ludmiła – poprawiła po namyśle Piechota. – Twoja mama to raczej taka hippie Galadriela.

– Sabino! – zbulwersował się Piotr, a potem po prostu wyszedł, bez pożegnania. Usłyszały tylko trzaśnięcie drzwi od renówki i ryk silnika świadczący o tym, że Strzelecki ruszył z impetem pasującym bardziej do beemki Sabiny.

– Oj – westchnęła Piechota.

– Oj to jest mało, kurde, powiedziane – wytknęła jej Żaneta.

– Nie wiem, czy mam na tych karteczkach coś o tym, że powinnam dbać o to, żebyś nie kalala mowy ojczystej przekleństwami – zachnęła się Piechota. Miała dziwnie zmęczony głos, zupełnie jak nie ona. – Więc tym razem ci odpuszczę. Wsiadaj, wracamy do Brzegu.

Żaneta zatrzymała się i rzuciła niepewne spojrzenie na Siedlisko. Prawie się spodziewała, że w oknie zobaczy twarz Strzeleckiej albo Marciniakowej, ale tak się nie stało. Budynki sprawiały wrażenie... wyciszonych. Jakby całe

życie i energia w nich zgromadzona na chwilę przystanąły. Nieprzyjemnie kontrastowało to z pełnym wiosny życiem, jakie zastały, przyjeżdżając do Brzeziny, i Wawrzyniak aż się wzdrygnęła.

– Nie pękaj – rzuciła Sabina, otwierając drzwi auta. – Masz taką minę, jakbyś się spodziewała, że pani Ludmiła zaraz z okna się z łukiem wychyli i zacznie w nas naparzać.

– A nie zacznie? – zapytała niepewnie praktykantka, wsiadając do beemki od strony pasażera.

– No weź, tyle lat nikogo nie mordowała i teraz miałyby zacząć! – prychnęła Piechota. – Poza tym sama słyszałaś, one tak z troski. Jakoś wątpię, żeby morderczy amok zadziałał na ciebie motywacyjnie.

– To może być ściema – zauważyła Żaneta.

– Eeee, nie sądzę. One obie już nie są najmłodsze. Pewnie szukają kogoś, komu mogą ten cały bandzaj przekazać. Wiesz, padawana potrzebują. Tylko pamiętaj, że najpierw praca, potem studia, potem szkoła dla Jedi, oki?

Wawrzyniak nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć, milczała zatem przez całe pięć minut, jakie zajął im dojazd na Oławskiej. Sabina zaparkowała pod kamienicą, w której mieszkała Żaneta, zgarnęła do kieszeni płaszcz wszystkie swoje czerwone karteczki i podała dziewczynie kluczyki.

– Weź beemkę.

– Co? – Wawrzyniak odruchowo zacisnęła palce na przedmiocie, który szefowa wcisnęła jej w rękę, dopiero potem zorientowała się, co to jest. Sabina już wygrzebywała z torebki dowód rejestracyjny.

– Łazisz po mieście, napadają cię jacyś ludzie, śledzą cię emerytki, to jest wyjątkowo dupna sytuacja. Masz prawo jazdy, prawda?

– Zrobiłam z Urzędu Pracy. Mieli kursy aktywizujące dla młodzieży – przyznała Żaneta.

– No, to który pedał jest od czego, wiesz. – Sabina sięgnęła na tylne siedzenie po parasolkę. – Tylko nie rozbij, bo odczuwam emocjonalną więź z tym autem. Plus Piotrek by się jeszcze bardziej wkurzył.

– Dzięki – wydukała Żaneta, przypominając sobie o dobrych manierach.

– Nie ma za co. – Sabina uśmiechnęła się promiennie, błyskając zębami, i wysiadła. Zanim Wawrzyniak zdążyła wygrzebać się z auta, jej szefowa odeszła w deszczu, kręcąc swoją czerwoną parasolką w czarne grochy.



Kindze przeszło przez myśl, że, kurczę, przepadło, złapała się za coś, co ją przerosło. Serio, ona chciała tylko odnieść sukces. Większy sukces. Złapać za nogi kurę znoszącą złote jajka. Wybić się. Skorzystać z tego, że jako jedna z niewielu osób ma świadomość istnienia świata nienormatywnego i jego szczególnych potrzeb.

A życie znowu nie było wobec niej fair! Nie udało jej się zamordować węża w celach marketingowych, nie udało jej się też podbić rynku nienormatywnych usługami targetowymi utylizacji.

Zastanowiła się przelotnie, czy ma dość odwagi, żeby gościowi powiedzieć, żeby sobie znalazł kogoś innego do tej brudnej roboty.

Wyszło jej, że nie.

## 8. Wtorek

Koło pierwszej w nocy Piotr uznał, że listopadowe poniedziałki to są naprawdę nieodpowiednie dni, miesiące i pory roku na rewolucyjne i zmieniające tożsamość rewelacje i przemyślenia.

Przede wszystkim dlatego, że w listopadowe wieczory wszystko wyglądało... gorzej. Zimniej. Bardziej ostatecznie i nieprzyjemnie. Kiedy świeciło słońce, kiedy dni były długie, a noce krótkie, kiedy przez uchylone okna wkradało się do wnętrza ciepłe powietrze, wtedy wszystko było prostsze i łatwiejsze do zniesienia.

Tymczasem trwał listopad, słońca nie było widać nawet w dzień, a czterdzieści dwie świece, owszem, robiły atmosferę i do tego przyjemnie pachniały lawendą, Piotr siedział, ubrany w swój szlafroczek Hannibala, jak zaczął go w myślach nazywać, na swoim przyjemnie kremowym dywanie i pracowicie zamalowywał pola na piątej kartce z kołem życia. Autoewaluacja własnych uczuć i opinii szła mu bardzo dynamicznie, w zasadzie wręcz za dynamicznie. Nie był pewien, czy jeszcze jest wściekły, czy już osiąga stan zen-akceptacji, czy może naprawdę powinien zadzwonić do Agnieszki Ryńskiej i poprosić, żeby go ze sobą zabrała na tego paintballa albo jakieś tajskie boksy, na które entuzjastycznie uczęszczała.

Na fragmencie koła oznaczonym jako „aktywność fizyczna” zaznaczył sobie osiemdziesiąt procent. Może nie umiał się boksować, ale biegał regularnie. Bieganie było spoko, pozwalało na chwilę oderwać się od rzeczywistości, złapać dystans i przez jakiś istnieć w harmonii z samym sobą. A to się Piotrowi rzadko zdarzało.

Na obszarze, który opisał jako „równowaga wewnętrzna”, spisał sobie odruchowo czterdzieści procent, jak zwykle. Zawahał się z flamastrem w dłoni. To była myśl rewolucyjna i wykraczająca poza strefę komfortu, ale może mógłby popracować nad tym, żeby podnieść tę wartość, powiedzmy do czterdziestu pięciu? W zasadzie to całkiem niedawno stawiał czoło tej mroczniejszej stronie swojego ja i, owszem, trochę go to strauumatyzowało, ale w zasadzie wyszedł z tego starcia z tarczą...

W punkcie „związki” odjął pięć punktów. Zdecydowanie musieli z Sabiną

popracować nad wzajemną szczerością, wtedy ocena wróci na dziewięćdziesiąt.

Wahania pomiędzy tym, czy obszar „rodzina” na kole życia oznaczyć na dziewięćdziesiąt procent, jak zwykle, czy może na trzydzieści, przerwał mu dzwonek domofonu.

Zdziwił się, kto może dobijać się o tej porze, ale zaraz przyszła mu do głowy cała lista. Jego matka, Sabina, Żaneta, może znowu Ewa...

Nie zapytał matki o skażony żywności!

Zapomniał! Zapytał o szamaństwo, zapytał o śledzenie Żanety, nie zapytał o to, co mogło zaszkodzić Sabinie!

Musiał porozmawiać z matką najlepiej jutro... to znaczy dzisiaj.

Z zaskoczeniem odkrył, że to była przyjemnie oczyszczająca myśl. Przede wszystkim odkryć, czy coś zagraża Sabinie, a jeśli tak, to co. Wobec takiego problemu kwestia tego, czy obrażać się na współniczkę albo dawać sobie i matce przestrzeń i na przykład nie rozmawiać przez tydzień, w ogóle przestawała istnieć.

Od razu, nie bacząc na godzinę, pojechałby do Brzeziny, albo przynajmniej zadzwonił do matki, ale domofon znowu zabręczał.

Jeśli to była Ewa, to miał totalnie przechłapanie. Nie mógł sobie wyobrazić, że staje przed nią i oznajmia, że zapomniał porozmawiać z matką o glebie pod Namysłowem, bo był zajęty przeżywaniem kryzysu egzystencjalnego.

Zabiłaby go jednym perfekcyjnym uniesieniem kunsztownie ukształtowanej brwi.

Domofon zaczął wydawać z siebie całą serię nerwowych bzyczeń i Piotr odetchnął z ulgą. To nie była Ewa, tylko Sabina. Sabina, która nie będzie mu zadawała niewygodnych pytań na temat tego, co wie o braku równowagi w przyrodzie.

Otworzył drzwi klatki, nie podnosząc słuchawki. Przekręcił zamek w drzwiach i czekał, aż na korytarzu rozlegną się kroki. Otworzył, zanim zdążyła zapukać czy zadzwonić.

Sabina była cała przemoczona, jakby całe popołudnie i wieczór łąziła po dworze w deszczu. Spodnie i płaszcz miała tak mokre, że ledwie dało się rozpoznać, jakiego były koloru, końcówki włosów przypominały macki meduzy z trwałą ondulacją. Suchy miała tylko czubek głowy, zapewne za sprawą ogromnej czarno-czerwonej parasolki. W lewej ręce ścisnęła reklamówkę pełną czekoladek i podpałki na grilla.



– Na stacji benzynowej nie mieli świeczek lawendowych – oznajmiła ponuro, stając przed drzwiami Piotra. – Kupiłam podpałkę i lawendowy odświeżacz powietrza. Jakby nam wybaczenie nie wyszło, to zawsze możemy coś wysadzić – podsunęła niepewnie. – Serio myślałam, że z tym wyparciem to jesteś szczęśliwszy. A skoro tak, to co ci będę złudzenia rozwalać? Przecież co raz powtarzasz, że nie masz superwizora, nie masz do kogo iść na terapię, jak ci pójdzie psychika, to co ci zostanie?

Piotrek bez słowa odsunął się i wpuścił ją do mieszkania.



Szlafrok Hannibala był na Sabinę zdecydowanie za duży, ale otuliła się nim niczym królewskim płaszczem, rozsiadła na dywanie, przysuwając boscie stopy do kaloryfera, na którym suszyło się jej ubranie, i zajęła się wsuwaniem jednej czekoladki za drugą. Jednocześnie próbowała nie oddychać za często.

– Mogę zgasić trochę świeczek – zaoferował się wspaniałomyślnie Piotr.

– Nie – zaprotestowała stanowczo Piechota. – Moja pokuta będzie śmierdziała lawendą, zbuduję sobie asocjację i co mi zaleci tym twoim zielskiem, to będę sobie przypominać, że mam być lepszym nieczłowiekiem i brutalnie szczerą przyjaciółką.

Strzeleckiemu przeszło przez myśl, że kiedyś ta deklaracja Sabiny zapewne wróci, by go kopnąć w cztery litery, ale na razie czuł się nią w pełni usatysfakcjonowany. Siedział obok strzygi na dywanie, ubrany w swój najstarszy dres, i spowijały go delikatne fioletowe opary, od których kręciło mu się w głowie – Piechota wysikała w pokoju pół kupionego odświeżacza i sztuczny ekstrakt z lawendy wypierał tlen z powietrza. W takich okolicznościach listopadowe wieczory – no, właściwie to już noce, by nie rzec bardzo wczesne poranki – wydawały się wręcz idealne na dokonywanie głębokich przemyśleń i podejmowanie decyzji sięgających aż po sam rdzeń tożsamości.

Pogrążony w rozmyślaniach Piotr wyłączył się na chwilę i do rzeczywistości przywołał go dopiero monolog Sabiny.

– ...i w zasadzie to mam wrażenie, że powinnam stać pod twoimi drzwiami z bukietem lawendy i na kolanach błagać o wybaczenie, ale o tej

porze roku i nocy nie mogłam nigdzie bukietu dorwać, ale jutro mogłabym podjechać do Siechnic i zobaczyć, co mają w szklarniach. Ewentualnie poczekać do wiosny, lawenda na wiosnę chyba kwitnie? Czy ona jest jak wrzosa, bo coś mi się wydaje, że wrzosa jesienią, no ale to by była trochę kicha, bo bym musiała rok czekać, aż mi wybaczysz, no, chyba żeby jednak ze szklarni...

– Sabino – oznajmił tonem uroczystym Piotr, któremu niepewność egzystencjalna współniczki psuła osiąganą właśnie harmonię. – Rzecz w tym, że gdybym postanowił strzelić słusznego i w pełni uzasadnionego focha, to, owszem, byłbym w prawie moralnym, ale moje życie stałoby się gorsze. Potrzebuję cię w nim, żeby było lepsze. Więc wybaczam ci, Sabino – zakończył patetycznie.

Po jego oświadczeniu zapadła cisza, przerywana tylko odgłosem chrupania batonika. Piechota leżała na dywanie, ze stopami opartymi o żeberka kaloryfera i z rozczuleniem wpatrywała się we współnika, oczywiście zagryzając te pozytywne emocje słodyczami.

– Masz takiego bez czekolady? – zainteresował się Strzelecki.

– Mam takie pseudozdrowe coś z owoców i ziaren zlepionych cukrem.

– To daj.

Sięgnęła na oślep do siatki i rzuciła w niego batonikiem zbożowym. Piotr położył się na podłodze obok Sabiny i pięty wepchnął między żeberka kaloryfera. W stopy było mu ciepło, nad sobą miał biały sufit i rzucający ciepłe światło żyrandol, obok siebie swoją współniczkę i najlepszą przyjaciółkę. Życie było generalnie okej, a w każdym razie wracało do tego poziomu.

– Jesteś najdoskonalszym związkiem mojego życia – oznajmiła z emfazą Sabina. Piotr obrócił głowę, tak że ich twarze znajdowały się może z dziesięć centymetrów od siebie.

– Jestem jednym z czterech istotnych związków w twoim życiu, z czego jeden istnieje tylko w twojej głowie. Dużej konkurencji nie mam – zauważył przytomnie.

Piechota wzruszyła ramionami, co ze względu na pozycję, w jakiej się znajdowała, przypominało trochę nieudaną próbę czołgania się na plecach.

– Skoro tak stawiasz sprawę, to spadasz na drugie miejsce – oznajmiła. – Zaraz za Ewcią.

– Ale przed Andriejem i Majewskim?

– Przed Andriejem i Majewskim – potwierdziła.  
– Powinienem ci uświadomić, jak to jest emocjonalnie niezdrowe... – westchnął.  
– Cicho siedź. Dobrze wiesz, że ja jestem najdoskonalszym związkiem twojego życia – wytknęła przytomnie. – Na pierwszym miejscu. Chcesz sam siebie uświadamiać?  
– Nie. A już zdecydowanie nie dziś – odgryzł kawałek batonika.  
– No widzisz. To zamknij się, jedz batoniki i tylko mnie kochaj. Platonicznie, of kors.  
– Sprowadziłaś naszą relację do tytułu polskiej komedii romantycznej...  
Ponownie wzruszyła ramionami, prawie marszcząc dywan.  
– Wiesz chociaż, o czym ten film był? – zainteresował się Strzelecki.  
– No co ty, tam nie było łowców potworów, psychopatów ani przemocy. Nie oglądam takich rzeczy. Ale tytuł ładny.  
Piotr westchnął, a raczej próbował. Przeszkodził mu batonik, który Piechota wetknęła mu w usta. Przegryzłby go, ale folia szeleściła w zębach.  
– Jedz – zachęciła. – Przeczekamy to i jutro znowu pójdziemy nad rzekę.  
– Nad jezioro – poprawił Strzelecki, rozrywając opakowanie. – I pojedziemy. To z pięćdziesiąt kilometrów jest.



Żaneta spędziła poniedziałkowy wieczór, oglądając w necie seriale dokumentalne o nastolatkach w ciąży, ostro pijącej amerykańskiej młodzieży i ludziach mających problem z wyrzucaniem śmieci. Zawsze uważała, że tego typu programy to jeden wielki telewizyjny szajs, ale nagle poczuła w bohaterami więź. W końcu jej sytuacja nadawałaby się na temat odcinka u Drzyzgi. Ba, mogłaby robić tour po wszystkich telewizjach śniadaniowych. I ten poziom wariactwa osiągnęła, nie wchodząc nawet na grząski grunt swojego nieistniejącego życia uczuciowego.

Jakby faktycznie ruszyła z takim patopsychoanalitycznym tourem, to pewnie szast-prast i skończyłaby, umawiając się z jakimś celebrytą klasy C albo D. I mogłaby zapomnieć o pięknym Dawidzie i niewiernym Pawle. Zawsze byłby to jakiś plus tej porąbanej sytuacji.

Zasnęła z tą optymistyczną myślą i rano wstała może nie świeża jak

pierwiosnek i radosna jak skowronek, ale przynamniej mniej przygnębiona. Oczywiście nie taki zły nastrój szlag trafił, gdy wyszła z kamienicy i zobaczyła stojącego obok beemki Sabiny passata. I Ludmiłę Marciniak, w całej glorii ortopedycznych trzewików, szarego płaszcza i wydzierganego na drutach kompletu – beretu i szalika w kolorze sinogłębiowym. Jakimś cudem, na tle burych kamienic i pełnego błota podwórka, ta jej szarość wręcz lśniła.

– Kur... – wyrwało się Żanecie, zanim zdążyła się w pół słowa opanować. Marciniakowej coś błysnęło w oku.

– Klnij sobie na zdrowie – oznajmiła łaskawie. – To bardzo pomaga rozładować napięcie i zachować zdrową psychikę.

– Serio? I to ma mnie zachęcić do rozmowy?

Marciniakowa przez chwilę błądziła wzrokiem po ścianach okolicznych kamienic.

– Nie wychodzi mi za dobrze zachęcanie, bo mnie nikt nie zachęcał. No, chyba że do jedzenia brokułów – przyznała. – Ale tak sobie pomyślałam, że w ramach poprawiania stosunków to mi opowiesz o tej swojej ekologii, środowisku i ratowaniu. A ja ci pokażę coś środowiskowego. Może nawet do uratowania.

– Czyli nagle zamiast gapić się na mnie jak jakiś świr, przyjeżdża pani i chce zasuwać gadkę szmatkę na wspólne tematy? – podsumowała Żaneta. – Po co?

Ludmiła westchnęła głęboko.

– Rozmawiałam wczoraj długo z Marysią i wyszło nam, że niewłaściwie podchodziłyśmy do niektórych spraw. Między innymi do ciebie.

– No serio? – zdziwiła się ironicznie Żaneta.

Ludmiła zignorowała ten sarkazm.

– I przyszło nam do głowy, że powinnam trochę odpuścić i zmienić podejście.

– Odczepić się ode mnie i nie wystawać mi rano pod domem? – podsunęła Wawrzyniak.

– No, ostatecznie to tak. – Kobieta gestem dłoni powstrzymała Żanetę, która już chciała domagać się ostateczności. – Zanim coś powiesz, daj mi szansę i posłuchaj, co wymyśliłam.

Żaneta westchnęła. Nie podobała jej się ta nagła wizyta. Piotr mógł sobie kupować te gadki o trosce matczynej i macoszej, ale jej coś tu nie grało. Nie

umiała tylko nazwać co dokładnie.

– No słucham.

– Chcę znaleźć wspólny grunt – oznajmiła z błyskiem w oku Ludmiła. – Marysia mi zwróciła uwagę, że za dużo... martwimy się o młodych z daleka. Patrzymy, pilnujemy, a tu trzeba rozmawiać i budować więzi. Piotrka zostawiam Marii, z Piechotówną... z Piechotówną trochę mi ciężko więź nawiązać, no ale przecież jesteś jeszcze ty. – Ludmiła uśmiechnęła się życzliwie i przyjaźnie. Jak głodny rekin.

– No zajebiście, że jestem jeszcze ja – zgodziła się Wawrzyniakówna.

– Ano ty. Nie pogadam o psychologii, na szkoleniu z BHP się zawsze nudziłam jak mops, ale ty się interesujesz ekologią. A to jest łatwe do pojęcia: segregować śmieci, nie deptać trawy, chronić zwierzątka.

Żaneta łypnęła na nią podejrzliwie spode łba.

– No i...?

– No i Marysia powiedziała, że może mogłabyś nam pomóc. I przy okazji się wdroić w tę nienormatywną ekologię, bo w zasadzie nie było komu się tym zająć...

– To znaczy...? – nie odpuszczała Żaneta.

– Że Marysia... Mamy problem. A z twoją pomocą może łatwiej będzie go rozwiązać i może przy okazji znajdziesz dla siebie niszę. Jak Piechotówna.

– A haczyk? – Żana łypnęła na nią nieufnie spod kolorowej grzywki.

– Nie ma. Powiesz „nie” – zmywam się z twojego życia. Na tyle, na ile się da, bo w Siedlisku mamy z Sabiną wspólne interesy. No, chociaż, owszem, jeden haczyk jest – poprawiła się zaraz. – Pojedziemy dzisiaj do Nysy.

– My, czyli kto?

– Marysia, ty i ja.

– Nie wsiądę z panią do auta – zastrzegła od razu Żaneta.

Marciniak wzruszyła ramionami.

– Nie musisz – powiedziała. – Pociągi jeżdżą, ale przecież Piechota zostawiła ci swój samochód. – Skinęła głową w stronę beemki. – Możesz jechać sama.

Wawrzyniak, która od zdania egzaminu na prawko nie miała okazji siedzieć za kierownicą, o samodzielnym wyjeździe poza granice Brzegu nie wspominając, zdusiła rodzący się w jej wnętrzu gwałtowny wybuch paniki. Po pierwsze, nie zamierzała okazywać takich emocji przed Marciniakową. Po drugie, głupio jej było, że się boi prowadzić. Po trzecie, mogłaby pojechać

pociągiem, ale jeśli będzie musiała szybko uciec? Diabli wiedzą, co ta baba chce jej pokazać... Po czwarte, Sabina w końcu zostawiła jej kluczyki, żeby dziewczyna czuła się bezpieczna...

– Wyślę Sabinie informację, dokąd jadę i z kim – oznajmiła tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Wysyłaj, komu chcesz. Gdzie jest jezioro, wiesz?

Żaneta skinęła głową.

– To spotkamy się za godzinę na parkingu przy plaży.

– Za półtorej... nie, za dwie – poprawiła natychmiast Żaneta, niepewna, czy będzie w stanie psychicznie znieść jazdę szybszą niż czterdzieści na godzinę, no może pięćdziesiąt, jeśli postanowi żyć niebezpiecznie. – Mam sprawy do załatwienia – dodała kłamliwie.

– Niech będzie – zgodziła się Marciniak. Skinęła dziewczynie głową na pożegnanie, wsiadła do passata i odjechała.

Gdy tylko auto zniknęło jej z oczu, Wawrzyniak wyciągnęła z kieszeni telefon i nerwowo zaczęła sprawdzać na mapach Google dojazd do Nysy. Owszem, była tam parę razy, ale nigdy jako kierowca i to bez towarzystwa!



Dokładnie sto szesnaście minut później Żaneta zaparkowała beemkę Sabiny na uklepanym poboczu drogi, nerwowo oceniając, jak bardzo ryzykuje, że ktoś skosi Piechocie lusterko. Bezpiecznie byłoby zaparkować trochę głębiej, na ubitym trawniku służącym za prowizoryczny parking, ale tam były wyboje przerastające swoim rozmiarem aktualną odporność psychiczną dziewczyny. Już do Nysy jechała z duszą na ramieniu, nerwowo próbując sobie przypomnieć, czy pierwszeństwo mają ci z prawej czy ci z lewej. Włókła się przez całą trasę, ale nikt na nią nawet nie zatrąbił, a większość wyprzedzających, zwłaszcza tych na miejscowych rejestracjach, jechała prawie poboczem przeciwległego pasa.

Wawrzyniak wywnioskowała, że biedni ludzie musieli kojarzyć auto Sabiny albo po prostu uważali, że za kierownicą beemki, jadącej w miarę przepisowo i do tego tak wolno, musi siedzieć co najmniej jakiś poszukiwany kryminalista.

Passat Strzeleckiej już stał na gruntowym parkingu obok wałów

otaczających jezioro, a Marciniakowa, w szarym płaszczu, owinięta popielatym szalem, czatowała niczym zziębnięty gołąb u stóp prowadzących na górę schodów. Matki Piotra nie było nigdzie widać, ale Żaneta podejrzewała, że spotkają ją na wałach.

Wysiadła z auta, otrzepała kurtkę, pyknęła zamkiem centralnym i na wszelki wypadek jeszcze pociągnęła za klamkę od drzwi, żeby sprawdzić, czy na pewno są zamknięte. Były.

Włożyła kluczek do kieszeni, obok komórki, i uświadomiła sobie, że zapomniała wysłać esemesa do Sabiny.

Przepadło! Jeśli ją tu zamordują, to strzyga jej nawet nie pomści. Chociaż nie, może się domyśli. Poza tym na pewno będzie szukać auta. No, chyba że Marciniakowa je na przykład utopi w jeziorze, żeby zatrzeć ślady.

Przez jeden ułamek sekundy Żanecie przemknęło przez myśl, że właściwie nie wie, co w takiej sytuacji by Piechotę bardziej rozwścieczyło: utrata praktykantki czy samochodu. Tak czy siak, Marciniakowa miałaby przechłapanie.

– Idziesz? – zniecierpliwiła się jej potencjalna morderczyni. – Przestań tam kwitnąć, nic ci nie zrobię.

Żaneta wzięła głęboki oddech. Zaskakujące, ale pomogło. Zupełnie jakby powietrze mówiło jej, że jest bezpiecznie. Słyszała to wręcz w szumie wiatru. Czuła w zwiędłych źdźbłach trawy uginających się pod podeszwami botków. Równie dobrze samolot mógłby wypisać zapewnienie wielkimi literami na niebie, tak było to wyraźne.

Pożałowała, że nie słuchała, gdy na samym początku Sabina perorowała o dziadach borowych i ich supermocach. Pamiętała tylko, że uznała je wtedy za drętwe i ogólnie mało super, plus sama nazwa – dziad...

Na szczęście wychodziło na to, że Żana nie musiała wiedzieć, jakie ma moce, żeby z nich korzystać.

Ruszyła w stronę Marciniakowej, dużo spokojniejsza, wręcz w dobrym humorze. Deszcz nie padał, za ciepło może nie było, ale jak na listopad to całkiem okej, słońca oczywiście jak na lekarstwo, ale niebo było nawet jasnoszare, a chmury lekkie i przyjemne jesienią... Na wały wokół jeziora prowadził milion schodów i zanim doszły na górę, Żaneta miała lekką zadyszkę. Było to podwójnie żenujące, bo ze trzy razy starsza od niej Marciniakowa pręta do przodu krokiem miarowym, jakby szła z koszem po Biedronce.

Kiedy wreszcie doszły na górę, rozpostarło się przed nimi jezioro. Żaneta bywała tu w lecie, ale nigdy jesienią. Woda była szara, jak niebo, i niemal zlewała się z nim w jeden bezmiar. Widoczne na horyzoncie góry niknęły częściowo w chmurach, czy może we mgle. Widok był niesamowicie uspokajający i piękny.

Na wałach nie było zbyt wielu ludzi, kilkoro biegaczy w oddali, jeden spacerowicz z psem i skulona figura na ławce jakieś pięćdziesiąt metrów dalej. Plus zdesperowany wędkarz po drugiej stronie wałów, nad samą wodą.

I oczywiście Marysia Strzelecka, stojąca plecami do nich. O ile Marciniakowa wyglądała, jakby tą swoją szarością mogła wtopić się w tło i w nim zniknąć, to Maria sprawiała wrażenie dorysowanej do rzeczywistości kolorowymi pastelami. Płaszcz miała turkusowy, wokół szyi owiniętą wielokolorową chustę, na nogach czerwone kozaczki. Jasne włosy lśniły w promieniach słońca, które przecież wcale nie świeciło zza chmur. Jeśli jezioro było bladym i cichym spokojem, to Marysia była barwną i głośną feerią życia.

Kiedy podeszły bliżej, odwróciła się i przywitała je szerokim, pięknym uśmiechem. Gdyby powietrze i ziemia nie zapewniły Żanety wcześniej, że wszystko będzie dobrze, zrobiłby to uśmiech Marysi. I woda...

Nie, w wodzie był jakiś niepokój. Wawrzyniak zmarszczyła brwi. Coś było nie tak. Nie było strachu, nie było lęku, nie było niebezpieczeństwa...

– Niepewność – podpowiedziała Strzelecka, najwyraźniej czytając jej w myślach, a może tylko odgadując po minie, o czym Żaneta myśli. – On nie jest pewien, co się dzieje, ale boi się tylko troszeczkę. Ufa nam. I bardzo nie chce być już sam.

– Kto? – zapytała Żaneta.

Maria uśmiechnęła się zagadkowo.

– Niedługo się przekonasz. Ale teraz chodźcie, nie jesteśmy tu same.

Ruszyła wzdłuż wałów.

Żaneta wzięła jeszcze jeden głęboki oddech i poszła za nimi. Powoli, powietrze mówiło, że nie ma się co spieszyć.

Na ławeczce pięćdziesiąt metrów od schodów siedziała owinięta czerwoną kurtką puchówką Sabina. Z jednej strony wystawała z puszystej oponki drobna, ciemna głowa, z drugiej chude nóżki odziane w dżinsy i glany, a z lewego rękawa drobna, blada ręka dzierżąca batonik. Prawą dłoń Sabina miała schowaną w kieszeni.



To był pierwszy raz, kiedy Wawrzyniak widziała swoją szefową w czymś, w czym nawet chuda pajęczycza wyglądała jak szynka babuni. Nie wstydziła się przyznać przed sobą, że ten widok ją uszczęśliwił.

– Sabinko, dziecko, a czapka gdzie? – Marysia załamała rękę.

Strzyga odwróciła się, słysząc jej głos. Nie wyglądała na specjalnie zdziwioną widokiem ich trzech, chociaż przecież Żaneta nie wysłała jej wiadomości, gdzie będzie i z kim. Zamiast odpowiedzieć Marii, wyjęła rękę z kieszeni. Trzymała w niej czerwoną czapeczkę, niewątpliwie wykonaną ręcznie na drutach, zapewne przez Strzelecką. Posłusznie nałożyła ją sobie na głowę.

– Miałaś jej esemesa wysłać, nie ją tu ściągać – mruknęła wyraźnie niezadowolona Marciniakowa.

Piechota musiała ją usłyszeć, bo wyciągnęła z kieszeni komórkę i zerknęła na ekran.

– Nie dostałam esemesa – zgłosiła pretensję do praktykantki.

– Zapomniałam wysłać z tego wszystkiego – przyznała Żaneta.

Marciniakowa uniosła potępiająco jedną brew, dokładnie to samo zrobiła Sabina.

– Zero instynktu – westchnęła Ludmiła.

– No – zgodziła się Piechota. – Przecież mogły cię tu zamordować.

– Właśnie – przytaknęła Marciniak. – Nie znasz nas, nie wiesz, że jesteśmy w porządku i szczerze. Nie powinnaś tak ufać ludziom. Was jednak trzeba pilnować na każdym kroku.

Sabina energicznie pokiwała głową i odgryzła kawałek batonika.

– Zapomniałam – zachnęła się Żaneta. – Poza tym wiedziałam, że tu jest okej. Powietrze... powietrze pachnie bezpiecznie.

Piechota wyciągnęła z kieszeni wafelek.

– Skoro tak, to luz – stwierdziła.

Marciniakowa nie wyglądała na przekonaną.

– Jak powietrze może pachnieć „bezpiecznie”?

– Helo! – Sabina zamachała papierkiem od słodczy. – Dziad borowy! – Wskazała na Żanetę. – Bór! – Machnęła ręką, obejmując gestem wszystko wokoło. – No, metaforyczny bór – dodała krytycznie, spoglądając na wały, trawę, plażę, zabudowania, drogę i rzucający się w oczy brak gęsto rosnących drzew. – Żanka się komunikuje bezpośrednio z naturą. Nie uczyli pani tego w Kaer Morhen?

– Chodziłam do technikum w Brzegu – wyjaśniła Ludmiła. – A w rodzinie to raczej przekazywaliśmy sobie, jak takich jak wy zabijać, nikt się na pogaduszki specjalnie nie zatrzymywał i w temat nie wgłębiał.

– Jak miło – uznała Piechota. Żaneta aż się wzdrygnęła i po raz kolejny zadała sobie pytanie, w co się właściwie pakuje.

– To co cię tu przywiało? – nieustępliwie wróciła do tematu Marciniakowa.

– Czekam na Piotra – wyjaśniła Piechota. – Kółka robi. – Machnęła dłonią w stronę jeziora i małej postaci biegacza majaczącego na wałach. Zbliżał się do nich, co oznaczało, że jeśli Strzelecki faktycznie okrążył jezioro, to musiał to robić już od jakiegoś czasu.

– I tak tu siedzisz?

– Spoko, nie nudzę się, podczytuję sobie rozporządzenie o polach elektromagnetycznych. – Piechota ponownie wyciągnęła z kieszeni komórkę i pokazała odpalonego PDF-a. – A jak coś, to w bagażniku mamy grill jednorazowy, podpałkę i pianki do pieczenia. I makaron z cukinią dla Piotrusia. – A wy co tu robicie? Znowu śledzicie Żanetę? – zainteresowała się podejrzliwie. – Bo myślałam, że ten etap mamy już za sobą.

– Przyjechałyśmy tu... porozmawiać – odpowiedziała jej niechętnie Marciniakowa. Widać było, że nie ma za bardzo chęci się strzydze tłumaczyć, ale też stara się nie być wobec niej niegrzeczna.

– Mogłyście sobie pójść w Brzegu nad Odrę – zauważyła Sabina. – Albo jak chciałyście tak strasznie iść w full konspirę, to na parking przy autostradzie. Albo do Ikei. Ikea jest najlepsza na tajne spotkania. I klopsiki mają. I ciasto.

Marysia oderwała się od obserwowania tafli jeziora i spojrzała na Piechotę z szerokim uśmiechem.

– W Ikei nie ma złotych cusiów.

– Pewnie mają, tylko pod jakąś dziwną nazwą – oznajmiła filozoficznie Sabina. – A co to właściwie jest złoty cuś?

– Zaraz wam pokażę.

– Ludzie... – mruknęła ostrzegawczo Ludmiła, rozglądając się wokół. Nie było ich za wiele, ale i tak za dużo.

– Schowam go – uspokoiła ją Marysia. – Nic nie zauważą.

– Zmęczysz się...

Strzelecka pogłaskała ją po policzku.

– Nie zmęczone – powiedziała. – To prosty rytuał.

Sabina natychmiast się ożywiła, wyrzuciła papierałek po batoniku do kosza i poderwała się z ławki.

– Będziemy odprawiać rytuał? Jakiś nowy?

– Przyzwanie i ukrycie – wyjaśniła Marysia. – Schowamy taflę jeziora przed normatywnymi i wezwiemy złotego cusia.

– Brzmi zarąbiście, ale czy to jest bezpieczne? Bo jeśli Żaneta przyjechała beemką, to mam w bagażniku czapkokaski...

– Zupełnie bezpieczne – zapewniła ją Marysia.

– Parasol by się przydał – mruknęła jednocześnie Ludmiła.

– Będzie padać? Ma kartę charakterystyki?

– To jest pradawny słowiański rytuał – weszła jej w słowo Strzelecka. – Absolutnie bezpieczny. Żadnych szkodliwych substancji. Hałas minimalny. Żadnego promieniowania. No, zmienne warunki atmosferyczne, bo jesteśmy na dworze. I trochę biologii, bo jest złoty cuś. Ale on jest absolutnie całkiem niegroźny. Same zobaczycie.

Żaneta nie czuła się specjalnie uspokojona, wręcz przeciwnie, miała wrażenie, że w podobny sposób zaczynał się jakiś horror, który oglądały z Pati, ale ulżyło jej, że ma obok siebie Sabinę. Strzyga stała na skraju chodnika, opierając czubki butów na krawężniku, i niemal podskakiwała niecierpliwie. Marciniakowa rzucała jej nieprzychylnie spojrzenia, wyraźnie niezadowolona z dodatkowego towarzystwa, ale nie protestowała.

Marysia Strzelecka podeszła na skraj schodów schodzących w dół, do tafli jeziora. Z kieszeni wyciągnęła słuchawki, wetknęła je w uszy, a kabelek podczepiła do telefonu. Włączyła coś w nim i Żanecie przypomniała się muzyka medytacyjna, którą kiedyś uraczył je w biurze Piotr. Najwyraźniej szamańska magia wymagała orkiestry z piszczałek i bębnow... czy tam tamów. Logiczne, widziała kiedyś jakiś film, w którym szaman tańczył przy ognisku i tam była cała prymitywna, folkowa orkiestra... Oczywiście plemię dzikich chciało zjeść głównego bohatera czy może jego łaskę, ale film nie leciał na National Geographic, tylko chyba w nocy na Polsacie...

Marysia zaczęła przestępować z nogi na nogę, najpierw delikatnie i powoli, potem coraz bardziej energicznie. Wokół jeziora zaczęło się coś dziać. Powietrze dalej pachniało bezpieczeństwem, ale też ekscytacją, wiatr zaczął wiać mocniej, Żaneta musiała sobie porządnie naciągnąć czapkę na uszy i podnieść szalik tak, że spomiędzy warstw akrylu wyglądały tylko jej

oczy. Piechota wręcz przeciwnie, wyciągała szyję jak najmocniej, żeby jak najwięcej widzieć.

– Ja nie chcę biec do gwiazd, niech gwiazdy biegną do mnie – zaśpiewała nagle Strzelecka, unosząc dłonie do góry i wijąc się w takt melodii, ruchami, których pozazdrościłaby jej niejedna tancerka z teledysków. Powietrze wokół nich zrobiło się szare, jakby chmury zstąpiły z nieba i je otoczyły. Nie dało się już dostrzec drugiego brzegu jeziora ani zabudowań u stóp wału. Była tylko szara mgła, delikatna jak wata cukrowa, rozstępująca się wokół czterech kobiet i otwierająca przed nimi na jezioro.

– W zasadzie jestem pewna, że nie to nie jest pradawny słowiański rytuał, tylko Męskie Granie – stwierdziła sceptycznie Żaneta. Próbowwała dojrzeć cokolwiek, a jednocześnie zachować jak najwięcej ciepła, więc na przemian wysuwała i chowała głowę do swojego wełnianego kokonu. Wyglądało to, jakby była indyczką i nieudolnie próbowała tańczyć razem ze Strzelecką.

– Oj tam, oj tam! – skomentowała Sabina, dla odmiany niemal wyłaząca z ciekawości ze swojej kurtki przez kołnierz, i machnęła lekceważąco ręką. – Grunt, że działa. Patrz!

Faktycznie, tafla jeziora najpierw zaczęła delikatnie falować, potem coraz bardziej, a jej lustro zaczęło się unosić, jakby wypychane od środka jakąś siłą. Wreszcie woda zaczęła spływać, odsłaniając obły kształt. Zaokrąglony grzbiet miał wielkość co najmniej passacika, a długa, cienka szyja i niewielki, prawie idealnie okrągły łeb kołysały się w rytm melodii.

Ba, wyglądało na to, że mieszkaniec jeziora zadziera głowę, by sprawdzić, czy gwiazdy faktycznie do niego biegną. Była jedenasta rano, więc liczyć mógł co najwyżej na jesienne chmury.

– O kurde... – jęknęła Żaneta. – Nessie...

– Złoty cuś – poprawiła Marysia. Kołysała się w rytmie idealnie zgranym z potworem. – Polacy nie gęsi, swoje stworzaczki mają.

– Czynniki makrobiologiczne... – wyszeptała zachwycona Sabina. – To gryzie? Jest szczepione? Przenosi choroby? Przygniotło kogoś? Zjadło?

– Przecież ci mówiła, że jest niegroźny – syknęła Marciniakowa.

– On waży z pięć ton. Przydeptało panią kiedyś pięć ton? – zapytała Piechota, nie odrywając wzorku od cusia. – Bo to jest niebezpieczne, zaręczam.

– Skąd wiesz, że akurat pięć? – zainteresowała się Żaneta.

– Widziałas słonia w telewizji? Waży tak do szczęściu. A cusiek wygląda na

takiego słonia, tylko trochę odwrotnego, szyja zamiast trąby...

– Czy wy możecie po prostu podziwiać cud natury? – nie wytrzymała Marciniakowa. – Marysia przyzwała stworzenie mityczne, rzadkie, na wyginieciu...

– Pani rodzina mu rodzinę wybiła? – zgadła Sabina.

Marciniakowa sprawiała wrażenie, jakby zaraz miała eksplodować.

– Moja rodzina wybiła przez ostatnie kilkaset lat całkiem sporo... nienormatywnych – wycodziła przez zaciśnięte zęby. – Na to nic nie poradzę. Ale z Marysią robimy, co możemy, żeby pomóc tym, które przetrwały. Te cusie, co ich wuj nie dopadł, rozproszyły się, jak przy powodzi spuścili wodę z jeziora. Nie znalazłyśmy ich do tej pory i nie wiem, czy w ogóle jest czego szukać. Tylko on tu został. I dlatego teraz zamierzam dopilnować, żeby temu się nic nie stało. I zabrać go do Brzegu.

Z otaczającej je mgły wybiegła nagle ciemna postać i zatrzymała się gwałtownie tuż obok Żanety. Wawrzyniakówna prawie podskoczyła, bardziej z zaskoczenia niż ze strachu, bo rozpoznała Piotra. Ubrany był w czarny dres z odblaskami, a na głowie miał różową czapkę. Zupełnie zignorował stojące na wale kobiety, skupiony wyłącznie na melodyjce i podrygującym cusiu.

– Osiągam etap zen – oznajmił, nie kierując słów do nikogo konkretnego. W uszach miał słuchawki, w których mongolski śpiew gardłowy rozlegał się na tyle głośno, że nawet stojąca obok Żaneta go słuchała, a na szyi zawieszony materiałowy woreczek z lawendą. – Nic mnie nie rusza, nic mnie nie dziwi. Akceptuję rzeczywistość. Jestem jednością z wszechświatem. Odkrywam, że w jeziorze, wokół którego biegałem, żyje dinozaur i przyjmuję to ze spokojem...

– To nie dinozaur – poprawiła Marysia. – Dinozaury wyginęły. To bardziej...

– Smok – podsunęła Żaneta.

– ...manat – dokończyła Strzelecka.

– Manaty nie mają takich szyi – zauważyła Sabina.

– Ciiii, nie mów tego głośno, bo mu się zrobi przykro. On wrażliwy jest.

Piotrek oderwał się na chwilę od kontemplowania wynurzającego się z odmetów jeziora Nyskiego stwora mitologicznego i spojrzał na towarzystwo, w jakim przyszło mu to dziwowisko obserwować.

– Mamo, co wy tu robicie? – zainteresował się, zerkając podejrziwie na

Marciniakową i przysuwając się bliżej do Żanety, jakby chciał ją obronić przed bliżej nieokreślonym niebezpieczeństwem. Zatrzymał się jednak niepewnie w pół kroku, zerkając na Sabinę. Nie mógł się zdecydować, którą z nich powinien osłaniać.

– Pokazujemy Żanecie rodzime środowisko, ekologię, znaczy – wyjaśniła pogodnie Marysia. – Żeby sobie dziewczyna wyrobiła zdanie na temat drogi zawodowej.

Strzelecki spojrział z niedowierzaniem najpierw na cusia, a potem na własną matkę.

– Do Brzegu go chcemy zabrać – wyjaśniła Marciniakowa, najwyraźniej zdeglustowana niezrozumieniem na twarzy Piotra. – Żeby miał towarzystwo i żeby twoja mama mogła go częściej odwiedzać.

– Aha. – Strzelecki lekko spuścił parę i wyraźnie mu ulżyło. Zamknął oczy i wziął głęboki wdech. – Osiągam etap zen... – szepnął sam do siebie.

– I wszyscy jesteśmy z tego i z ciebie bardzo dumni – oznajmiła Sabina. – Ale mam wrażenie, że lepiej by było, jakbyś wsuwał ze mną pierniczki.

Strzelecki otworzył jedno oko i łypnął na nią potępiająco.

– Sabino, ja mam dyplom z psychologii i lepiej wiem, jak sobie radzić w sytuacjach kryzysowych – rzekł z godnością. – Ty lepiej kombinuj, jak bezpiecznie przewieźć jaszczurkę do Brzegu, ja wykombinuję, jak zaakceptować to, że będzie mieszkała w Odrze.

– Zrób grupę wsparcia dla lokalsów – podsunęła Żaneta. – Ja się zapiszę.

– Dziękuję ci, Żaneto, za konstruktywną uwagę. Tak zrobię.

Złoty cuś przestał się wreszcie wynurzać i dryfując po powierzchni jeziora, podpłynął do robiącej z pełnym poświęceniem jednoosobową meksykańską falę Marysi Strzeleckiej.

– Pokemon – odezwała się w oszołomieniu Żaneta, przyglądając się obłej główce pokrytej wianuszkami wypustek.

– A wiesz, że nawet... – zgodziła się Sabina.

– To jest pradawny stwór. Zagrożony gatunek – warknęła Ludmiła. – Okażcie trochę szacunku.

– No przecież szanujemy bardzo – zauważyła trochę nieprzytomnie Piechota, mierząc złotego cusia krytycznym spojrzeniem. – Plus, na mekę chyba wejdzie. Jakby wytrzymał tak z godzinę bez wody, to mogę raz-dwa ciężarówkę załatwić. Jak potrzebuje wody, to może być problem, bo wtedy nie pojedzie plandeką, a do kontenera chyba mu łeb nie wejdzie, chyba żeby

zdemontować część... – Przechyliła się na bok, próbując oszacować rozmiar stworzenia względem ciężarówki.

Cuś był już całkiem blisko wałów. Mimo że imponujących rozmiarów, nie był na tyle duży, żeby sięgnąć do stojących na górze osób. Marysia, nie przestając tańczyć i podśpiewywać, zbiegła mu na powitanie do połowy schodów. Marciniakowa, niemal fukając w stronę nienormatywnych, podążyła za nią niczym troskliwa gołębica. Piechota, próbując ogarnąć wzrokiem jak najwięcej cusia, niemal przewróciła się pod wpływem własnych wygibasów. Otrzeźwiło ją to na tyle, że bez wahania podążyła za kobietami w dół.

Na wałach zostali tylko Żaneta i Piotr.

– U ciebie wszystko w porządku? – zapytał psycholog. Nie wyglądał na specjalnie zainteresowanego odpowiedzią, o co Wawrzyniakówna nie miała najmniejszych pretensji. Ciężko rozmawiać konstruktywnie o uczuciach i emocjach, gdy kilka metrów niżej pokemon tańczy z czyjąś matką.

– Chyba tak – powiedziała z wahaniem. – Wiesz, zaczynam się przyzwyczajać.

Strzelecki pokiwał głową.

– Gdzieś czytałem, że wyznacznikiem inteligencji jest umiejętność przystosowania się do sytuacji – rzucił. – Więc, rozumiesz, tak trzymać, zaufaj swoim szarym komórkom.

Żaneta była prawie pewna, że jej szare komórki obumarły podczas ostatniego sylwestra z Pati, ostatków z Pati, andrzejek z Pati, a niedobitki poddały się zatruciu alkoholowemu po wyjeździe na działki z Pati i jej kuzynostwem, ale może coś tam jej w głowie zostało. W końcu co cię zabije, to cię wzmocni.

– A u ciebie jak? – zainteresowała się uprzejmie.

– Idzie, idzie – odpowiedział automatycznie Piotrek. – No, biegnie właściwie, jak te gwiazdy w Męskim Graniu... – Wyciągnął nerwowo szyję, tak jak wcześniej robiła to Sabina. Powietrze zgęstniało i stojące w połowie schodów kobiety oraz pluskającego się u stóp wałów cusia widzieli jak przez mgłę. – Musimy tam zejść – oznajmił Strzelecki. – Sabina tam sama poszła...

– Sabina temu cusiowi przegryzie szyję raz-dwa, zobacz, jaką ma cieniutką – oceniła realistycznie Żaneta.

– Chodź, chodź – ponaglił ją zachęcająco Strzelecki, który już zupełnie przestał słuchać, i nie czekając na jej odpowiedź, zszedł po schodach.

Żaneta została na wale sama, otoczona przypominającymi watę chmurami. Powietrze dalej pachniało bezpiecznie, woda szumiała... radośnie. Dziewczyna odkryła ze zdumieniem, że ten zapach i ten szum jej wystarczą, żeby się w ogóle niczego nie bać. Może te jej moce borowe nie były takie do kitu, z pewnością nadawały się do zapewnienia sobie zdrowia psychicznego.

Zeszła powoli po schodach i dołączyła do pozostałych. Z tego miejsca znowu wszystko świetnie widziała.

Najniżej stała Marysia, wciąż tańcząca, teraz już w miejscu. Złoty coś był naprzeciw niej, kiwając okrągłym łebkiem na chudej, długiastej szyi wte i wewte. Teraz dało się dostrzec, że oczy miał złote i błyszczące. Żanecie bardziej przypominały bursztyny niż złoto, ale zrozumiała, skąd wzięła się nazwa stworzenia.

Kilka stopni wyżej, nad Strzelecką, Marciniakowa zajmowała prawie całe stopnie, blokując drogę Sabinie. Piechota wisiała jej na plecach, w ogóle nie zwracając uwagi na to, komu narusza przestrzeń osobistą. Oglądała w skupieniu cusia, mrużąc co chwila oczy i mamrocząc pod nosem. Na razie Sabina nie dojrzała jeszcze do tego, by zleźć po stromych ścianach wałów.

Piotr stanął za strzygą i nerwowo wyłamywał palce, jakby nie mogąc się zdecydować: łapać współniczkę i odciągać na bezpieczną odległość od łowczyni czy nie robić scen.

– Mogłaby się pani przesunąć? – zapytała wreszcie Piechota. – Chciałabym zejść niżej.

– Nie – burknęła Ludmiła. – Miałśmy pokazać Żanecie, na czym polega robota. Że ekologia, dobro, dbanie o równowagę w przyrodzie i opieka nad sympatycznymi stworzeniami – wyjaśniła szorstko. – I to właśnie robimy. Jej pokazujemy.

Sabina i Piotr zgodnie i niemal synchronicznie unieśli brwi z niedowierzaniem. Żadne nie popukało się znacząco w czoło, ale to raczej z szacunku do Marii niż z troski o uczucia Ludmiły.

– Żaneta jest naszą pracownicą, pozostaje pod naszą pieczęcią i jako jej mentorzy czujemy się zobowiązani w towarzyszeniu jej w odnalezieniu własnej drogi – oznajmił z godnością Piotr, prostując się statecznie.

– Poza tym po tym całym stalkingu wciąż mamy lekkie wątpliwości co do słuszności waszych metod – dodała beztrusko Sabina. – Lepiej trzymać rękę na pulsie.

Strzelecki odchrząknął.



– Dodatkowo, jako że sprawa złotego cusia leży na sercu mojej matce, bardzo bym chciał jej pomóc.

Marysia oderwała się na chwilę od tańców z mieszkańcem jeziora i rzuciła synowi czułe spojrzenie.

– A ja bym chciała dalej wystawiać faktury na Siedlisko – dodała rzeczowo Sabina. – I prowadzić firmę z Piotrusiem. I mieć Żanetę za biurkiem. Nic z tego nie wyjdzie, jak was to zwierzątko przygniecie, bo nie zachowaliście podstawowych zasad bezpieczeństwa, matołki. Poza tym zamówicie sobie same megę z niezadającym pytań kierowcą? Nie? Tak myślałam.

Ślizgając się po ścianie wału, wyminęła Ludmiłę, przycisnęła się na schodach koło Marysi i zeszła jeszcze niżej, podchodząc niemal do samego jeziora i obłego cielska.

– Sabino! – wyrwało się ze zgrozą Piotrowi.

– No luz, przecież on podobno jest sympatyczny – rzuciła strzyga. – Muszę sobie go przymierzyć do naczepy.

– I tak teraz nie mamy ciężarówki – zaapelował do jej rozsądku coraz bardziej zdenerwowany Strzelecki.

– No i teraz go nie będziemy wieźć, tylko mierzyć, czy się zmieści – rzuciła z dołu Piechota. – Naczepa ma dwa dziewięćdziesiąt cztery na trzynaście dziewięćdziesiąt pięć na dwa pięćdziesiąt osiem – wyrecytowała. – Trzeba uwzględnić jakąś wyściółkę, ewentualnie zasypujemy go tymi chrupkami ze styropianu, tymi do wsypywania do paczek.

– To będzie dużo chrupek... – wyrwało się Żanecie.

– Luz, mam zamiary na hurtownika – uspokoiła ją Sabina, wyraźnie pochłonięta innym problemem.

Kucnęła nad brzegiem wody i wychyliła się, próbując zajrzeć pod złotego cusia. Do tej pory stwór nie zwracał na nią uwagi, ale gdy znalazła się w pobliżu jego brzucha, oderwał się od kiwanego tańca z Marysią i zawijając szyję w pętelkę, zerknął w dół.

– Tak na oko to mam wrażenie, że on do megii wejdzie na styk. Bez mierzenia nie da rady – orzekła Piechota. Wstała, otrzepała spodnie i delikatnie odepchnęła zaciekawiony, okrągły łeb, który zawisł tuż koło niej. – Żaneta, przyjechałaś beemką? Bo mam tam w bagażniku miarę. Centymetr chyba też. Także luz, zmierzyć go możemy raz-dwa.

– Jak?

– Żaneta mu wejdzie na grzbiet.

– Zrzuci ją! – zaprotestował Piotr.

– Nie zrzuci, to miłe zwierzątko jest. – Sabina ponownie odsunęła od siebie zaciekawiony obły łeb. Złote oczy zezowały na dłoń strzygi, opartą na nosie potwora, co nie pozwalało mu na pełne zaangażowania obwąchiwanie. Cuś wyglądał na głęboko skonfundowanego, że ktoś tak z nim postępuje, i chyba nie wiedział, co w takiej sytuacji zrobić. – Widzisz, że jest niegroźny. A Żanka jeszcze odpali moce borowe i jej nic nie będzie.

– Nie umiem odpalać mocy borowych! – zaprotestowała lekko histerycznie Żaneta.

– Jasne – prychnęła Sabina. – Łukasz do mnie dziś z pretensjami dzwonił, że on nam wszystkim dobrze życzy i nie ma potrzeby mu robić *Księgi Piątej Pana Tadeusza*, a już zwłaszcza w miejscu pracy.

– Że co? – Żaneta nie zrozumiała.

– Mrówkami go poszczułaś – uprościła Piechota.

– Okej, no faktycznie, ale to przypadkiem było.

– To teraz zrobisz celowo!

– Na mrówki podziałało, ale to tak jakby inna skala! – jęknęła dziewczyna, próbując jakoś ogarnąć rozmiar złotego cusia.

– Eee tam, podobna. – Strzyga przyjrzała się krytycznie stworowi, który dalej zezował na jej dłoń. – Spójrz na niego, inteligencja na zbliżonym poziomie. Poza tym, serio, wyobraź sobie, że to pokemon. Na pokemona byś nie weszła, jakbyś go spotkała?

– Zależy na którego – przyznała zgodnie z prawdą Żaneta.

Sabina nieoczekiwanie się zafrasowała.

– Nie odróżniam ich od siebie – przyznała. – Wiem, że pokemon, i tyle. To wyobraź sobie, że ten jest z takich bezpiecznych, na które byś weszła.

– Sabino! – ryknął z góry schodów Piotr tak głośno, że wszyscy podskoczyli, włącznie ze złotym cusiem.

– No dobra, sama wejdę – skapitulowała strzyga. – Tylko skocz do beemki po miarkę, Żaneta da ci klucze.

– Sabino...

– Trzeba go zmierzyć, no nie? A tak na serio, to tylko ja jedna wiem, jak to zrobić bezpiecznie. Jak będziesz miarkę brał, to obok w worku jest uprzęż do pracy na wysokościach.

Marciniakowa wyglądała, jakby już chciała zaprotestować, ale Sabina

tylko uniosła jedną brew i łowczyni zamknęła usta.

– Dziecko, po nim nie trzeba łązić – wtrąciła się Marysia. – Namówimy go, żeby wylazł na plażę, i tam zmierzmy. On się da tam zwabić, już widać, że cię lubi, a jak mu jeszcze pośpiewamy, to pójdzie raz-dwa.

– No... tak też można – zgodziła się Sabina. – To niech pani z nim ponegocjuje, żeby do plaży płynął, najprościej chyba będzie, jak tam pojedziemy...

– Ja pójdę wałem – oznajmiła Marysia. – Poprowadzić go muszę.

– Idę z tobą – zaproponowała od razu Marciniakowa.

– Luz, Piotrek do renówki, my do beemki – zarządziła Sabina, przeskakując po dwa stopnie w drodze na górę. – Żanka, dawaj kluczyki.

Praktykantka otrząsnęła się z oszołomienia wywołanego częściowo całą sytuacją, a częściowo ulgą, jaką wywołała świadomość, że nie będzie musiała łązić po żadnych pokemonach. Posłusznie wróciła na górę wału, oglądając się przez ramię na wciąż podrygującego z Marysią złotego cusia. Ludmiła trzymała się pół kroku za szamanką, czujnie obserwując sytuację, jak jakiś ochroniarz.

Piotrek nie wyglądał na przekonanego, że powinni się oddalić od jeziora, ale Sabina bezceremonialnie złapała go za ramię i pociągnęła za sobą.

– Chodź – nakazała.

– Ale...

Strzyga zatrzymała się, wspięła na palce i ujęła twarz Strzeleckiego w dłoń. Spojrzała mu głęboko w oczy.

– Piotruś. Masz kryzys psychiczny – poinformowała go. – Przełzło ci się.

– Myślisz? – zapytał niepewnie psycholog. – Bo ja się całkiem dobrze czuję, ten bieg i nawet ta sytuacja teraz...

– Piotruś – powtórzyła cierpliwie Sabina. – Zaraz cię trzepnie. Albo za dłuższe zaraz. Ale trzepnie. Pamiętasz Kępno?

– Nie rozmawiamy o Kępnie – odparował natychmiast Strzelecki.

– Nie rozmawiamy o Kępnie – zgodziła się Piechota. – I nie chcemy, żeby Kępno się powtórzyło, prawda?

– Absolutnie.

– No to luz, zgadzamy się oboje – ucieszyła się. Puściła Piotra i odwróciła się do Żanety. – Bierzesz renówkę – zarządziła, wyciągając z kieszeni kluczyki. – Beemkę oddajesz. Piotrek jedzie ze mną, spotykamy się zaraz na parkingu przy plaży. Jasne?

– Jasne – odparła Żaneta, bo co innego jej pozostało.

## 9. Wtorek II

O tej porze roku parking przy plaży straszył pustkami, tak samo jak budynki, w których latem otwierały się smażalnie, lodziarnie, barki z fast foodami i wszystko, co lokalsom i przyjezdnym niezbędne do czerpania nieskrępowanej radości z odpoczynku.

Kiedy Żaneta zaparkowała renówkę obok auta Sabiny, bahapówka już grzebała w bagażniku. Obok niej stał Piotr z miną podejrzenie natchnioną i z namaszczeniem piastował w dłoniach miarkę.

– Centymetr mi wcięło – oznajmiła z niezadowoleniem w głosie Sabina. – Czart ogonem nakrył. Tak podejrzewałam, że coś mi cholernik zwinął na szkoleniu wstępnym. Za bardzo był z siebie zadowolony i na teście nawet nie oszukiwał.

– Czart? – zapytała Żaneta.

– Sebastian, ślusarz narzędziowy od Kokoszki – wyjaśniła Piechota. – Nowy nabytek, sami się wpakowali.

– Sabino – rzekł Strzelecki głosem natchnionym.

– Ja go wcale nie dyskryminuję za rodzaj – zastrzegła natychmiast Piechota. – Dyskryminuję go, bo mi centymetr zwinął. Miał chłopak okazję dokonać dekonstrukcji moich uprzedzeń, ale nie, wybrał potwierdzenie stereotypu!

– Mamy w Brzegu czarta? – szepnęła praktykantka do psychologa.

– Dobrze jest. Sabina się uprzedziła, bo nie dał się sterroryzować na szkoleniu wstępnym. W sumie sam sobie strzelił w stopę, ona ma teraz trzy lata na przygotowania. Jak zrobi okresowe, takie żeby go wykończyć nerwowo, to będę miał pół załogi Kokoszki na terapii – ocenił zaskakująco spokojnie Piotr.

– Spoko, indywidualne mu zrobię – rzuciła Piechota, zamykając bagażnik. Oprócz trzymanej przez Piotra miarki wyciągnęła jeszcze paczkę krówek i mały gadżet elektroniczny. – Dalmierz – wyjaśniła, widząc spojrzenie Żanety. – Miarka miarką, ale zasadniczo możemy też skorzystać ze zdobyczy cywilizacji i zrobić pomiar laserowy.

– Mogłaś od razu wyjechać z dalmierzem – jęknęła Żaneta. – A nie mnie

straszyć, że będę ujeżdżać pokemona.

– Nie wiem, czy laser na niego zadziała, on ma skórę taką trochę refleksyjną – wyjaśniła Piechota. – Cholera wie, czy da się go tak pomierzyć i czy wyników nie przekłamie. Miarka jest pewniejsza.

Piotrek wziął od Sabiny paczkę krówek, otworzył ją i zaczął jeść. Żaneta łypnęła podejrzliwie i na wszelki wypadek odsunęła się od niego o dwa kroki. Nigdy nie widziała, żeby Strzelecki jadł słodczyce. Kupował je, owszem, ale wszystko wpychał w Sabinę. Sam żywił się sałatkami, waflami ryżowymi, pastami warzywnymi i okazynie, w dni, kiedy pozwalał sobie na rozpusztę, żarciem na wynos od Wietnamczyka.

A teraz stał na pustym parkingu, w tym swoim odblaskowym dresiku i kolorowej czapeczce i z obłądnie łagodnym i spokojnym wyrazem twarzy wyżerał Piechocie krówki. A ona mu na to pozwalała!

– Zachowuj się naturalnie – mruknęła pod nosem Sabina. – Jakby wszystko było normalnie.

Mrugnęła porozumiewawczo do osłupiałej praktykantki, zatrzasnęła bagażnik, zamknęła auto i ruszyła w stronę plaży, którą stopniowo pokrywała gęsta mgła, coraz bardziej przypominająca chmury. Strzelecki, ciamkający ciągutki, szedł za swoją współpracowniczką. Żaneta potruchtała na samym końcu, przyspieszając kroku, żeby nie zostać sama na zamglonym parkingu. Co prawda mgła smakowała bezpiecznie, ale Żaneta za dużo horrorów w życiu widziała, żeby tak od razu zaufać dziadowym mocom.

Oczywiście tym razem w zasadzie też było jak w horrorze. Kiedy doszli na plażę, była całkiem pusta, a przynajmniej na taką wyglądała, tak daleko jak sięgali wzrokiem, czyli na jakieś półtora metra. Wokół nich było białe, jakby ktoś zabarwił powietrze albo wylał mleko. Nie było widać drogi od parkingu, nie było widać drzew, jeziora... Ledwo dało się dostrzec piasek pod nogami.

Żaneta podskoczyła, gdy ktoś ją chwycił za rękę.

– Luz, to tylko ja – powiedziała Sabina. Drugą ręką trzymała ciemną postać, którą, jak udało się w końcu dostrzec praktykantce, był Piotr. – Idziemy – zarządziła behapówka.

– Dokąd? – Żaneta rozejrzała się wokoło. Nie miała pojęcia, z której strony przyszli i gdzie było... cokolwiek. Może gdyby odpaliła GPS w komórce...

– Lepiej słyszę niż wy – wyjaśniła strzyga. – A Marysia dalej jedzie Podsiadłą. Cuś ma, zdaje się, bardzo określony gust. Poza tym – dodała – gdybyś się skupiła, to pewnie też byłabyś w stanie trafić. Nie jestem pewna,

co na dziady borowe działa: czy bardziej pole elektromagnetyczne, jak na dzikie gęsi, czy ruchy powietrza czy żyły wodne... – Zatrzymała się gwałtownie. – Mogłybyśmy zrobić eksperymenty... – zaczęła, wpatrując się w Żanetę jak zachwycony bazyliszek.

– Szabyno, nie – dobiegło z drugiej strony, słowa co prawda zniekształciło ciamkanie, ale przekaz był jasny.

– Tak tylko proponowałam – mruknęła Sabina. – Jak ja mam jej zrobić ocenę ryzyka, kiedy nie wiem, co jej może zaszkodzić...

Mamrocząc pod nosem coś na temat pionierów, trudnych warunków pracy i niechęci do poświęcenia w imię nauki, zaprowadziła ich prawie nad samą wodę.

Najpierw zobaczyli Ludmiłę, stojącą sztywno jak posąg i piastującą w objęciach parę czerwonych kozaczków. Czoło miała zmarszczone w wyrazie głębokiej dezaprobaty, a usta ściśnięte w wąską linię.

Wyglądało na to, że powodem jej niezadowolenia jest bosonogi stan Marysi, która z podwiniętymi nogawkami stała po kostki w wodzie. Żanecie zimno się zrobiło na sam widok, ale szamance niewątpliwy chłód jeziora zdawał się nie przeszkadzać. Nuciała nadal zapamiętałe pod nosem, zadzierając głowę i spoglądając w górę... na łeb złotego cusia.

Z mgły wystawała okrągła głowa i kawałek szyi, reszta ginęła w białej zawieszynie. Złote oczy wbijał w Marysię i kołysał się delikatnie.

A głowa znajdowała się naprawdę, naprawdę wysoko.

– O kurde, wydawał się mniejszy – wyrwało się Żanecie.

Sabina wyciągnęła z kieszeni dalmierz i wycelowała go w cusia. Czerwona kropka wylądowała mu na policzku. Poczul ją albo zauważył, bo przerwał taniec i gwałtownie zazezował na plankę, a potem w stronę, z której padał promień lasera.

Okrągły łeb wystrzelił nagle w stronę Sabiny, ale ta nawet tego nie zauważyła, zajęta wpatrywaniem się w ekran urządzenia. Żaneta prawie zemdląła, tymczasem Ludmiła jednym szarpnięciem przyciągnęła strzygę do siebie.

Cuś, zaskoczony tym, że w miejscu, w które przed chwilą celował, nie ma osoby z laserem, kiwając się niepewnie, wrócił na poprzednią pozycję.

– Ej – zaprotestowała przeciwko brutalnemu traktowaniu Sabina.

– Głupia dziewczyno, myśl, zanim coś zrobisz – ofuknęła ją Marciniakowa, puszczając jej ramię.

Piechota wzruszyła ramionami.

– Wiedział ktoś, że laser mu się nie spodoba? Teraz już wiemy. Pytanie tylko, czy mu przeszkadza czy chciał złapać światełko, jak kot. Ja bym spróbowała jeszcze raz zmierzyć od zady, tak żeby nie widział. Jak się wkurzy, to znaczy, że czuje i mu przeszkadza, jak nie zauważy, to znaczy, że mu o światełko chodzi – przymrużyła oczy i przyjrzała się krytycznie kuprowi cusia, jakby rozważała, od której strony najlepiej go zająć.

Cuś tym razem nie dał się rozproszyć murmuraniem Marysi, wyraźnie podejrzliwy i zainteresowany poczynaniami Sabiny. Co prawda kiwał się dalej w rytm muzyki, ale złotych ślepi ze strzygi nie spuszczał.

– Może lepiej się odsunąć... – zaproponowała niepewnie Żaneta, robiąc krok w tył.

– Ej, no przecież mnie nie zje! – Piechota machnęła lekceważąco dalmierzem. Cuś sapnął mocarnie, aż lekko rozwiało mgłę. Sabina spojrzała na niego z ukosa. – Nie zje mnie, prawda? – zapytała Marysia.

– Troszkę się biedny zestresował – powiedziała szamanka.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie. – Behapówka zrobiła bardzo stanowczy krok w tył. Przy kroku numer dwa złapała za kołnierz Piotra i pociągnęła go za sobą. Psycholog posłusznie się wycofał, nie przestając żuć krówek.

– Rozproszył się – wyjaśniła Strzelecka. – Sama go nie zainteresuję. Pomogłoby, gdybyście ze mną pośpiewały. On lubi Dawida Podsiadło – dodała pomocnie.

– Ale ja nie lubię. – Sabina ucięła temat. Wetknęła dalmierz Żanecie, która desperacko starała się schować przyrząd i przy okazji siebie za plecami Piotra i wyciągnęła z kieszeni komórkę. – Nawet go nie mam na playliście – powiedziała strzyga. – Phil Collins będzie za dynamiczny, Rybak jest do rzezi, tego byśmy chcieli uniknąć... Santa Esmeraldy nie uciągniemy, poza tym to Kill Bill, złe skojarzenia – mówiła, przesuwając kciukiem playlistę.

– Dziewczyno, masz internet – weszła jej w słowo zniecierpliwiona Ludmiła. – Znajdź sobie tego Podsiadłę na YouTube. Co z tego, że tobie nie pasuje, to cusiovi ma się podobać! Jak nie umiesz komórki obsługiwać, to ja ci pomogę.

– A pani nie śpiewa?

– Ludka uznaje tylko Bajm – wyjaśniła Marysia. – Czasem Budkę.

– Mogłybyśmy...



– Same sobie tego Podsiadłę katujcie – odparowała Marciniakowa.

Sabina spojrzała na nią z urazą.

– Nic dziwnego, że Ewcia pani nie lubi – mruknęła. – Żaneta, przygotuj się do śpiewania.

– Nie umiem!

– Nie musisz umieć, ratujemy życie i najwyraźniej możemy to zrobić tylko z pomocą Dawida Podsiadły – westchnęła melodramatycznie strzyga. – Dawaj – zachęciła. – Puszczę z komórki i jedziemy! – Błyskawicznie przesunęła palcami po ekranie telefonu i za chwilę rozległy się pierwsze takty piosenki.

Cuś odprężył się delikatnie i lekko przymknął oczy.

– Fal nie ma... – zanuciła lękliwie Żaneta.

– Fal nie ma fal – zaśpiewała głośno i czysto Sabina. Z kieszeni wyciągnęła klucze i zaczęła wybijać nimi rytm jak kastanietami. Marysia podeszła do strzygi i zaczęła śpiewać razem z nią, kiwając się do rytmu. Wyglądały surrealistycznie, jedna wysoka, ciemnowłosa, ubrana na czarno-czerwono, druga niska, z rozczochranymi blond włosami i feerią barw na sobie, obie idealnie zgrane w piosence. Żaneta, średniego wzrostu, z wyblakłą tęczą kolorów na włosach i w kurtce w panterkę, nawet w jakiś kiczowaty sposób pasowała do tego obrazka.

Ludmiła twardo nie brała udziału w kiwaniu, a Piotr oglądał wszystko z żywym zainteresowaniem, ale nie angażując się wokalnie ani tanecznie.

Cuś zaczął się kiwać coraz bardziej, chwilami przechylając się tak mocno, że wydawało się, że się przewróci. Obły, jakby foczy korpus kolebał się na piasku, a cienka szyja zakończona okrągłym łebkiem latała to na jedną, to na drugą stronę w takim tempie, że zwierzątko powinno dostać od tego choroby morskiej. Nic takiego się nie stało, cuś odprawiał swój obłąkańczy taniec i był szczęśliwy. Oczy przymykał coraz bardziej, co wykorzystała Sabina.

Nie przestając śpiewać i poruszając się cicho jak kot, obiegnęła go wokoło, strategicznie celując dalmierzem. Po wykonaniu kilku pomiarów, tanecznym krokiem przechodząc koło Piotra, wetknęła mi urządzenie w rękę, a sama z przepastnej kieszeni wyciągnęła miarkę.

Gestem głowy przywołała Żanetę i wręczyła jej jeden koniec.

– Fal nie ma fal – zaśpiewała znacząco.

Żaneta nie spanikowała, chociaż bardzo chciała. Starła się myśleć o spokoju, falach, zrelaksowanych zwierzątkach i wysyłać dziadowo-borowe

bioprądy w stronę cusia. Nie była pewna, czy zadziały jej dziadowskie moce czy chóralne śpiewy, ale stwór w ogóle nie zwracał na nie uwagi, gdy niczym skrzyżowanie hatifnatów z odjechanym numerem tanecznym z *Tańca z gwiazdami* okrążyły go, dokonując pomiarów.

Wreszcie Sabina uznała, że już wystarczy. Zatrzymała się gwałtownie, dała znak Żanecie, że może puścić koniec miarki, i schowała przyrząd do kieszeni.

– Zmieści się – orzekła z satysfakcją. – Możemy go we czwartek przewieźć, tylko z kierowcą potwierdzą i rozkminimy, jak go załadować. Może go już pani wysłać do jeziora – powiedziała Marysi. – Niech sobie tam siedzi do czwartku.

Strzelecka nie przerywając nucenia, skinęła głową. Piechota krokiem już mniej tanecznym, a bardziej marszowym skierowała się do wyjścia z plaży, po drodze zagarniając Piotra. Ujęła go pod ramię, jakby właśnie wyruszyli na spacer wokół jeziora, ona niczym odchudzony ludzik Michelina, on w stylówce sportowej i z krówkami, i dalmierzem w objęciach.

Do Żanety dotarło, że zaraz zostanie sama na plaży z Marciniakową, Strzelecką i cusiem. Albo nawet bez cusia, bo zanosilo się na to, że Maria zaraz skłoni go do powrotu pod wodę. I będzie musiała z nimi dwiema... rozmawiać? Zdecydowanie i z całą pewnością, i ze wszystkich sił chciała tego uniknąć.

– Do widzenia! – ryknęła nerwowo, niemal wyrywając cusia z tanecznego transu i rozbryzgując wokół siebie mokry piasek, po czym pobiegła za Piechotą i Strzeleckim.

– Nie zostawiajcie mnie samej! – wydyszała z pretensją, dogoniwszy ich przy chodniku prowadzącym na parking.

– Przecież z nimi przysłaś – zauważyła Sabina.

– Ale wracam z wami – wypaliła bez wahania Żaneta. – Z wami pracuję i już się naoglądałam ekologii, tak? Bo ja nie wiem, co one jeszcze mogą ode mnie chcieć, może będą mnie odpytywać z wiedzy o środowisku albo co. Wywiozą do Głuchołazów i każą dokarmiać trolle! Nie wiem, co robić, i nie mogę porozmawiać z Pati – poskarżyła się nagle – bo ona nie wie, czym jestem, w ogóle nie wie, co się tak naprawdę w Brzegu dzieje, a ja muszę z kimś pogadać. Ktoś mi musi powiedzieć, co robić!

Piechota już otwierała usta, prawdopodobnie żeby właśnie to zrobić, ale wtrącił się Piotr.

– Żaneto, nie możemy podejmować za ciebie decyzji – powiedział surowo.

- Ale – dodał zaraz – możemy sobie razem usiąść i porozmawiać o sytuacji.
- Następna szczerza oczyszczająca rozmowa? – Strzyga się przestraszyła. – Jeszcze do siebie nie doszliśmy po ostatniej!
- Sabino, komunikacja jest podstawą każdej relacji – oznajmił stanowczo Piotr. – Wiemy o tym oboje doskonale.
- Piechota puściła jego ramię, odsunęła się o krok i podniosła ręce w geście poddania.
- Dobra, luz, ty jesteś ekspertem. Chcesz rozmów, będą rozmowy.
- I teraz co? Wracamy do Brzegu? – zapytała niepewnie Żaneta, zatrzymując się przy samochodach.
- Tu jest cukiernia. – Piechota się ożywiła. – Na rynku. Możemy sobie tam usiąść, spokojnie omówić sytuację w neutralnym miejscu i przy okazji coś zjeść. Nie ma opcji, żebyśmy odbywały te szczerze rozmowy bez cukru.
- Otworzyła bagażnik beemki i schowała dalmierz i miarkę z powrotem do torby.
- Pojedziesz znowu renówką – poleciła Żanecie. – Na parking pod katedrą. Cukiernia jest w kamienicach w centrum rynku, schowana za centrum handlowym. Tylko pamiętaj, że parking płatny i trzeba wziąć bilet.

## 10. Wtorek III

Żaneta na nyski rynek dotarła z pomocą nawigacji. Wyglądało na to, że wywołana przez Marysię mgła zaczęła przemieszczać się znad jeziora do miasta, bo wszystkie ulice skąpane były w białym mleku. Przesłoniła czubki latarni ulicznych i przynajmniej nikt na dziewczynę nie trąbił, kiedy jechała dwadzieścia na godzinę. Ścian kamienic otaczających rynek w ogóle nie było widać, a ogromna katedra niczym galeon wychylała się z wszechogarniającej bieli.

Sukiennice i centrum handlowe stały się ledwie ciemniejszą bryłą, niemal niewidoczne, póki nie podeszło się bliżej. Dojście do cukierni wymagało wejścia w wąską uliczkę między budynkami. Mgła w mieście, w przeciwieństwie do tej nad jeziorem, nie niosła ze sobą spokoju i poczucia bezpieczeństwa. Była obca. Pachniała cementem, żwirem, plastikiem. Żaneta nie była w stanie z tych zapachów nic odczytać, dla niej były martwe. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo do niej wszystko mówiło na wałach – mgła, woda, piasek, póki nie trafiła z powrotem w zabudowę miejską i głosy natury przycichły.

Sabina i Piotr czekali już przy stoliku w cukierni. Piechota zdążyła złożyć zamówienie i zerkająca na nią podejrzliwie kelnerka właśnie donosiła kolejną tacę z talerzykami.

„Coś do zjedzenia” Piechoty okazało się wuzetką, torcikiem węgierskim i pięcioma eklerkami. Sabina z rozanielonym wyrazem twarzy dziabiała krem widelczykiem, podczas gdy Piotr popijał swoje cappuccino, a Żaneta nerwowo wygrzebywała truskawki z galaretki na cieście, które zagarnęła dla siebie, zachęcona gestem przez Sabinę.

– No i? – wydusiła wreszcie.

– No i co? – zainteresowała się Piechota.

– Jak to co? Co o tym wszystkim myślicie? O tej ekologii, ratowaniu cusiów? I o tym, czego ta kobieta ode mnie tak naprawdę chce, bo najpierw mnie śledzi, a potem chce ze mną ratować świat. Nie kupuję tego.

– Ej no, świat można zasadniczo ratować – uznała Sabina. – Tylko odzież weź właściwą.

– Zdanie Lois Lane już znamy, a co pan na to, panie Supermanie?

– Ja? – Piotrek się spłoszył. – Nie jestem Supermanem.

– Nie, ty jesteś Clarkiem Kentem – wytknęła mu Żaneta. – Pan Zabilmnie-alem-uciekł, tylko ci brylków brakuje, chociaż i bez nich masz maskowanie pierwsza klasa. Dwa miesiące myślałam, że jesteś cieniem.

– Co? – Strzelecki nie zrozumiał.

– Kołek osikowy wystrugasz sobie za darmo, podziw w oczach praktykantki – bezcenne – wyjaśniła mi Sabina. – Ale fanklub Piotrusiowi możesz założyć później, na razie skończmy z ochroną środowiska.

Piotr zerknął na nią nieufnie, ale wyprostował się, dokonał szybkiej rekalkibracji umysłowej i wszedł w tryb coachingowy.

– Pytanie brzmi, jak ty się czujesz w tej sytuacji. Pamiętaj, że to jest twoja decyzja i nie chcielibyśmy w żaden sposób na nią wpływać... – zaczął uroczyście.

– Dawaj – weszła mu w słowo Sabina. – Zdobędziesz praktykę plus będziesz serem, białym żołnierzem...

– Sterem – poprawił Piotrek.

– Serio? Całe życie myślałam, że to piosenka o serze, ale faktycznie, ze sterem ma więcej sensu... Zresztą Bajm mi jakoś nie brzmi, nic dziwnego, skoro słuchają go łowcy potworów... No to bądź sobie sterem, żeglarzem, okrętem, nosisz spodnie, więc walcz!

– Nie walcz, tylko ratuj środowisko – skorygował Strzelecki. – Śmieci segreguj. Zwierzętek nie depcz. Nie pal odpadów...

– Na pewno można to zrobić w ramach walki – upierała się Sabina. – Wszystko jest lepsze, jak się to robi w ramach walki, wiesz, takie *Eye of the Tiger* i do przodu.

– Niby z kim Żaneta miałaby walczyć? Na cusie polowała rodzina Ludmiły, ale została już tylko ona i, jak sama słyszałaś, chce je ratować. Zabrać cusia z jeziora i może poszukać jakichś kolejnych w... nie wiem, w starych piwnicach? W kanałach pod miastem? Nysę zalało w dziewięćdziesiątym siódmym, może jakiś mały egzemplarz się gdzieś zachował? Tu trzeba latać z latarką po kanalizacji, nie ma z kim walczyć!

– Z czynnikami ryzyka! – podkreśliła behapówka. – Pogoda, klimat, biologia... Kleszcze, wścieklizna, temperatura, budynki grożące zawaleniem... Krokodyle w kanałach!

– Krokodyli w kanałach w Nysie nie ma, Żaneta by miała farta, jakby

oprócz szczerów tak faktycznie z jeden cuś był. A z czynnikami ryzyka się nie walczy, tylko się wkłada na siebie odzież roboczą! – wytknął Piotr. – Sama tego zawsze pilnujesz!

– No tak, ale można by to nakładanie kaloszków i hazmatu trochę zromantyzować, co? – zaproponowała jego współpracowniczka. – Co, powiemy jej, żeby włożyła spodnie ze sklepu wędkarskiego i kalesony, zanim pojedzie na misję ratunkową? I pilnowała, żeby sobie nerek nie przewiać? To nie brzmi zachęcająco.

– Nie brzmi – zgodziła się Żaneta. – Poza tym, wiecie, ja tu siedzę i słyszę waszą dyskusję. Lepiej mnie już nie zachęcajcie, czy tam nie zniechęcajcie do czegokolwiek, bo jesteście w pijarze beznadziejni.

– Ja nie jestem od pijaru, ja jestem od BHP! – Sabina się obraziła.

– A ja od coachingu – dodał Piotr. – Czyli zasadniczo od motywacji – dodał, po czym spochmurniał nieco.

– Ano – zgodziła się Piechota. – To jak ją motywujesz, co?

– Beznadziejnie – odpowiedziała Żaneta. – Zaczynam się zastanawiać, czy wy mnie przypadkiem nie chcecie zniechęcić i robicie to takimi zakosami.

– Nie!

– Skąd!

Oboje zgodnie zaprotestowali.

– Gdybyśmy uważali, że to zły pomysł, powiedzielibyśmy ci wprost – oznajmił Piotr.

– Albo zamknęlibyśmy cię w piwnicy u Ewki – dodała Sabina. – Eeee... żartowałam? – dodała nieprzekonująco, widząc wyraz ich twarzy.

– Nie żartowałam – bezlitośnie wytknęła jej Żaneta. – Ale, kurde, już mnie to nawet nie rusza, a już na pewno nie w tej chwili. Ja tu mam problem! Jestem leśnym dziadem...

– Borowym! – poprawiła stanowczo Sabina.

– Wszystko jedno. Jestem ekologicznym dziadem, który gada z mrówkami. Moja przyszłość rysuje się po prostu zajebiście!

– Ej no, chciałam z ciebie zrobić magistra ochrony środowiska i wpisać ci specjalistę przed nazwiskiem. No, najpierw młodszego specjalistę. Ale jak jeszcze będziesz miała praktykę w tych kanałach, to hulaj dusza, CV jak z bajki.

– Naprawdę? – zdziwiła się zaskoczona Żaneta. Mile zaskoczona. Do tej pory nie postrzegała w ogóle tego, co robi i ewentualnie może robić, jako

kolejnych kroków na drodze do pięknej i wielkiej kariery. – Ale... praktyka... studia... praca... no i Pati.

– Wszystko jest kwestią organizacji – wtrącił się Piotr. – Być może, przy odpowiednim planowaniu, byłabyś w stanie wszystko pogodzić.

– Tylko wiesz, uważaj generalnie na siebie i nie daj się przypadkiem zabić Ludmile – dodała Sabina.

– Co?! – Żaneta podskoczyła. A już było tak pięknie...

– Partnerka mojej matki nie jest naszym wrogiem – wtrącił się Strzelecki, ale niezbyt pewnie, jakby czuł się w obowiązku zgłosić protest.

– Tak formalnie to jak najbardziej jest – zgasiła go Sabina. – Wpisuję łowców potworów, dozorców, zwał jak zwał, w zagrożenia makrobiologiczne od ładnych paru lat.

– Dlaczego w makrobiologiczne? – zdziwiła się Żaneta.

– Bo to jak kleszcz, tylko większe – wyjaśniła uprzejmie Piechota. – Na samym początku miałam wątpliwości, bo jednak takie zarobienie kołkiem czy srebrną kulą to pasuje do zagrożeń fizycznych, no ale jednak tym kołkiem ktoś musi operować. Ktoś, czyli człowiek.

– No jest w tym pewna logika – zgodziła się Żaneta.

– W tym jest bardzo dużo logiki, nie tylko pewnej. – Sabina się obraziła. – Moje oceny ryzyka są takie, że mucha nie siada. A jak się jeszcze dorwę do archiwów pani Ludmiły...

– Jakich archiwów?

– Jakies musi mieć, w końcu z pokolenia na pokolenie sobie przekazują, prawda? Jakoś tę wiedzę musieli gromadzić, przekaz mówiony się nie sprawdza w zawodach z wysoką śmiertelnością. Muszą być jakieś notatki... Może nawet eksperymenty robili...

– Sabino, te notatki będą pewnie dotyczyć tego, jak zabić takich jak my. A eksperymenty robili na, uwaga, takich jak my. Jeśli jakieś dokumenty istnieją, to będzie lektura jak z horroru...

– No będzie. Ale źródła! – Sabina się rozpromieniła. – Sam mówiłeś, że nie mogę robić eksperymentów, bo to nieetyczne. A skąd mam wiedzieć, w jakim stężeniu coś szkodzi? Ja bym chciała mieć podstawy do NDN, o NDSCch i NDP nie wspomnę... – westchnęła tęsknie. – Normatywni mają rozporządzenie ministerstwa, a ja co? Bazuję na przekazach ustnych i grupie fejsbukowej dla nienormatywnych. Miałabym jakieś niezależne źródło... O!  
– Wyprostowała się gwałtownie. – Żaneto, zostaniesz tym sterem, żeglarzem,

okrętem, szpieginią naszą! Marysia i Ludmiła chcą z tobą ratować świat, prawda? Będziesz pewnie u nich spędzać trochę czasu, chcą z tobą więzi nawiązywać, to niech to robią, najlepiej nad jakimiś starymi tomami! Dowiesz się wszystkiego i wykradniesz dla mnie materiały! Albo chociaż zdjęcia komórką porób. Tylko pamiętaj, od razu je wysyłaj na Messengerze. Jakby cię złapali i ukatrupili, to przynajmniej pliki mi zostaną.

– Sabino!

Żaneta przemyślała opcje. Potem przemyślała je jeszcze raz. W końcu wzruszyła ramionami.

– Chrzanię to, i tak mam powalone życie, jedno wariactwo więcej nie zrobi mi różnicy. Przynajmniej będę miała to zarąbiste CV i może zostanę mistrzem organizacji swojego czasu. I tak, jak dopadnę źródeł, to zrobię zdjęcia i wyślę Messengerem, zanim zginę – obiecała podekscytowanej Sabinie.

– I to jest prawidłowa postawa! – rozpromieniła się strzyga. Piotr tylko westchnął ciężko.



Ludmiła Marciniak nie była szczęśliwą osobą. Miała jeden podstawowy problem w swoim życiu: nie ufała tym, tfu, nienormalnym skurczybykom. Może i Łukaszek miał rację i niektórzy z nich to byli ciężko pracujący... osobnicy. Może Regina Piechota była, jak na strzygę, całkiem znośna, a jej wnuczka miała łeb do biznesów. Może i Ludmiły osobista własna Marysia miała syna, który troszkę się nie mieścił w normie... Ale to nie oznaczało, że należało tracić czujność. Ci wszyscy mili, ciężko pracujący nieludzie mieli zęby, pazury i inne moce, które mogły porządnego człowieka skrzywdzić i sprowadzić na manowce. Takie bomby z opóźnionymi zapłonami jak te, które widziała w jakimś filmie w telewizji.

Dlatego, jako ta ostatnia, może emerytowana, ale wciąż z jasną głową, nadzieja Brzegu i okolic miała na nich oko. Miała też maczetę schowaną pod dywanikiem w bagażniku passata i wymówkę, na wypadek gdyby Marysia ją znalazła. Nie mogła przecież swojej partnerce powiedzieć, że jest gotowa zdekapitować jej syna, ponieważ był wilkiem w owczej skórze. Po ojcu, niech ziemia jego prochom ciężka będzie.



Wróciła myślami do żeńskiej części tej trójcy nienormatywnej i nieświętej.

Niechętnie, bo niechętnie, ale uczciwie Ludmiła była skłonna przyznać, że przeoczyłaby Żanetę, gdyby Sabina nie wynalazła dziewczyny. A tu proszę, potencjał był. Skłonność do przemocy, jakieś drobne kradzieże, elastyczna moralność i chęć wyjścia na swoje – idealny pakiet startowy, co tu dużo mówić. I mało w sobie miała tej nienormatywności, w zasadzie na upartego mogła za człowieka uchodzić. No po prostu wtyczka idealna.

Ludmiła liczyła w skrytości ducha na to, że Żaneta widząc szansę wypłątania się z układów z PS-em i ucieczki od Sabiny, rzuci się jej w objęcia. Tymczasem strzyga wraz z oszołomionym Strzeleckim wlekli się za dziewczyną, jakby byli do niej co najmniej przywiązani konopnym sznurkiem, a ta mała smarkuła zamiast przed nimi w te pędy zwiewać, to jeszcze się chyba na ich widok ucieszyła.

I najgorsze, że Ludka nawet nie za bardzo mogła być o to zła, bo w końcu niunia wykorzystała dostępne atuty. Słuszna postawa, tak należało robić, kiedy chciało się przeżyć w tym podłym i niewdzięcznym świecie, pełnym potworów, które... pozornie nie robiły nic złego – pracowały, płaciły podatki, a nawet ratowały okolice.

Przodkowie Martinusów poprzewracaliby się w swoich profilaktycznie pospinanych łańcuchami, ewentualnie po tanioci zalanych cementem trumnach, widząc, co się dzieje. W zasadzie dobrze, że tradycja rodowa kazała się zabezpieczać, na wypadek gdyby jednak ktoś popełnił nietakt i wstał z grobu – dzięki temu Ludmiła miała pewność, że nikomu nie będzie musiała się tłumaczyć. Broniek mógł sobie sarkać pod nosem dowolnie, wypiął się na tradycję, to stracił prawo głosu. Ze szlachetnej linii łowców została tylko Ludka. Może i lepiej, bo w dzisiejszych czasach bardziej tradycyjni członkowie rodu Martinusów to by się naprawdę długo nie uchowali. I to nie dlatego, że by ich jaka kreatura zeżarła, oj, nie.

Do więzienia by poszli. Za rozboje, zabójstwa i zakłócanie spokoju „porządnych” obywateli.

Jak wiele lat temu Regina, babka Sabiny, obsobaczyła Ludmiłę na dzień dobry równo, kwieciście i porządnie, a potem wetknęła w ręce paczuszkę z ciasteczkami i przykazała pójść won, żeby nie denerwować wnuczki, to łowczyni jej z zaskoczenia posłuchała. A potem jakoś aż do śmierci Reginy się nie złożyło, żeby była potrzeba strzygę przedwcześnie zaciukać. Pogadać było z kim i dobre ciastka można było u niej zawsze dostać...

Ludmiła zwykła nazywać tę kilkuletnią... znajomość swoją małą chwilą słabości. Potknięciem długofalowym. Pojedynczym incydentem.

Aż pewnego dnia z nudów poszła ze szwagierką na spotkanie Klubu Książki Koła Gospodyń i poznała Marysię Strzelecką i w jej życiu pojawiły się liczne nienormatywne komplikacje.

W tych wszystkich głupich propagandowych legendach dzielny łowca, zadbawszy o bezpieczeństwo okolicy (czyli wyciąwszy w pień wszystko, co humanoidalne, ale nieludzkie), osiadał w ocalonej wiosce, znajdował sobie miłą żonę, płodził kolejne pokolenia Martinusów i rekreacyjnie się wypuszczał co raz w jakieś chaszczce zrobić z zarazą porządek.

W zasadzie, uznała wisielczo Ludmiła, prawie jej się udało tenże cel życiowy osiągnąć. W okolicy było bezpiecznie, miała przy sobie najmilszą na świecie Marysię, a za kolejne pokolenie mógł robić Łukaszek. Tylko w chaszczce nie miała się co zapuszczać, bo nie było już szkodników do tępienia, zostali sami szanowani obywatele. Kameleony.

Prychnęła pod nosem. Jakby wuj Antoni wiedział, jakie nadejdą czasy, to zamiast jej rodzinną buławę przekazywać, poderwałby się z łoża śmierci, zapierniczył piechotą z Nysy do Brzegu i zaczęłyby wszystkie po kolei potwory walić po łbie, aż z tej maczugi klejnociki by poodpadały.

Zagwizdał czajnik. Marysia, jak zawsze zwiewna, kolorowa i pełna życia, wstała i zalała wrzątkiem herbatę w dzbanku. Kuchnię wypełnił słodki zapach owoców. Ludmiła wyciągnęła z szafki dwie filiżanki. Nad jeziorem było zimno, dobrze było się rozgrzać. Poza tym Maria zawsze powtarzała, że dobra herbata koi nie tylko ciało, lecz także duszę. A teraz, co Ludkę mocno uwierało, to dusza szamanki, która potrzebowała ukojenia. Przechodząc obok partnerki, uściśnęła jej ramię. Marysia przykryła jej dłoń swoją.

– To okropne, ale dobrze wiedzieć, że też czasem jesteś tylko człowiekiem – mruknęła w jej jasne loki Ludmiła.

Strzelecka parsknęła pod nosem. Nie był to może wesoły śmiech, ale Marciniakowa i tak poczytała go sobie za sukces.

– Zawsze jestem tylko człowiekiem – przypomniała szamanka. – Zrobiłam w życiu parę głupstw, o większości nawet nie wiesz – przyznała. – Ale najbardziej żałuję, że jedno z nich wywinęłam własnemu synowi.

– Przejdzie mu – burknęła uspokajająco Ludka.

– Wiem. Mnie nie przejdzie, ale tak to jest, że wszystko ma jakieś konsekwencje. Jeśli mamy dużo szczęścia, to ponosimy je tylko my sami. –

Maria uśmiechnęła się do Ludmiły, trochę smutno, ale i tak błyszcząco, jaśniejaco, jakby nagle w kuchni Siedliska rozbłysło małe słońce.

– Jak mamy tego szczęścia trochę mniej, to konsekwencje ponoszą też inni, ale nam ktoś przynajmniej nalewa herbatki owocowej. – Ludka puściła do niej oko i sięgnęła po stojący na blacie dzbanek.

– I robi kanapeczki z rzodkiewką? – upewniła się niewinnie Marysia.

– I jeszcze ze szczypiorkiem! – Ludmiła otworzyła chlebak. Może gdyby jej wuj Antoni przyłożył po głowie tą buławą, to zobaczyłaby wszystkie gwiazdy. A tak widziała tylko jedną, świecąca w kuchni domu w Brzezynie.

## 11. Wtorek IV

Żaneta prawie spanikowała, gdy szefowa poinformowała ją, że będzie wracać do Brzegu sama, renówką, a Sabina i Piotr zabierają beemkę. Piechota dostała nagłego szwungu i pochłonięta operacją „transport”, zupełnie zapomniała o czerwonych karteczkach i zważaniu na potrzeby i uczucia praktykantki. Jedną ręką niemal wepchnęła współnika na siedzenie pasażera, w drugiej trzymała telefon i już wybierała numer do jakiegoś Mieszka, który był kluczową postacią w realizacji planu, a mianowicie był posiadaczem ciężarówki, prawa jazdy na nią i, podobnie jak Żaneta, nienormalnego praprzodka.

Dojazd do Brzegu zajął dziewczynie prawie półtorej godziny – i tym razem inni uczestnicy ruchu nie byli już tacy mili i nieinwazyjni, co potwierdzało teorię o tym, że każdy, komu życie miłe, rozpoznaje z daleka auto Sabiny. Renówka Piotra nie miała czynnika onieśmielającego.

Kiedy Żaneta wreszcie wjechała do rodzinnego miasta, odetchnęła z prawdziwą ulgą. Dojazd z obwodnicy pod dworzec PKP leżał jak najbardziej w granicach jej możliwości, chociaż, jak się teraz nad tym zastanowiła, to wyprawa do Nysy też leżała w tych granicach. A może nawet, gdyby była w bardzo zuchwałym nastroju, to byłaby w stanie dojechać autem do Wrocławia? No, przynajmniej na rogatki, tam gdzie jeszcze nie grasowały podstępne tramwaje...

Gdyby przyjechała beemką, zaparkowałyby ją niezgodnie z przepisami za budynkiem poczty. Zwykłych śmiertelników, normatywnych czy nie, dotyczył zakaz wjazdu. Auto Piechoty miało za to w tym miejscu status świętej krowy. Żanka mogłaby je zostawić bez obaw, że jeszcze ktoś samochód szefowej odholuje i będzie problem.

Z renówką było gorzej, panie z poczty nie darzyły Piotra aż takim szacunkiem, żeby powstrzymać się od wezwania straży miejskiej. Na szczęście już po pięciu minutach nerwowego czatowania pod wejściem na dworzec Żanecie udało się przejąć miejsce na placu. Na chwilę zmroziła ją myśl o parkowaniu między dwoma autami, w końcu ostatni raz miała z tym do czynienia na egzaminie, ale zalała ją fala ulgi, gdy uświadomiła sobie, że

Strzelecki na pewno nie zgłosiłby pretensji, nawet gdyby mu auto zarysowała. Dzięki tej uldze zaparkowała idealnie i to za pierwszym razem.

Niemal w podskokach wbiegła po schodach do biura PS Business Consulting i od razu trafiła w sam środek narady taktycznej. W centrum poczekalniorecepcji stał wyciągnięty z biura Piotra flipchart, na którym skupiona Sabina pracowicie markerami wyrysowywała nieforemne bryły, mniej lub bardziej kanciaste. Przy dużej dozie dobrej woli i kilku przechyleniach głowy na prawo i na lewo dało się na tym bohomazie rozpoznać złotego cusia, ciężarówkę i prawdopodobnie Jezioro Nyskie, ewentualnie latający spodek.

Na biurku Żanety leżała komórka Sabiny, oparta o klawiaturę i nastawiona na tryb głośnomówiący.

– Nie musi być w wodzie, ale trzeba będzie czymś wewnątrz ciężarówki zabezpieczyć – tłumaczyła właśnie komuś Piechota. Dokonała pospiesznych obliczeń na skraju rysunku. – Paka na jakieś sto pięć metrów sześciennych, chrupki są pakowane na litry, potrzebujemy sto pięć tysięcy litrów chrupkek! – oznajmiła triumfalnie.

Żaneta weszła do biura na palcach, cicho zamknęła za sobą drzwi, powiesiła kurtkę na wieszaku i przycupnęła na jednym z foteli dla interesantów. Na drugim siedział Piotr, wciąż w swoim dresie do biegania, i popijając z białej filiżanki herbatę, czytał w skupieniu *Psychologię pozytywną*. I herbata, i okładka książki były przyjemnie zielone.

– Chrupki się kupuje na gramy chyba? – szepnęła do niego praktykantka. – Ewentualnie na paczki...

– Jej chodzi o chrupki – wypełniacze do paczek – wyjaśnił Strzelecki, odrywając się na chwilę od lektury. – Mieszko ma na pace tylko pasy, dobre do stabilizacji koszy czy palet, ale zwierzątka tym raczej bezpiecznie nie obwiążesz. Sabina je zamierza obsypać chrupkami.

– Nie, poczekaj. – Piechota zamarła przed tablicą w pół ruchu. – Cała paka ma te sto pięć metrów sześciennych, ale tam przecież jeszcze będzie coś! Kurczę, on trochę obły jest, średnicy nie mam, objętości nie wyliczę... – I zaczęła obrysowywać kształt, który Żaneta słusznie zinterpretowała jako artystyczną wizję stwora z Jeziora Nyskiego, liniami, jakby zamierzała wsadzić go do sześcianu albo pudła.

– Większy niż pół auta? – zapytał cierpliwie damski głos ze słuchawki. Żaneta nie kojarzyła rozmówczyni strzygi.

Sabina zmarszczyła brwi.

– Nie... Długi, ale wąski, obły... Myśl: menhir Obeliksa.

– Czyli tak jedna czwarta do jednej trzeciej? – zasugerowała jej rozmówczyni.

– Zasadniczo tak... Cholera, nie zapytałam, czy mu się ten łeb składa... Ale teoretycznie to należałoby przyjąć, że jak korpusik będzie stabilny, to nawet jak całej szyi nie obsypimy, to będzie okej...

– Czyli potrzebujesz siedemdziesiąt pięć tysięcy litrów chrupiek – podsumowała nieznana Żanecie kobieta. – W folii czy w big bagach?

– Wszystko jedno. Co będzie szybciej. Jutro Mieszko wraca z trasy, będzie mógł zrobić kurs.

– Będzie musiał pojechać przez Wrocław – zauważyła kobieta. – Zabrać chrupki. Do beemki ich nie zmieścisz, do busa wjadą trzy, może cztery big bagi.

– Siedemdziesiąt pięć big bagów chyba nie wejdzie na mekę – oznajmiła nagle Sabina. – Naczepa ma niecałe czternaście metrów długości i około dwa i pół szerokości. Big bagi mają metr na metr?

– Różnie, mam akurat metrowe – odpowiedziała kobieta. – Ale spoko, sto jeden wejdzie. Jeden metr sześcienny każdy, spokojnie sobie tego cusia obsypiesz i jeszcze ci zostanie.

– Kicha, jak zostanie, nie mogę zostawić bagów z chrupkami na plaży!

– To Mieszko po nie wróci. Trzy złote za kilometr bierze, nie zbankrutujesz od tego. Chrupki ci zafakturuję, ale big bagi chcę z powrotem – uparła się kobieta. – One są ładne, czyste i nieużywane!

– Od chrupiek się nie pobrudzą... – mruknęła strzyga.

– No właśnie!

– Dobra, to ustalę z Mieszkiem odbiór na czwartek wieczór. Big bagi i nieużywane chrupki wracają do ciebie.

– Umowa stoi. Uprzedzę magazyniera, żeby przygotował towar. Zdzwaniamy się. – I kobieta się rozłączyła.

Sabina uśmiechnęła się jak kot, który właśnie zeżarł kanarki z połowy sklepu zoologicznego i ma jeszcze perspektywę polowania na myszokoczki. Zatarła radośnie dłonie.

– Możesz dzwonić do swoich ulubionych stalkerek – poinformowała Żanetę. – Godzina zero jest w czwartek o osiemnastej, punkt zero to plaża, ta co dzisiaj. Trzeba będzie wziąć jakieś głośniki czy coś, będziemy go wabić

do megi na Podsiadłę. Mieszko ma rampę, ale żadnej wciągarki ani nawet paleciaka...

– Z kim rozmawiałaś? – zainteresowała się Żaneta bardziej z chęci zmiany tematu niż z ciekawości. Zdecydowanie nie chciała dzwonić do Marciniakowej, zresztą po co, nie ona to wszystko załatwiła.

– Z Kasią – wyjaśniła Sabina, jakby to wszystko tłumaczyło. – Nie znasz Kasi? – Zmarszczyła brwi. – Ona nie zna Kasi? – zapytała podejrzliwie Piotra.

– Nikt nie zna Kasi – odpowiedział cierpliwie Strzelecki. – Poza tobą i Andriejem. Przez jakiś czas myślałem nawet, że Jędrak ją sobie wymyślił, wiesz, taka wyimaginowana nowa dziewczyna, ale potem nagle okazało się, że ona istnieje.

– Oczywiście, że istnieje – oburzyła się Sabina. – Mam ją w znajomych na Fejsie!

– Też mi dowód życia – mruknęła Żaneta. Zastanawiała się, czy strzydze ktoś kiedyś uświadomił istnienie fałszywych kont i profili.

– Kasia istnieje, jak sami słyszeliście, i pracuje w logistyce na Bielanach – wyjaśniła wciąż poirytowana ich powątpiewaniem Piechota. – To jest laska mojego byłego, Jędrka. Widziałaś Jędrka, był w szpitalu, wtedy, kiedy się wszyscy poznaliśmy.

– Ten niedźwiedziowaty? – przypomniała sobie Żaneta. – Co robił zdjęcia gościowi w brokacie?

– Dokładnie. Jędrak jest z Kasią, Kasia może załatwić chrupki w hurcie i przez nią znam Mieszka. Mieszko jest taki jak ty, miał gнома gdzieś w przodkach, więc kuma, o co biega. No i ma prawo jazdy na ciężarówkę i megę.

– Megę?

– Takiego większego tira. Co ważne, z plandeką – wyjaśniła Sabina. – Odsuniemy ją z dachu i luz. Tylko Mieszko twierdzi, że teoretycznie jak cusiowi będzie ten łeb wystawał, to będzie ładunek ponadwymiarowy i należałoby mieć pozwolenie, no ale nie przewozimy przecież potworów morskich na legalu, więc spoko. Trzeba tylko cusiowi wytłumaczyć, że jakby patrol przejeżdżał, to ma chować głowę, żeby nie było widać, że coś sterczy. Ale to już ty będziesz musiał dogadać się z matką. Zakładając, że do czwartku zaczniecie ze sobą rozmawiać – zwróciła się do Piotra.

Strzelecki z namysłem pogładził grzbiet książki i sięgnął po filizankę

z herbatą. W skupieniu upił łyk.

– Jeszcze nie wiem – przyznał uczciwie. – Dam ci znać we czwartek, ale na wszelki wypadek wymyśl jakiś alternatywny plan, sama do niej zadzwoń czy coś.

Sabina skinęła głową, przechodząc nad stwierdzeniem do porządku dziennego. Żaneta spojrzała podejrzliwie najpierw na swoją szefową, a potem na jej współnika. Ich zachowanie wydawało jej się co najmniej dziwne. No owszem, skumała, że z jakiegoś powodu Piotr był na matkę wkurzony, chyba dlatego że nie powiedziała mu, że też jest magiczna. Ale zamiast kłać, strzelać fochy czy trzaskać drzwiami, zachowywał się, jakby wystawienie sobie przed drzwi tabliczki z tekstem „jestem na etapie układania sobie emocjonalnego stosunku do pewnych spraw, proszę o cierpliwość” było najnormalniejszą strategią działania w takiej sytuacji. A Sabina z kolei wydawała się uważać, że owszem, tak właśnie się postępuje.

Nawet w najbardziej nierealistycznych amerykańskich filmach, które namiętnie oglądała Pati, to tak nie wyglądało.

– Ile nas będzie kosztować ta impreza? – zainteresował się tymczasem Piotr.

– Piętnaście tysi za chrupki. Trzy zeta za kilometr dla Mieszka, licząc kurs Wrocław–Nysa–Brzeg i ewentualny powrót do Nysy po chrupki, i znowu Wrocław. Ale luz, wszystko zrefakturuję na twoją mamę i Ludmiłę. Jeden turnus znękanych biznesmenów albo wierchuszki policyjnej z Opola, to sobie odbijają.

– A, właśnie... – Strzelecki stropił się nieco i nerwowo podrapał się po głowie. – Ten, no, obiecałem Wilczkowi, że go na jakiś turnus wciągnę. Wiesz, pomógł nam i w ogóle...

Sabina uniosła jedną brew.

– Jeśli... jeśli zacznę rozmawiać z mamą, sam to załatwię, ale na wszelki wypadek... – Spojrzał na nią prosząco.

– Luz, jak coś, to się tym zajmę – zapewniła strzyga. – A ty na co czekasz? – zwróciła się do Żanety. – Miałaś dzwonić.

– Do kogo?

– Do naszej lokalnej wiedźminki – wytłumaczyła Sabina. – Do Ludmiły Marciniak. Powiedz jej, że startujemy z Nysy we czwartek o osiemnastej z plaży.

– Nie mam jej numeru telefonu – odparła słabym głosem Żaneta.



– Zaraz ci wyślę esemesem – zapewniła ją Piechota, klikając coś na swojej komórce.

– Nie chcę do niej dzwonić! – przyznała w końcu dziewczyna. – Piotr nie musi dzwonić do matki, dlaczego ja mam dzwonić do Marciniakowej?

– Piotr znajduje się w stanie emocjonalnego rozchwiania w związku z pewnymi zaszłościami rodzinnymi. Wcześniej czy później mu się ustabilizuje i nie potrzeba mojej pomocy przy tej stabilizacji, tylko wsparcia przy tworzeniu optymalnego środowiska do emocjonalnej rekonwalescencji. Krótko mówiąc, wcześniej czy później do matki zadzwoni – wyjaśniła jej cierpliwie Sabina.

– Trochę się boję – przyznała Żaneta, zaskakując sama siebie szczerością. Było nie było, łowczyni potworów...

– Jesteśmy z tobą – zapewnił ją Strzelecki. – Ale to nie oznacza, że będziemy cię wyręczać w niewygodnych czynnościach.

– Si – zgodziła się Sabina, energicznie kiwając głową. – Rozumiesz, pomoc przy transporcie parotonowego potworka – zawsze, dzwonić zamiast ciebie do pani Ludmiły – nigdy. Wyciągaj komórkę i dawaj, jesteśmy z tobą.

Żaneta stwierdziła w duchu, że los zsyła jej wyjątkowo nieudane cheerleaderki, ale cóż było robić. Ikonka wiadomości w jej telefonie już migiała, dając sygnał nadejścia esemesa od Sabiny. Dziewczynę nagle olśniło.

– A mogę do niej napisać? – zapytała podstępnie.

Sabina wzruszyła ramionami. Piotr zamyślił się nad herbatą.

– Wyczuwam w tym nutę eskapizmu... – zaczął delikatnie.

– Nie powiedziałaś, że nie wolno w eskapizm – zwróciła mu uwagę Piechota. – Poza tym patrząc z innego punktu widzenia, to jest kreatywne i inteligentne rozwiązanie, które metodą kompromisu rozwiązuje naszą sytuację.

Dwójka współników przez chwilę mierzyła się wzrokiem.

– Niech będzie – skapitulował w końcu Strzelecki.

Sabina uniosła w górę rękę i zamarła niczym manekin z jakiejś epatującej mrokiem wystawy. Piotr przyglądał jej się z niemym zainteresowaniem. Po pięciu sekundach strzyga spojrzała z wyrzutem na praktykantkę.

– Powinnaś mi przybić pionę – powiedziała obrażonym tonem. – W końcu użyłam logiki i zdobytych w toku współpracy z Piotrusiem gadek coachingowych, żeby stanęło na twoim.

– Dzięki – mruknęła Żaneta.

Sabina nadal trwała w pozycji posągu z ręką w górze, więc dziewczyna westchnęła ciężko, wstała i podeszła, by z namaszczeniem przybić jej tę piątkę. Piechota rozpromieniła się niczym grabarz po kupnie minikoparki.

– No to piszę – oznajmiła Żaneta, siadając przy swoim biurku. Chwilę zajęło jej wymyślenie wiadomości, ponieważ po pierwsze, debiutowała w pisaniu do emeryckiego odpowiednika wiedźmina, po drugie, Piotr z Sabiną patrzyli jej na ręce i co chwila się myliła. Literówki w esemesach do wiedźminów nie wyglądały profesjonalnie i Żaneta absolutnie nie mogła sobie na nie pozwolić. W końcu udało jej się zredagować i wysłać wiadomość. Od razu też dostała odpowiedź: „Okej, bedziemy”. Cóż, najwyraźniej w branży łowieckiej brak znaków diakrytycznych był dopuszczalny...

Odłożyła telefon na biurko i zaraz go podniosła, bo znowu zawibrował. Tym razem to nie była Marciniakowa. Z okrągłej ikonki Messengera spoglądał na nią Dawid ze studiów, śliczny i upozowany, z rozwichrzonym włosom.

„Hej, opuściłem ostatni wykład, podzielisz się notatkami?”.

Zdziwiła się, że napisał do niej. Zasadniczo to zamienili może parę słów, z czego dziewięćdziesiąt procent to były bezosobowe „cześć” przy wchodzeniu na wykład i pod koniec zajęć. Oczywiście Żaneta była doskonale zaznajomiona z tyłem jego głowy i kierunkiem, w jakim układały mu się włosy, ale to było... no, estetyczne. Bezosobowe. Poza tym nie byli nawet znajomymi na Fejsie, oboje należeli do grupy, którą założył ktoś z roku, i tyle (a Dawid miał profil widoczny tylko dla znajomych, nie żeby Żaneta sprawdzała, tylko przypadkiem jej się kliknęło).

„Wyślę ci później zdjęcia notatek” – odpisała. Umiała być koleżeńska, a co.

„Wolałbym się spotkać”.

„Sorry, nie jestem z Wrocka”.

„Przyjadę do Brzegu”.

Zawahała się. Też miała ukryty profil, skąd on mógł wiedzieć, że ona jest z Brzegu? Pewnie gdzieś na przerwach usłyszał, gadka o dojazdach i spóźnieniach pociągów to był na studiach zaocznych odpowiednik angielskiej rozmowy o pogodzie.

„Nie mam czasu w tym tygodniu”.

„Nawet dla mnie?”.

Serio tak napisał. Nawet z uśmiechem. Gdyby dostała taką wiadomość w sobotę, nawet w niedzielę, toby pewnie zapisała i zaraz dzwoniła do Pati przeżywać sytuację. Ale był wtorek, sytuacja uległa zasadniczej zmianie i Żaneta nie była już znękaną dziewczyną, która nie ogarnia własnego życia i ma dość. Teraz była trochę mniej znękaną życiem dziewczyną z nowymi, obiecującymi perspektywami, które zapowiadały się na tak czasochłonne, że nie miała pojęcia, gdzie jeszcze miałyby w swoim rozkładzie na najbliższy rok czy dwa upchnąć ślicznego Dawida. Studia, praca, ekologiczne dziadostwo, czy jak to tam Sabina nazwała. I jeszcze cała ta nienormatywność, pchająca się drzwiami i oknami, i to bardzo dosłownie – w rogu sufitu plół właśnie pajęczynę mały pajaczek, całym swoim małym jestestwem myślący ciepło o Żanecie i jej borowym dziadowaniu. Jak miałyby ślicznemu Dawidowi wyjaśnić pajaczkę?

„Napisz na grupie, ktoś na pewno ci pomoże”.

Wcisnęła wyslij jak najszybciej, żeby zdążyć, zanim na przykład zmieni zdanie. Na wszelki wypadek jeszcze ściszyła telefon i wyłączyła wibracje. Po sekundzie zastanowienia jeszcze odinstalowała Messengera.

Dopiero kiedy z rozmachem odłożyła komórkę na biurko, zauważyła, że Sabina i Piotr przyglądają jej się z zainteresowaniem. Strzelecki odłożył nawet książkę i tylko pracowicie siąpił tę swoją herbatkę. Piechota przekrzywiła głowę to na jedną, to na drugą stronę, jak piesek preriowy.

– Dobrze ci to pisanie z panią Ludmiłą idzie – zauważyła jakby z szacunkiem.

– Nie pisałam z nią – ucięła Żaneta, czując, że uszy jej czerwienieją. Dobrze, że włosy akurat nad nimi miała różowawe, zawsze mogła powiedzieć, że to nie rumieniec, tylko gra świateł.

Spodziewała się pytań albo żartów, ale Sabina niemal natychmiast straciła zainteresowanie tematem i zajęła się pakowaniem torby na szkolenie. Piotr uprzejmie zagaił, czy Żaneta chciałaby o czymś porozmawiać. Ponieważ nie chciała, wrócił do książki.

Piechota skończyła zagarniać do swojej ogromnej, skórzanej torby notatnik, laptop, segregator i płataninę uprząży do pracy na wysokości.

– Mam w Gaci warsztaty dla druidów – wyjaśniła.

– Dlaczego akurat w Gaci?

O ile Żaneta się orientowała, Gać może nie była miejscem, gdzie bociany zawracają, ale też nie wyglądała na miejsce, w którym mogłoby odbywać się

szkolenie. No, chyba żeby salę w wiejskiej szkole wynająć... Ale wynajmem sal zajmowała się ostatnio właśnie Żaneta i w Gaci na pewno nic nie rezerwowała...

– Bo tam przy drodze rośnie jemiola. Już niedługo zaczną się ściemniać, chłopaki będą sobie mogli poćwiczyć przed wiosną. Mamy zajęcia na świeżym powietrzu.

– Ktoś was zauważy! – Żaneta się przestraszyła. Droga z Gaci do Brzegu była bardzo uczęszczana.

– Luz, to już problem kursantów – oznajmiła radośnie Sabina. – Jakiś rytualik mają i niby nikt nic nie zauważy. A jak coś, to mamy przykrywkę. Jeden z nich, wyobraźcie sobie, tam mieszka i sobie dolmena w ogródku walnął. Jakby się ktoś pytał, to odprawia tam z kolegami pogańskie rytuały, w końcu jest wolność wyznania.

– A ty tam za kogo będziesz robić? – zainteresowała się praktykantka.

– Za siebie oczywiście, BHP jest zawsze przydatne i uzasadnione – oznajmiła z godnością Sabina. Odstawiła torbę na podłogę, a sama zatrzymała się przed Piotrem. – Czy ja cię mogę zostawić samego? – zapytała rzeczowo.

Strzelecki ze zdziwieniem zamrugał powiekami.

– Ależ oczywiście, Sabino. Jestem dorosłym nieczłowiekiem...

– ...który przeżył wstrząs o podłożu rodzinnym – dokończyła bezlitośnie Piechota. – A za towarzystwo masz dorosłą, trochę nienormatywną laskę, która przeżywa z kolei kryzys adaptacyjny...

– Przeżywam? – zdziwiła się Żaneta.

– ...co z kolei oznacza, że jedyną w miarę stabilnie psychiczną osobą w tym gronie jestem ja, a chyba wszyscy się zgodzimy, że to jest odrobinę przerażające – zakończyła grobowym głosem. – Dlatego jak coś, to dzwońcie. I za godzinę będzie tu Ewa na kontrol.

– No wiesz co! – zbulwersował się Piotr.

– No właśnie wiem – przypomniała mu Sabina. Na taki tekst Strzelecki zamilkł gwałtownie. – Kiedyś ty mnie, teraz ja tobie, patrz, jak się te role odwracają... – Pochyliła się i z rozmachem cmoknęła go w czoło. – Dzwoncie! – rzuciła z naciskiem do Żanety na pożegnanie i wyszła.

## 12. Wtorek V

Przed zaplanowaną wizytą Ewy Piotrowi udało się nakłonić Żanetę do wyjścia na zakupy. Argumentował koniecznością uzupełnienia zapasów słodczy, zjedzenia czegoś solidnego po męczącym poranku, zażycia aspiryny i przyjęcia dawki witaminy C, żeby się nie przeziębic po łażeniu nad jeziorem, a nawet własnym pragnieniem spożycia makaronu z warzywami od Wietnamczyka.

Pod presją makaronu Żaneta wreszcie się ugięła, parę tygodni pracy z Sabiną wdrukowało jej zasadę, że szefostwu nie wolno odmawiać węglowodanów. Nigdy i w żadnych okolicznościach.

Praktykantka opatulila się swoją puchową kurtką, nasadziła na głowę żółtą czapkę z pomponem i przyjęła z rąk Piotra ekologiczną materiałową siatkę i kartę firmową z nieekologicznego plastiku. Kluczyków od renówki nie musiała przyjmować, bo miała je w kieszeni.

Na odchodnym rzuciła Piotrowi podejrzliwe spojrzenie, jakby domyślała się, że coś kręci, ale w końcu jednak wyszła, zapewniając, że raz-dwa wróci.

Piotrek mocno wątpił w raz-dwa. W Kaufie były kolejki, u Wietnamczyka trzeba było chwilę poczekać... Na pewno miał wystarczająco dużo czasu, żeby jakoś ogarnąć sytuację.

Złapał za komórkę. Do matki nie chciał na razie dzwonić, zostawał mu Wilczek... który jak na złość nie odbierał telefonu. Pewnie był na akcji, interwencji czy co on tam robił w pracy.

Piotr zapatrzył się na ekran komórki. Ewentualnie mógłby napisać do mamy esemesa...

– Po nerwowych ruchach wnioskuje, że nie zrobiłeś tego, co miałeś.

Piotr odwrócił się gwałtownie. W drzwiach biura stała Ewa, w nieskazitelnie czystym, jasnokremowym płaszczu, z błękitnym szalikiem kunsztownie zamotanym pod szyją i w granatowych kozakach. Przez chwilę próbował sobie przypomnieć, czy przed premierą tego filmu dla dzieci starsza Ryńska też celowała w ten zestaw kolorystyczny, ale nie był w stanie. Na pewno zawsze była wytworna i elegancka, pozornie bez żadnego wysiłku.

– Miałaś być dopiero za piętnaście minut – wydukał trochę bezradnie

Piotr. Odczuwał nieracjonalną panikę na myśl, że zawalił temat i teraz życie Sabiny może być zagrożone. Nie, wróć. Przede wszystkim przerażenie budził w nim fakt, że zawalił temat i Ewka będzie zła. Zdecydowanie ta cała sprawa z matką zwichrowała mu psychikę i priorytety...

– Miałeś zapytać matki o anomalie – wypomniała zimno Ewa. Ściągnęła płaszcz i powiesiła go na wieszaku przy drzwiach. Obrzuciła średnio przychylnym spojrzeniem chaos w poczekalniorecepcji: rozstawiony na środku flipchart i kartkę pokrytą rysunkami Sabiny plus jeszcze pięć walających się na podłodze, pomiętych i zawierających wizualizacje poprzednich, odrzuconych koncepcji załadunkowych.

Piotr wziął głęboki oddech i postawił na radykalną szczerość.

– Partnerka mojej matki poluje na nienormatywnych. Jak ja mogłem w takich warunkach wspomnieć o tym, że martwimy się, czy Sabinie nie odbije i nie zacznie polować na ludzi!

Ewa dystyngowanym krokiem przeszła nad pomiętymi papierami i rozsiadła się na jednym ze stojących w poczekalni foteli. Strzeleckiego ogarnęło nieprzyjemne wrażenie, że jest na audyencji u władczyni i, co gorsza, przyszedł się na tę audyencję gęsto tłumaczyć.

– Ludmiła nie tknie Binki – oznajmiła spokojnie Ewent.

– Skąd możesz to wiedzieć? – oburzył się na taką lekkomyślność Piotr.

– Bo jej kiedyś powiedziałam, że jeśli to zrobi, to ją zabiję – wyjaśniła Ewa, patrząc mu prosto w oczy. – Ona wie, że nie żartowałam.

Strzelecki na chwilę zaniemówił. Wpatrywał się dłuższą chwilę w najlepszą przyjaciółkę swojej współpracownicy i niemal fizycznie czuł, jak cegiełki w głowie układają mu się w wyjątkowo nefajny wzór. Zamilkł na dłuższą chwilę.

– Dlaczego ja dopiero teraz zauważyłem, że ty się na Hannibala nadajesz bardziej niż ja? – zapytał wreszcie żałośnie, opadając na drugi fotel i ukrywając twarz w dłoniach. Zdecydowanie w tym tygodniu za często waliły mu się fundamenty świata.

Ewa wzruszyła ramionami.

– Dobrze się maskuję? Albo do kitu z ciebie psycholog. Wybierz sobie, co ci bardziej pasuje.

Piotr łypnął na nią spomiędzy palców. Też mu dała wybór...

– Jak się jeszcze okaże, że masz w piwnicy stos trupów...

– Ja nigdy nie musiałam nikogo mordować. – Ewa uśmiechnęła się do

niego delikatnie, piękna i zimna. – Mam Binkę.

Strzelecki znowu zaniemówił, tym razem na krócej.

– To jest taka symbioza, że można by o tym z pięć książek napisać – powiedział w oszołomieniu. – I jeszcze serial na Netflixu zrobić...

– Prędzej na National Geographic – podsunęła Ewa. – Strzygi jako stworzenia symbiotyczne, kompatybilne z ludźmi i z nienormalnymi.

– Co...?

– Nie oszukujmy się, nie tylko ja żyję z Binką w symbiozie. Tobie też Binka jest potrzebna. A my oboje jesteśmy potrzebni jej. Teraz to nawet bardziej, bo ktoś jej musi ten tyłek uratować. Dałeś ciała, ale okej, w szoku byłeś i nie myślałeś jasno. Może i trochę masz racji, Marciniakowej lepiej w temat nie włączać, cholera wie, co jej na starość odbije. A ten policjant?

– Z tego wszystkiego zapomniałem do niego zadzwonić... – przyznał wciąż mocno oszołomiony Piotr. Symbioza... kurczę, w zasadzie coś w tym było...

– No to na co czekasz? Dzwon, już! – nakazała niecierpliwie Ewa. Wobec rozkazu wydanego przez aktualnie w biurze panującą złowrogą królową Piotrowi nie pozostawało nic innego, jak zadzwonić i mieć nadzieję, że tym razem Kacper odbierze.

Odebrał.

– Gościu, ale żeś mnie wpakował – powiedział na przywitanie Wilczek. Piotr, pod naciskiem spojrzenia Ewy, przełączył telefon na głośnomówiący i położył na stole.

– Tak? – zapytał słabo.

– To są całkiem pieprznięci, spsiali neofici!

– Spsiali?

– Spsiali, kurde. Jeżdżą sobie do lasu za patykami polatać. Zero godności, zero! Z naturą się tak, podobno, integrują. Do korzeni wracają! – Głos policjanta zabrzmiał lekko histerycznie. – I ja będę musiał się po tych chaszczach szlajać z nimi!

– Dlaczego? – zdziwił się absolutnie szczerze Piotr.

– Bo musiałem z nimi nawiązać przyjaźń stadną. Wiesz, obwąchać się. Nikt tego w dzisiejszych czasach nie robi dosłownie, a ty, no, musiałeś, musiałeś wynaleźć jedyne stado w całej Polsce, które lata na golasa po lesie i wacha sobie tyłki!

– Nie wiesz, jak jest z innymi stadami...

– Wiem – oznajmił ponuro. – Mówiłem ci, Sabina mnie pododawała go różnych grup na Fejsie. Wiem więcej od własnego dziadka, a on nie wie, czy się cieszyć, że wracam do tradycji, czy wkurzać, że jestem lepiej poinformowany od niego. Wisisz mi nie tylko turnus, ale i terapię!

– Sabina już wszystko ustala z moją matką – powiedział natychmiast Piotr.

– Jak mi znowu wyśle arkusz z pytaniami...

– Nie wyśle, nie robi przysługi tobie tylko mnie – zapewnił pospiesznie Strzelecki. – To czego się dowiedziałeś? Skoro już się zaprzyjaźniliście...

– Następnym razem z leśnymi zbokami zaprzyjaźniasz się sam – poinformował go sucho Wilczek. – Pojechali na imprezę z okazji kawalerskiego. Latanie po lesie, aportowanie patyczków, tarzanie się w jakimś świństwie, wiesz, typowe rozrywki miejskich piesków, które się nagle wyrrywają na łono natury. I wszystko było fajnie i sympatycznie, ale w drodze powrotnej jednemu zaczęło odpalać. Zanim wsiedli do busika, to już grzebał sobie kijem w zębach i nie chciał patyka zostawić, a jak dojechali na miejsce, to już był pełen pierdolec.

– Spsiał? – zapytał delikatnie Piotr. Ewa siedziała wyprostowana, wbijając chciwie spojrzenie w telefon, jakby w ten sposób mogła szybciej dostać odpowiedzi.

– To jeszcze byłby luz – mruknął Wilczek. – Gorzej, odwaliło mu na taki powrót do natury, że aż się reszta rodziny zraziła.

– Dlaczego?

– Zaczął ganiać bez odzieży, ocierać się o drzewa, szczać sąsiadom na trawnik... takie rzeczy nie do przejścia, jak się mieszka we Wrocławiu w dzielnicy willowej. I jeszcze pitolił o tym, jak będzie miał z tą swoją przyszłą żoną szczeniaczki i zamieszkają w lesie, i on będzie sobie wył do księżycy, a jej przynosił serca jeleni... normalnie Czerwony Kapturek i wilk, wiesz, takie klimaty.

– Wilkołaki tak mają? – Strzelecki zdążył pomyśleć, że w takim razie może te trzysta pytań Sabiny miało sens, to było w zasadzie niebadane psychologicznie terytorium, a implikacje... Te ponure myśli przerwało mu prychnięcie Wilczka.

– Nikt tak nie ma – rzekł stanowczo policjant. – Chyba że w ramach nauki angielskiego się naczyta paranormalnych romansów z Amazonu po dolar czterdzieści pięć za sztukę.

– Co?!



– Gostek dostał urojeń. Nie wiem, jagód się najadł czy co, oni też nie wiedzą, w każdym razie obciach go do ludzi wypuścić, nawet dla takich naturystów jak jego rodzina. Co innego raz na jakiś czas pikniczek, patyczek, a co innego robić za półowczarka na dzielni. Trzymają go w tej piwnicy i czekają, aż mu przejdzie, bo się boją, że jak go do narzeczonej dopuszczą, to w najlepszym razie jej twarz obliże.

– A w najgorszym...?

– A weź się, kurde, domyśl, on cały czas pół przemieniony lata. Na jej miejscu chciałbyś z takim?

Piotr osłupiał. Trwałyby może w tym osłupieniu, nie wiadomo jak długo, gdyby Ewa nie kopnęła go stanowczo w kostkę. Strzelecki z szoku co prawda od tego nie wyszedł, ale uaktywniły mu się wdrukowane zachowania.

– Rozumiem, że w takiej sytuacji będziesz chciał o tym porozmawiać w ramach terapii – zaczął profesjonalnie.

– W takiej sytuacji to ja bym chciał sobie wybielacz do firanek bezpośrednio do mózgu zapodać – oznajmił stanowczo Wilczek. – I generalnie to nie, dzięki, nie chcę już terapii. W ogóle nie zamierzam o tym kiedykolwiek z kimkolwiek rozmawiać, roztrząsać czy analizować. Zamierzam ze wszystkich sił o tym zapominać, a ty mi lepiej załatw ten turnus, żebym się zajął rozwojem kariery i mógł myśleć o czymś innym. Jasne? – Rozłączył się, nie czekając na odpowiedź.

– O kurczę – podsumował Piotr.

– Żadne kurczę, dalej nic nie wiemy – zirytowała się Ewa.

– No ale urojenia...

– Banda wilków pojechała do lasu, jeden wrócił z pierdolcem – podsumowała kobieta. – Nie wiadomo, czy coś zjadł czy mu woda zaszkodziła, wytarzał się w czymś... Nic nie wiadomo. Musisz zadzwonić do matki.

– To jest na razie wykluczone...

– Dzwon.

Strzelecki westchnął.

– Słuchaj, mam za sobą ciężkie dwa dni...

– To urocze, że sądzisz, że w chwili gdy Bince grozi niebezpieczeństwo, mnie będą obchodzić twoje uczucia – oznajmiła Ewa, wywracając oczami.

– To było... bardzo szczere – przyznał w oszołomieniu Piotr.

– Mam udawać? – Ewent się skrzywiła. – Już przecież ustaliliśmy, że a –

jestem jak Hannibal, b – Binka jest dla mnie najważniejsza na świecie, ex aequo z moją siostrą, c – nikt nie będzie gadał o uczuciach i analizowaniu emocji, skoro trzeba działać. Już. Teraz.

Piotr pokiwał głową.

– Skoro sobie już ustaliliśmy założenia bazowe, to przejdźmy do priorytetów – kontynuowała Ewa, wciąż tym samym chłodnym i pozbawionym emocji głosem. – Priorytetem jest bezpieczeństwo Binki. Muszę ustalić, czy w związku z tym wilczym pierdolcem coś jej grozi, i ewentualnie podjąć środki zaradcze lub zająć się zarządzaniem konsekwencjami.

– Chowaniem trupów – zgadł Strzelecki.

– Dokładnie – pochwaliła go Ewent. – I tu dochodzimy do chwili, gdy sięgasz pod telefon... – Przechyliła głowę delikatnie na bok i spojrzała na niego tymi swoimi błękitnymi oczami, przypominającymi dwa lodowe jeziora.

– To... to może ja zadzwonię do mamy... – powiedział zaskakująco słabym głosem Piotr.

Ewa uśmiechnęła się pięknie i szeroko, jak rekin ze Szczęk.

– Superpomysł – pochwaliła.

Strzelecki sięgnął po telefon i wybrał numer. Ponownie ustawił rozmowę na głośnik, a komórkę położył na stoliku pomiędzy fotelami.

Maria odebrała prawie od razu.

– Piotruś?

Piotr wzdrygnął się, bo zarobił ponaglącego szturchańca od Ewy.

– To ja – odchrząknął.

– Jak... jak się czujesz?

Piotr zamknął na chwilę oczy. Na sobie wciąż czuł bezwzględne spojrzenie Ewy, a w sobie... chaos uczuć.

– Nie wiem – odpowiedział zgodnie z prawdą. – Ale na razie ten temat zostawmy. To... nie jest dobra chwila na kontynuowanie tej rozmowy. Ja... mam kilka pytań, służbowo w zasadzie, i pomyślałem, że kto jak nie ty mi na nie odpowie, w końcu jesteś tą... szamanką lokalną.

Niemal usłyszał w słuchawce, jak matka bierze głęboki oddech, taki jak zawsze, gdy potrzebowała wziąć się w garść i okryć się czymś jakby psychiczną zbroją. Kto wie, może ta zbroja była całkiem realna...

– Oczywiście, synku. Pytaj.

Ewa bezszelestnie podeszła do flipcharta, idąc na palcach, tak by jej obcasy nie uderzały o podłogę, i nad rysunkiem Sabiny napisała wielkimi literami RÓWNOWAGA. I podkreśliła jeszcze dwa razy.

Piotr zerknął na nią krzywo. Może i go miała za świnkę morską, ale zdecydowanie zwierzątko przewyższał intelektem, sam wiedział, jakie pytanie zadać.

– Mamo, jak ma się sprawa z okolicą? Z równowagą w okolicy, mam na myśli. Wszystko tam okej? Nie ma zakłóceń?

– Oczywiście, że równowaga w przyrodzie jest zakłócona – odpowiedziała natychmiast Marysia. – Sam widziałeś cusia, siedzi biedny sam w jeziorze, nudzi się, wytwarza pola...

– No ale on w wodzie siedzi. A inne żywioły?

– Synu, to jest wszystko ze sobą połączone. Woda wpływa na ogień, ogień na ziemię, ziemia na powietrze, powietrze na wodę, woda na ziemię... wszystko wpływa na siebie nawzajem. To jest bardzo delikatny system, jak piramidka z kart. Jedną trącisz, a wszystko chwieje. Sam dobrze wiesz, że normatywni i nienormatywni są z ekologią na bakier, nie dbają o to swoje środowisko, nie dbają...

– Czyli jeśli przewieziemy złotego cusia do Odry, to jemu się nastrój poprawi, przestanie wytwarzać złe bioprądy, czy co tam robi, i równowaga w przyrodzie zostanie przywrócona? – podsunął chytrze i wręcz lekko triumfalnie Piotr.

– W pewnym aspekcie tak, ale to jest tylko jeden z elementów...

– Jasne. Dziękuję, mamo, to mi na razie wystarczy. Jeśli będę jeszcze miał jakieś pytania, zadzwonię.

– Jeśli będziesz chciał porozmawiać o...

Strzelecki zamknął na chwilę oczy. Nie chciał porozmawiać „o...”. A już na pewno nie wtedy, gdy Ewa Ewent będzie się temu przysłuchiwać. Wziął głęboki oddech, wyobrażając sobie, że otacza go kolczuga o zapachu lawendy.

– Nie, mamo, na razie na pewno nie. Trochę przestrzeni, dystansu i czasu dobrze nam wszystkim zrobi. Do usłyszenia.

– A kolacja we czwartek? – zapytała desperacko Maria.

Piotr zawahał się. Przez myśl mu przeszło, że może Sabina specjalnie... to by do niej pasowało.

– Ludmiła ci nie mówiła? We czwartek przewożymy cusia do Brzegu. Już

wszystko dograne, widzimy się o osiemnastej na plaży.

– Och! – ucieszyła się, ale nie wiedział, czy bardziej z transportu potwora czy z tego, że się zobaczą. – To bardzo dobra wiadomość, synku. Zrobię ciasto. Jakbyśmy zgłodnieli.

– Jasne, mamó. Dzięki. Do zobaczenia.

– Do zobaczenia! – Piotr słyszał uśmiech w jej głosie, kiedy się rozłączyła.

– Niby jakieś coś z Nysy robi zakłócenia? – odezwała się z powątpiewaniem w głosie Ewa. Sięgnęła po flamaster i zaczęła systematycznie zamazywać dopisek na flipcharcie.

– No sama słyszałaś – przypomniał Piotr. – Co w ogóle robisz?

– Zamazuję, żeby się Binka niczego nie domyśliła, a nie chcę jej schematu niszczyć – odparła. – Jakoś jej to wyjaśnisz, powiesz, że mazałeś z nerwów, czy coś. A propos cosiów, nie kupuję tej teorii.

– Dlaczego? Masz w Nysie w jeziorze potwora z Loch Ness, no Loch Nysa. Jest sam i nieszczęśliwy, wytwarza jakieś pole, zakłóca równowagę, zakłócenia idą do wilków, może jakąś żyłą wodną...

– Daj spokój, gdzie Nysa a gdzie Namysłów – prychnęła Ewa, siadając z powrotem w fotelu. – Wątpię, żeby jakiś dinozaur z jeziora miał wpływ na szaleństwo wilkołaków osiemdziesiąt kilometrów dalej! Brzeg jest w połowie drogi między Nysą a Namysłowem, gdyby te bio- czy wodoprądy cusia szkodziły, to Sabinie by pierwszej odwalilo. Jakbyś mi powiedział, że dajmy na to w Kępnie jest bazyliszek i jego bioprądy idą w naszą stronę, po drodze szkodząc wilkom w Lubszy, to owszem, kupiłabym to.

Piotrek spojrział na nią z ukosa.

– Bazyliszek jest w Rychtalu. Kierunek się zgadza. Ale to miły gość jest, przyjeżdża do nas na terapię grupową. Nie robi nikomu krzywdy i na pewno nie ma bioprądów.

– Na pewno?

– Ma trochę problem z higieną osobistą, ale odkąd nadużywa dezodorantu, to da się przy nim oddychać, tylko lepiej z otwartym ogniem nie podchodzić – przyznał Piotr, niechętnie zdradzając detale dotyczące klienta. – Słuchaj, to musi być coś, wszystko się zgadza czasowo. Mamy przyczynę, mamy skutek, brakuje nam drogi ekspozycji, ale to nie jest takie istotne. Najważniejsze, żeby Sabinie nic się nie stało.

– Skoro nie znamy drogi ekspozycji, to nie wiemy, przed czym ją chronić – wytknęła Ewa. – Poza tym powiązanie faktów jest kluczowe. Niczego się

nie nauczyłeś z lektury tych swoich kryminałów?

– Nauczyłem się bardzo dużo sztuczek – odparł Piotr. – Słuchaj, jeśli mam rację, to we czwartek może być tak, że cusiowi się odwidzi i kto wie, może w piątek będą do ciebie dzwonić, że ślub się jednak odbędzie i że masz wszystko załatwić.

– Jasne – powątpiewała Ewa.

Strzelecki wzruszył ramionami.

– To na razie najlepsza teoria, jaką mamy, przetestujmy ją. Jeśli po transporcie cusia nic się nie zmieni, szukamy dalej informacji. Nawet umówię się z matką na weekend na wizytę w Lubszy – zaproponował desperacko. – Będziemy odbudowywać więzi na łonie natury i może na coś wpadniemy.

Ewie w oku błysnęło coś à la odłamek lodu. Pochyliła się w stronę Piotra i wyciągnęła do niego rękę.

– Umowa stoi – powiedziała.

Strzelecki uściskał jej dłoń, mając nieodparte wrażenie, że przy okazji sprzedaje duszę, której, jako częściowy inkub, prawdopodobnie nie posiadał.

Prawdopodobnie.

Bo jeśli ją miał, to chyba właśnie zmieniła właściciela...

## 13. Wtorek VI

Mały, nerwowy głosik powtarzał Kindze, że coś jest nie tak. Nie był zbyt głośny, ale namolny jak wygłodzony komar. Nie była pewna, czy należy do jej zdrowego rozsądku czy do rosnącej paranoi, ale postanowiła go posłuchać. Ostrożności nigdy za wiele – kto wie, może gdyby ją zachowała te parę miesięcy temu, to teraz byłaby na samej górze piramidy sprzedażowej i jeździła na zjazdy do Szklarskiej Poręby. Albo pod Jesenik.

Kiedy Ewa oświadczyła, że na dziś koniec, Kinga posłusznie zebrała swoje rzeczy i wyszła z domu szefowej. A potem zaczęła w bocznej uliczce, aż mini morris ruszy w stronę Brzegu.

Śledzenie auta było zdecydowanie trudniejsze, niż to na filmach wyglądało, może też za sprawą okoliczności geograficznych: w małym mieście próżno było marzyć o obfitym ruchu drogowym, nie było też na tyle dużo długich, prostych odcinków, żeby można było się trzymać za obiektem, nie ryzykując wykrycia. Nie, w Brzegu były światła, zakręty i krótkie uliczki. Prościej byłoby podążać za Ewą na rowerze.

Kinga miała do wyboru albo dać się zauważyć, albo zaryzykować i przyjąć, że jeśli Ewa jechała do Brzegu i być może faktycznie coś się kroilo w związku z tym szalonym wilkołakiem, to pewnie zmierzała do Sabiny. O piętnastej Piechota powinna być jeszcze w biurze, więc Kinga objechała dworzec od drugiej strony i bingo. Na parkingu pod sklepem, naprzeciw dworca, stało auto jej szefowej.

A do sklepu wychodził właśnie ten jej zleceniodawca.

Nie widywała gościa za często, ale poznała od razu. Średniego wzrostu, wysportowana sylwetka, po czterdziestce, ubrany w dzinsy i wełniany płaszcz. Miał mocno zarysowaną szczękę, orli nos i świdrujące niebieskie oczy. I dość wysokie czoło, Kinga miała złośliwą nadzieję, że to oznaka łysienia.

Co on robił w pobliżu biura Piechoty? Co on w ogóle robił w Brzegu?

Bez namysłu zaparkowała obok auta Ewy. Wcześniej planowała się zadekować gdzieś w kącie, żeby pozostać niezauważoną, ale teraz priorytety jej się zmieniły.

Pospiesznie wysiadła i niemal pobiegła do sklepu. Mężczyzna, którego szukała, właśnie płacił przy kasie za butelkę wody mineralnej i drożdżówkę.

– Co tu robisz? – wysyczała, podchodząc do niego bez namysłu. W uszach miał słuchawki od telefonu, ale jedną wyciągnął, być może, żeby słyszeć, co sprzedawczyni do niego mówi. Z plastikowego głośniczka dobiegał smętny zaśpiew jakiegoś gogusia „I could wait night and day...”.

– Co to za szajs? – wzdrygnęła się Kinga.

– Moja ulubiona piosenka – wyjaśnił uprzejmie. – *Army of Lovers, Obsession*. A jeśli o twoje poprzednie pytanie idzie – kupuję sobie drożdżówkę do pociągu. – Schował zakupy do skórzanej teczki i skierował się wyjścia.

– Paragonu pan nie wziął! – huknęła sprzedawczyni tak głośno, że Kinga aż podskoczyła.

– Ale zapewniam panią, że widziałem, że chciała mi go pani dać. – Wspólnik się uśmiechnął, wrócił dwa kroki i z ukłonem przyjął od sklepowej papierek. – Tak to bywa w moim fachu – rzucił zdumionej Kingie. – Za dziesięć minut mam pociąg. Chciałaś coś?

– Co robisz w Brzegu?

– Pracuję – wyjaśnił uprzejmie. – Nasze małe przedsięwzięcie to w zasadzie mój drugi etat.

– A ten pierwszy?

Błękitne oczy błysnęły stałą.

– Nie interesuj się tym przesadnie, moja droga. Ciekawość to paskudna wada. – Zostawił ją przed sklepem i odszedł w stronę dworca.

Kinga poczuła, że zdecydowanie nie ma ochoty śledzić poczynañ Ewy. W zasadzie w ogóle nie ma ochoty na nic innego poza powrotem do domu i zabarykadowaniem drzwi.

Po co ona się zaczęła w to wszystko bawić?

A, dla kasy.

Kasa była fajna, ale Kinga zaczynała się nieco obawiać, czy pożyje na tyle długo, by ją wydać.



Korzystając z dostępu do karty firmowej, Żaneta wykazała się inicjatywą

i oprócz zapasu cukrów dla Sabiny nabyła też u Wietnamczyka na wynos sajonki dla siebie i makaron z warzywami dla Piotra.

Czekając w barze, aż zamówienie będzie gotowe do odbioru, z lekką zgrozą zobaczyła, że ma na telefonie piętnaście... nie, już szesnaście wiadomości od Dawida.

„Zależy mi, żebyś ty mi wytłumaczyła”.

„Chcę koniecznie się z tobą zobaczyć”.

„Czemu mi nie odpisujesz?”.

„Czy ty mnie w ogóle rozumiesz?”.

Przy „Nie rozumiesz, ale ja ci wszystko wytłumaczę, i wtedy będzie inaczej” Żaneta bez wahania gościa zablokowała. Zasadniczo nie bała się już tak bardzo strzyg, generalnie pozbywała się lęku przed łowcami potworów, ale od wariatów to zdecydowanie wolała się trzymać z daleka.

Przypomniało jej się, że za niecałe dwa tygodnie ma zjazd na studiach i trochę jej to popsło humor. No, ale przynajmniej miała dwa tygodnie na opanowanie rytuałów odstrasających, ewentualnie na podpytanie Marciniakowej, czy łowcy mają jakieś swoje tajne karate kung-fu i czy mogłaby wziąć kilka lekcji. Co prawda łowczyni nie wyglądała na specjalnie gibką, ale ten dziadek z filmu o walczącym dzieciaku też sprawiał wrażenie, jakby się zaraz miał rozsypać, a kopniaczkami i blokadami wymiatał. Żaneta też mogłaby wymiatać. Nie po dwóch tygodniach może, ale z jednego kopniaczka chyba przez ten czas by opanowała? I zawsze może sobie kupić gaz.

Odbierała już jedzenie, kiedy telefon jej zapiszczał sygnałem esemesa.

„Tu Dawid. Dlaczego nie chcesz ze mną rozmawiać?”.

Nie no, tego było za wiele. Musiał wyciągnąć jej numer od kogoś z roku, namolny szczył. Taką ładną miał tę zaczesaną grzyweczkę, a tu się okazało, że chował pod nią takiego pierdolca...

Nikt chyba gościowi nie powiedział, że na komórce też się da blokować numery, co też Żaneta niezwłocznie uczyniła. Zebrała siatki z zakupami i energicznym krokiem ruszyła z powrotem do biura.

Nie była sytuacją przestraszona, to znaczy, owszem, trochę się wariatów bała, ale wariat znajdował się w sporej odległości, więc przede wszystkim odczuwała irytację. Zaczęła dzień z lekkim dołkiem, potem się podbudowała i na horyzoncie zarysowała się przed nią pozytywna perspektywa, a teraz się okazało, że zamieniła emerytowaną stalkerkę samochodową na namolnego



fejsbukowicza. Przemknęło jej przez myśl, że jeśli śliczny Dawid dalej będzie taki namolny, to jak nic będzie musiała przestać chodzić na wykłady. W sumie i tak były nudne, zwłaszcza wobec rysujących się przed nią perspektyw ratowania mitycznych stworów. Nie było żadnych zajęć z przykuwania się do drzew, za to dużo o prawie wodnym. Co oni, w Gdańsku, kurde, byli?

Do biurka wparowała już w całkiem średnim nastroju.

– Masz czasem coś takiego, że cię życie zwyczajnie przerasta i wszystkiego jest za dużo? – zapytała Piotra, który siedział na jednym z foteli i całkiem udanie podszywał się pod smętnego spaniela.

Strzelecki ponuro pokiwał głową.

– No fakt, głupie pytanie w... twoim kontekście – zreflektowała się Żaneta, odstawiając zakupy na swoje biurko. Wyciągnęła siatkę z baru i wydobyła z niej dwa bardzo nieekologiczne jednorazowe opakowania z jedzeniem. – Ale co wtedy... teraz robisz?

– Odpalam świeczki, parzę herbatę jaśminową, ściągam na Kindle'a nowy kryminał... – wyrecytował mechanicznie Piotr. – Czasem jeszcze muzykę zapuszczę.

– Pomaga?

Wzruszył ramionami.

– Czasami tak, czasami nie.

– A jeśli nie pomoże?

– Zawsze jest jeszcze bieganie.

Żaneta z ożywieniem podniosła głowę.

– Ty, to jest myśl! Jak w tym filmie z tym gościem z *Niezniszczalnych*, tym, w którym biegał po schodach i było takie tamtadaDAMtadaDAM-DUM.

– To był Rocky.

– Mógł być – zgodziła się wspaniałomyślnie Żaneta, siadając w drugim fotelu i stawiając pojemniki z jedzeniem na stoliku obok komórki Piotra. – Filmu nie widziałam, tylko klip na YouTube, ale tam była ta muzyczka i on biegał, i było widać, że wypaca cały ten emocjonalny szajs, i problemy życiowe przerabia na mięśnie! Ja też tak chcę, tylko nie za bardzo, rozumiesz?

– Nie rozumiem – przyznał Strzelecki.

– Nie szkodzi. Grunt, że możesz zostać moim guru od biegania. Pójdziemy

do parku, spalimy trochę szajsu, będzie nam lepiej.

– Bardzo chętnie, ale może nie dziś. Prawdopodobnie także nie jutro – dodał Strzelecki po sekundzie namysłu. – Zrobiłem jakieś trzydzieści kilometrów wokoło jeziora, mam wrażenie, że na dziś mi wystarczy, a jutro mogę nie mieć siły się ruszyć. Mam znajomą, która chodzi na siłownię, ale... no, z pewnych powodów na razie was sobie nie przedstawię.

– A jakieś inne metody?

Piotr wzruszył ramionami i skinieniem głowy wskazał na leżące na stole pojemniki.

– Sabinie zawsze pomaga jedzenie, co prawda raczej idzie w słodczyce...

– Słodczyce też mamy, w Kaufie przecież byłam – przypomniała Żaneta. – Ale bądźmy nieładzi cywilizowanymi i kulturalnymi, zaczniemy od obiadu.

Strzelecki przyjął sugestię bez entuzjazmu, ale podsunięty makaron wsunął w dziesięć minut. Żaneta przypomniała sobie o tych trzydziestu kilometrach biegu i pożałowała, że wzięła mu podwójnej porcji.

– Chcesz sajgonkę? – zaproponowała. – Albo pierniczka, są w siatce.

– Nie, dzięki. – Piotr uśmiechnął się do niej, słabo, ale szczerze. – Myślę, że na dziś mi wystarczy. Dopiję herbatę i pójdę do domu się przespać. Jutro mam klientów i grupę wsparcia, etyka pracy wymaga, żeby być w dobrej kondycji. We w miarę dobrej kondycji – sprostował uczciwie, krzywiąc się boleśnie.

Żaneta nie ciągnęła tematu, jak zawsze zresztą, gdy Piotr wkraczał na temat etyki. Mógł na ten temat brylować godzinami, a potem zawsze kończył w dołku, narzekając na brak nienormatywnych supervisorów. Kiedyś, na samym początku, dziewczyna zapytała Sabinę o jej etykę pracy. Strzyga uniosła wymownie jedną brew w sposób niewątpliwie podpatrzony u tej swojej blond przyjaciółki i oznajmiła stanowczo: „Wszyscy mają przeżyć w jednym nienaruszonym kawałku i to nie dzięki łutowi szczęścia”. Takie podejście przemawiało do Żanety zdecydowanie bardziej niż rozliczalność, szczerłość i introspekcja. Przeżycie do niej trafiało: to był prosty, fajny cel, gdyby na przykład miała zadbać o to, żeby takie cusie, kiwające się w rytm przebojów Podsiadły, nie były samotne i żeby nikt ich nie wybijał, żeby sobie żyły w spokoju i słuchały śpiewającego pod wężem Dawida na jakimś starym odtwarzaczu CD, to w zasadzie te jej studia miały sens. Ba, nawet Sabina miała sens, szurnięta i niebezpieczna, owszem, ale ile się od niej można było

pożytecznych rzeczy nauczyć...

– Kurde, dam radę – oznajmiła gwałtownie Żaneta, odkładając puste pudełko po sajgonkach. Piotr aż podniósł głowę. – Jestem dziadową borową, jestem praktykantką u was i nie dość że Sabina mnie jeszcze nie ubiła, to ja nawet nie zwariowałam, kumasz? Jak mnie tu pierdolec nie złapał, to nic mnie nie ruszy. Łowczing, mentoring, coaching, stalking, mrówking, dam sobie radę ze wszystkim.

– To... super? – zaryzykował Piotr, spoglądając na nią lekko podejrzliwie, jakby jej nagle druga głowa wyrosła.

– To bardzo super – potwierdziła dziewczyna. – Idź do domu, wyglądasz jak zagrożony gatunek, ja ogarnę biuro i zamknę.

– O! Dzięki. To znaczy, nie za ten antykomplement...

– Luz – wcięła mu się Żaneta. – Rozumiemy się. A teraz spadaj spać w oparach lawendy. Etyka pracy sama się nie zapewni.



Było już po dwudziestej pierwszej, kiedy beemka Sabiny z rykiem silnika zajęczała pod dom Ewy na Skarbimierzu. Strzyga zaparkowała na podjeździe, obeszała dom wokół i przez szybę szklanych drzwi prowadzących na taras widać było Ewę w jedwabnym błękitnym szlafroku, z luźno związanymi włosami, pochylającą się nad tabletem. Piechota zapukała energicznie we framugę.

Ewent podniosła głowę. Widząc przyjaciółkę, wstała i bez słowa wpuściła ją do środka.

Sabina zrzuciła buty zaraz za progiem i dała nura na sofę, rozkładając się na całej długości. Sięgnęła po stojącą na stoliku kawowym kulę z zamkiem i brokatowym śniegiem i zaczęła obracać ją w dłoniach. Ewa wróciła na swoje miejsce przy stole i do tabletu.

– Ludmiła jest Buffy – oznajmiła Piechota, wpatrując się w błyszczący śnieg padający na zamkniętą w szkle krainę.

Ewa zamarła na sekundę, a potem wróciła do rozpisywania projektu kolejnego ślubu na zadania w swojej aplikacji. Nie podniosła głowy znad ekranu.

– Pojadę trochę agizmem, ale raczej nie jest. Nie w tym wieku. Poza tym

Agnieszka już ci mówiła – ty jesteś Buffy. Nie rób mojej siostrze zawodu, ona jest policjantką, potrzebuje jakichś miłych złudzeń w swoim życiu.

Sabina bardzo poważnie rozważyła temat. Przez chwilę obie milczały.

– Xena – orzekła wreszcie behapówka. – Wiesz, taka w kategorii sześćdziesiąt plus. Pasuje w sumie, nawet ma blond pomagierkę w postaci Maryśki Strzeleckiej.

Ewa uniosła kształną brew.

– Nie widzę jakoś Marciniakowej w skórzanym gorsecie i zasadniczo to wolałabym nigdy nie zobaczyć.

– A kiedyś skórę nosiła. Kurtkę, znaczy. I bandanę – przypomniała sobie Sabina. – Jak odwiedzała babcię. Babka ją zawsze wykopywała, zanim przyszedłam, chyba żeby nie widziała, kto ją odwiedza.

– Twoja babcia miała swój rozum. Szkoda, że ją tylko wykopywała, zamiast zakopać.

Piechota jednym energicznym ruchem podniosła się do pozycji siedzącej. Skrzyżowała nogi, przechyliła głowę na bok i przyjrzała się badawczo przyjaciółce.

– Uuu... Ludmiła ci za skórę zalazła. Co takiego zrobiła?

– Istnieje – odpowiedziała beznamiętnie Ewa. – Wolałabym, żeby tu nie było żadnych łowców. Najlepiej tak w promieniu dwustu kilometrów. Trzystu nawet.

– Spoko, tobie nic nie zrobią. No, chyba że będzie jak w filmach i porwą ciebie, żeby dopaść mnie. Ale nie martw się, uratuję cię wtedy raz-dwa – zapewniła Sabina, może nawet trochę zbyt entuzjastycznie. Ratowanie kogoś w stylu Rambo było drugie na liście jej ulubionych fantazji. Do tej też miała wybrany na wszelki wypadek podkład muzyczny – *Wizards of Winter Trans-Siberian Orchestra*. Widziała siebie, jak kręci do rytmu piruety i rozszarpuje podgardla... To by bardzo ładnie wyglądało, jakby jeszcze padał taki biały, błyszczący śnieg... Nie żeby życzyła Ewuni porwania, skąd. Po prostu miło było pofantazjować.

– Nie o siebie się martwię.

Piechota posłała jej z kanapy causa.

– Binia, ty wiesz, że gdybym miała duszę, to byłabyś jej drugą połówką – oznajmiła poważnym tonem Ewa.

– No wiem – zgodziła się jej przyjaciółka. – I wiesz, że nawzajem.

– Dlatego nikomu nigdy nie pozwolę cię skrzywdzić – zapewniła

i uśmiechnęła się promiennie jej przyjaciółka.

– Tygrysy syberyjskie się szczerzą mniej przerażająco niż ty – skomentowała Sabina. Przez chwilę obracała w dłoni kulę ze śniegiem. – Dobrze, że też wożę saperkę w bagażniku, co?

– Dobrze, że mam w piwnicy wannę i kwas.

– Dobrze, że kiedyś siadłam z tobą w ławce.

– I przegryzłaś mój ołówek.

– Tego to mi nigdy nie zapomnisz?

– Był w gwiazdki. Ojciec przywiózł z RFN, a teraz już nawet RFN nie ma, co tu mówić o ołówku. Pewnych rzeczy nawet tobie nie wybaczę.

– Też cię kocham – zapewniła Sabina. – A skoro o miłości mowa, masz jakieś ciacho w lodówce? U druidów na szkoleniu był bufet wege. I żadnych ciastków. Następnym razem im policzę podwójną stawkę.

## 14. Środa

Całą środę Piotr spędził na kolejnych sesjach z klientami. Wynurzał się z gabinetu tylko na chwilę, by – jak wyjaśnił praktykantce – zmienić na chwilę otoczenie i zresetować mózg.

Żaneta pod biurkiem czytała 50 twarzy Greya pożyczone od Pati, ale skończyła już koło południa, więc z nudów przejrzała książki o procesach czarownic (z rycinami!), które z jakichś powodów były Piechocie potrzebne do robienia ocen ryzyka zawodowego. Mogła zatem z całą ekspercką pewnością stwierdzić, że fitness z taśmami gumowymi, na który poszła poprzedniego dnia wieczorem, pchana jakimś idiotycznym impulsem typu „mogę wszystko, mam tę moc”, plasował się tak mniej więcej równo w połowie drogi między Greyem a procesami.

Do klubu sportowego poszła wypocić nerwówkę pod wpływem impulsu, kiedy jeden ze znajomych ze studiów napisał jej na Fejsie, że Dawid wszystkich zaczepia, szukając z nią kontaktu. No jasne, teraz, jak oceniła, że nie ma na takie sprawy czasu, to on uderzał do niej i to subtelnie jak czołg pancerny.

Jeszcze w lecie, na Dniach Wody i Ognia w Nysie, patrząc, jak wieczorem Pati obściskuje się z Czarnym przy dźwiękach Byle jak, pogodziła się z tym, że w zasadzie z Pawłem i z nią to nie wypaliło.

Było... no, fajnie w sumie. A potem on sobie wymyślił wyjazd do jakiegoś kumpla do Niemiec, do pracy. Chciał, żeby pojechała z nim, na początku by się kisili u tego kumpla na kanapie, potem może coś wynajęli, pokój w jakimś mieszkaniu z naszymi i...

I jakoś wtedy przestała go uważnie słuchać. Bo tak strasznie poczuła, że nie chce wyjeżdżać. Chce zostać. Tu, w mieszkanku na Oławskiej, z rodzicami, którzy pracowali, spali albo namiętnie oglądali te seriale niby-dokumentalne. Bez celu, kurde, może nawet bez przyszłości, ale tu.

Teraz się zastanawiała, czy to nie ta dziadowatość, którą wmawiała Żanecie Sabina. Może była przeklęta i musiała się trzymać swojego terenu, jaki by nie był? Może. Wcześniej nie chciała o to pytać Sabiny, ta wariatka jeszcze by sobie pomyślała, że Żaneta chce poznać swoje korzenie, że się

zgadza na tę całą nienormatywność. Teraz Żana pomyślała, że tę rozmowę będzie musiała odbyć. Tak na wszelki wypadek, żeby wiedzieć, na czym stoi.

W każdym razie ona została w Brzegu, a Paweł wyjechał. Wysyłał jej zdjęcia, zagadywał na Fejsie i WhatsAppie. Najpierw często, potem rzadziej. Pracował. Zasuwał. Wychodził gdzieś ze znajomymi. Kumpel kumpla, co to z nim tam był, powiedział Pati, że Paweł znalazł sobie jakąś laskę.

Tak właściwie to niczego sobie nie obiecywali, więc dlaczego zabolalo? Pomyślała, że w zasadzie to i ona mogłaby sobie znaleźć jakiegoś chłopaka.

No i kiedy zaczęła studia, to wypatrzyła sobie Dawida.

Był śliczny, kurczę. Jakby się z jakiegoś fitprofilu na Instagramie urwał. Metr dziewięćdziesiąt, rurki, rozsznurowane nonszalancko trapery, rozpięta koszula i ta czupryna, ciemny blond, z zawadiackim lokiem nad czołem.

Na pewno używał żelu do włosów i to pewnie takiego z górnej półki w Rossmannie, za trzy dychy co najmniej.

Żaneta wpatrywała się w niego dwa miesiące i nawet jej przez myśl nie przeszło, że pod tą śliczną powierzchnią kryje się świr. Ledwo się emerytkostalkerki pozbyła, szykował jej się stalkerostudent.

Zarąbicie.

– A te dni ciszy, ciszy, które dzielą nas, podpowiadają mi złe obrazy! – ryknęło nagle z biura Sabiny.

Żaneta, wyrwana gwałtownie ze swoich rozmyślań, aż podskoczyła.

– Kurde, co to? – zapytała słabo.

– Sabina ma fazę na covery Andrzeja Piasecznego w wersji symfonicznej – wyjaśnił Piotr, który najwyraźniej właśnie miał przerwę w sesjach i spacerował po poczekalni. Zatopiona w myślach Żaneta nawet go nie zauważyła. – Powiedzieć jej, żeby ściszyła?

– Spoko, tylko mnie zaskoczyło.

– Wszystko w porządku? – zainteresował się Strzelecki.

Żaneta przez chwilę rozważała powiedzenie mu o obsesji Dawida, ale uznała, że Piotr ma już i tak za dużo na głowie.

– Przetrawiam stresy z wczoraj i te zaplanowane na jutro – odpowiedziała bardzo ogólnie, ale zasadniczo zgodnie z prawdą. – Wiesz, układam sobie wszystko w głowie.

Psycholog rozpromienił się niczym lawendowe słoneczko.

– To bardzo zdrowe i dojrzałe podejście – pochwalił. – Jeśli będziesz chciała o tym porozmawiać, zrobić może mapę... eeee... stresów, czy coś, to

pamiętaj, że zawsze możesz do mnie zajrzeć.

– Chyba że masz pacjenta – podsunęła.

– Chyba że mam klienta – zgodził się. – A skoro o tym mowa...

Grzecznie przywitał się ze stojącą już w drzwiach wejściowych kobietą i zaprosił ją do gabinetu. Żaneta została sama, jeśli nie liczyć stosu nudnych książek. Wyciągnęła telefon, żeby sobie pogrzebać w necie, ale na ekranie migąła kolejna wiadomość od kogoś z roku, że Dawid jej usilnie poszukuje, nagabując wszystkich jak szalony.

Żaneta zgrzytnęła zębami.

Nożek kurde, namolny świr w dupę przez konia kopany...

W klubie sportowym, do którego poszła wczoraj na ten cholerny fitness z taśmami, mieli też sztuki walki. Zdecydowanie i myśląc przyszłościowo, zamierzała się na nie zapisać. Jak tylko jej zakwasy po tych taśmach przejdą. A wtedy nie będą jej straszne upiory, zmary i stalkery.



Około czternastej Sabina wyłączyła Andrzeja Piasecznego, gdy po raz dziesiąty zapewniał ją i przy okazji Żanetę (Piotr z racji prowadzenia sesji drzwi miał solidnie wygłuszone), że tam im dobrze mogło być, i stanęła w drzwiach gabinetu w swoim gotyckim płaszczku i z pękatą skórzaną torbą w ręku.

– W teren jadę, w biurze już mnie dziś nie będzie – poinformowała Żanetę.

– Jutro zrób sobie wolne, z cusiem pewnie i tak noc zarwiemy. Piątek rano też w zasadzie możemy sobie odpuścić... – oceniła. – Od razu przyjmijmy, że do pracy przychodzisz w poniedziałek.

– Masz dzień dobroci dla zwierząt, czy co? – zapytała nieufnie Żaneta.

Sabina uśmiechnęła się triumfalnie i kołysząc się na palcach, wyciągnęła z kieszeni czerwoną karteczkę. Napis wykonany czarnym flamastrem był już prawie całkiem nieczytelny.

– „Biorę pod uwagę innych i ich dobrostan” – oznajmiła triumfalnie.

Żaneta wpatrywała się w nią przez chwilę.

– Dobra, luz, biorę to – orzekła w końcu. – A dziś mogę wcześniej skończyć?

– Nie.



Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Zawsze warto zapytać, co nie?

Sabina zmarszczyła brwi, jakby zastanawiając się nad czymś głęboko.

– Gdzieś mam kartkę z napisem, że pytania są mile widziane jako dążenie do wiedzy. Chyba w aucie mi wypadła... Ale to nie było dążenie do wiedzy, to było przegięcie. Pracujesz do szesnastej. Jak coś, to dzwoni na komórkę. Jutro się spotykamy w biurze w pół do piątej, zapisz sobie. Punkt siedemnasta trzydzieści, wyjazd do Nysy.

– Jak będziemy tam pół godziny wcześniej, to wystarczy? – upewniła się Żaneta.

– Nie mam najmniejszego pojęcia, nigdy nie nadzorowałam transportu cusiów. A właśnie, weź koniecznie coś do pisania, trzeba będzie robić notatki.

– Po co?

– Na przyszłość, sama słyszałaś, że ich kiedyś było więcej. Te, których Marciniakowie nie wykończyli, zwiły w dziewięćdziesiątym siódmym. Cholera wie, może jakiś na przykład koczuje w Oławie. Albo we Wrocławu.

Żanecie zaświeciły się oczy. Więcej cusiów do ratowania... To było... to było po prostu ekstra i idealnie wpisywało się w jej misję życiową, chociaż oczywiście tragiczne było, że stworzonka w ogóle ratowania wymagały.

– Zdjęcia trzeba zrobić – dodała entuzjastycznie. – I mam apkę, która działa jak dyktafon, to lepsze niż notatki.

– Też taką mam... – powiedziała Sabina. – Strasznie się nagle na tę całą akcję napaliłaś – zauważyła lekko podejrzliwie.

– Znalazłam sens życia – oznajmiła z godnością Żaneta. – Będę chronić środowisko naturalne i ratować takie stworzenia jak cuś. Będzie mega.

– Super! – ucieszyła się Sabina. – Sens życia to podstawa!

– To dzięki tobie – przyznała łaskawie Żaneta. Była w dobrym humorze, mogła przyznać strzydze zasługę. – Uświadomiłaś mi, jak ważna jest misja w życiu.

Piechota osłupiała dokumentnie.

– Ja? Piotruś od tego jest!

– Ty. Wychodzi ci ten mentoring. Udało ci się zasadniczo wyprowadzić mnie na ludzi... nieludzi. Mogłabyś pisać poradniki albo zostać mówcą motywacyjnym. „Jak przez powstrzymanie się od mordowania praktykantów wskazać im drogę ku przyszłości”.

Sabina wyraźnie się rozluźniła.

– Ufff, bo już się przestraszyłam, że mówiłaś poważnie. Do jutra, pa! – rzuciła tylko i wyszła z biura, zamykając za sobą drzwi.

– Bo mówiłam – poinformowała puste pomieszczenie Żaneta.

Odpowiedziała jej cisza i lekki chłód, towarzyszący pojawieniu się pani Zofii.

– Sabina wyszła, może pani zająć jej biuro, faktury są przygotowane – poinformowała ją praktykantka, sięgając po 50 twarzy Greya. Pani Zofia popłynęła w stronę gabinetu behapówki i przeniknęła przed drzwi.



– No chyba cię pogięło! – powiedziała Sabina, bardzo starając się nie nadepnąć żadnej mrówki.

Stała przy wejściu do hali produkcyjnej Kokoszki, obok uchylonego skrzydła bramy. Przez szparę do środka wiało zimnem, ale nikt się nie rzucał, żeby skrzydło przymknąć, bo wraz z zimnem do środka pracowicie, równym strumieniem płynęły mrówki. Pracownicy na hali oprócz odzieży roboczej poubierani byli w czapeczki, a w kilku przypadkach także w kamizelki, by chronić się przed zimnem. Nikt jednak nie wydawał się narzekać na marsz owadów – o wiele więcej nieprzychylnych spojrzeń zebrała po wejściu do budynku Piechota.

– Co „mnie pogięło” – oburzył się Łukasz. – To ta twoja Żaneta zrobiła! Miała je ekologicznie wyprowadzić na zewnątrz, a najpierw mnie nimi poszczuła, a teraz one tu migrują. Jest listopad, czy one w ogóle nie powinny w jakiś sen zimowy zapadać? W zimie przecież mrówek nie ma.

– Skąd mam wiedzieć, ja jestem od BHP – poirytowała się strzyga. – Ja to ci mogę powiedzieć, że mrówek nie powinno być na hali produkcyjnej.

– Ale u nas będą – oznajmił buntowniczo Marciniak.

Sabina wytrzeszczyła na niego oczy, powoli podniosła do góry dłonie i bardzo stanowczo popukała się w czoło.

– Powtórzę: chyba cię pogięło.

– Zatrudnię je, kurde, w utrzymaniu ruchu – powiedział Łukasz. – Mają małe nóżki, małe łapki, czy co tam mają, mogą naprawiać obwody.

– Nie zatrudnisz – warknęła Sabina. – Nie będziesz owadami pracował, jak

ja mam w ogóle do czegoś takiego oceny ryzyka i instrukcje dostosować!

– A jak na Skarbimierzu zatrudnili tego Jose Eduardo, to im dostosowałeś – wytknął kierownik.

– Juan Eduardo to jest wyemigrowana czupakabra, jakbyś go zobaczył, tobyś odkrył, że różni się zasadniczo od mrówki.

– Bardzo bym go chciał zobaczyć – rozmarzył się Łukasz. – Podobno gościu jest magik od sterowników PLC, jak ja bym go im podkupił... Starego próbuję przekonać, ale ten się wzbrania, bo ten Eduardo to tylko na nockach może robić, a to z dodatków za dużo wyjdzie...

– Jak sobie podkupicie Juana Eduardo, to wam do niego dokumenty dostosuję – zgodziła się Piechota. – Ale prędzej cię zjem, niż będę coś pod mrówki pisać. – Na chwilę ściągnęła wargi i wyszczerzyła zęby.

– A dopiero co tłułem tej waszej małej do głowy, że to pijar i nikogo nie zjadasz – powiedział z łagodnym wyrzutem Marciniak. – A teraz mi zęby pokazujesz.

– Poskarżysz się cioci? – zakpiła Sabina

– Żartujesz sobie? Wy wiecie, że ciotka jest, ten, no...

– Wiemy – uspokoiła go Sabina. – Ale luz, nawet się oswoiłam z tą myślą. Poza tym teraz będziemy współpracować i ratować niemal doszczętnie wybity gatunek. Chyba nie muszę ci mówić, kto ten gatunek wybił, co? Na starość ją wzięło na jakieś rekompensaty moralne czy co, ale może przy okazji tego ratowania i ekologicznej współpracy Żanka przynajmniej dopadnie jakichś grimuarów albo podręczników, albo coś...

– Książki chcesz? Było tak od razu mówić – prychnął lekceważąco Łukasz.

Sabina odwróciła się gwałtownie do niego i zastrzygła uszami.

– Są książki? Tak serio, serio? I wiesz gdzie?

– No ba! U ojca na strychu. Miałem ten chłam spalić, żeby się moje córki przypadkiem nie dorwały, ale mogę ci go oddać.

– Ta! – rozpromieniła się Piechota. – Źródła!

– Tylko to jest upiorna lektura, uprzedzam – dodał Łukasz. – Ja bym nie chciał czytać, jak moim ziomkom takie rzeczy robią.

Strzyga machnęła ręką.

– Spoko, luz, ja jestem z BHP. Nie takie rzeczy widziałam na żywo albo na zdjęciach.

– Ale... – kierownik zawiesił głos – ja ci dam te książki, a ty mi odpuszczisz

mrówki.

Sabina przygryzła wargę, zacisnęła dłonie w pięści i spojrzała na niego tak, że pracownicy na hali zaczęli bardzo powoli odkładać narzędzia pracy i opracowywać najszybszą drogę ucieczki.

– Zgoda – sapnęła wreszcie. – Ale je sobie będziecie jako zwierzątka firmowe hodować, żadnego angażowania w proces pracy!

– Ta jest, pani inspektor – zapewnił Łukasz.



Po tym jak przyszedł esemes od Żanety z informacją o terminie transportu złotego cusia, Ludmiła nie spodziewała się, że ktoś z PS Business Consulting odezwie się do niej wcześniej niż we czwartek rano. A już na pewno nie spodziewała się, że będzie to Sabina.

– Dzień dobry, to ja – przywitała się radośnie Piechota.

– Wiem, mam cię zapisaną w telefonie. – Strzyga czy nie, Sabina była istotną partnerką biznesową Siedliska.

– No faktycznie, ale dobre maniery i takie tam... Nieważne zresztą – zbyła temat behapówka. – Przejdźmy do rzeczy. Sytuacja wygląda tak: ja kocham Piotrusia, pani kocha Marysię, Marysia, rzecz jasna, kocha Piotrusia. W związku z tym dobrostan Piotra jest ważny dla nas obu: dla mnie ze względu na niego samego, dla pani ze względu na Marię.

Ludmiła już otwierała usta, żeby coś powiedzieć, ale problem tkwił w tym, że nie wiedziała co. Smarkata Piechotówna miała niewątpliwie rację. Piotr był całym światem Marysi. Ostatnimi czasy Ludka była tego wręcz boleśnie świadoma, bo Marysia była całym światem Ludki. Marciniakowa uznała więc, że lepiej milczeć, żeby jej się przypadkiem nie wyrwało za wiele.

– Nic pani nie mówi, znaczy, mam rację – orzekła z satysfakcją Sabina. – Więc co prawda nieoficjalnie już mamy coś w rodzaju zawieszenia broni, traktat o nieagresji, czy jak to tam się mówi, ale proponuję nazwać rzeczy po imieniu. W naszym obopólnym interesie jest, żeby pani Marysia i Piotr się pogodzili, no, oni się w zasadzie nie pokłócili... żeby sobie problemy przepracowali. Dodatkowo ja pani nie chcę zjeść, rozszarpać ani rozczłonkować, a pani nie chce mnie zabić, bo po pierwsze, Ewunia, a po drugie, nie chciałaby pani tego robić mojej babci.

Na wspomnienie Reginy Ludkę coś zadrapało w gardle.

– Tak. Twoja babcia była... – zabrakło jej słowa. – Była dla mnie ważna – powiedziała wreszcie.

– Możliwe, że pani była też ważna dla niej – odpowiedziała rzeczowo Sabina. – Ale tego to się dowiemy, tylko jeśli wstanie, a mam szczerą nadzieję, że te łańcuchy i spawy dobrze trzymają, bo w przyszłym roku jest rocznica i matka z ojcem chcą przyjechać i urządzić koncert wspomnieniowy.

– Och! – Ludmiłę zatchnęło. Doskonale znała poglądy Reginy na zięcia, zwykle określanego przez nią mianem „głupadura”. „Karina i ten głupadur”, „głupadur od Kariny”, „Karinie chyba na uszi ta miłość padła”, „nawet dziecko go słuchać nie mozie”...

– Ojciec babci nigdy nie brzmiał – westchnęła Sabina. – Mnie też, ale ja mam słuchawki ochronne z całkowitym wygłuszeniem, więc jakoś to wytrzymam. Jeśli chodzi o babcię, to pozostaje nam wierzyć w spawy.

– Łukaszek je robił – wyrwało się Ludmile. – On zdolny jest.

– O, to git, pewnie wytrzymają – ucieszyła się Piechota. – Jak sobie już wszystko wyjaśniłyśmy, to do zobaczenia jutro!

Rozłączyła się.

## 15. Czwartek

Ciężarówka była wielka, a na pustym parkingu przy plaży, przeznaczonym dla aut osobowych, robiła wrażenie wręcz monstrualnej. Kabinę polakierowano na biało i białymi literami na granatowej plandecie wypisano litery MZK, ozdabiając je fantazyjnymi zawijasami.

– Miejski Zakład Komunikacji? – zapytała niepewnie Żaneta, wychylając się z tylnego siedzenia.

– Inicjały Mieszka – wyjaśniła Piechota.

Do Nysy przyjechali wszyscy troje jednym autem, beemką Sabiny, którą oczywiście prowadziła właścicielka. Piotr, sprawiający wrażenie, że już całkiem doszedł do siebie, zajmował siedzenie pasażera i dla bezpieczeństwa owijał się szczelnie eleganckim płaszczkiem w odcieniu karmelowym, jakby warstwa wełny mogła go ocalić przed skutkami piractwa drogowego współniczki.

Siedząca z tyłu Żaneta czas podróży poświęciła na wykasowywanie z telefonu Fejsa, Insta, Messengera i WhatsAppa. Cholerny Dawid znalazł ją wszędzie, a jeśli dostawał bana, to zaczynał czepiać się jej znajomych o kontakt do niej albo o wstawiennictwo. Pati nawet dopadł i przyjaciółka natychmiast zaoferowała, że ustali, gdzie knyp mieszka, weźmie Czarnego i pojedą spuścić jełopowi takiego wpierda, że chłoptaś będzie się bał do kogokolwiek odezwać, a co dopiero jakieś prześladowanie uprawiać. Żaneta była wzruszona troską i poważnie rozważyła skorzystanie z propozycji, najlepiej jeszcze w takiej opcji, żeby do Wrocka pojechała z nimi Sabina, taka trochę przegłodzona.

Kiedy w końcu dojechali nad jezioro, ekscytacja wyparła wszelakie myśli o natręcie. Przewozili złotego cusia do Brzegu. To było... to było COŚ.

Mimo że napisała Marciniakowej, że akcja zaczyna się o osiemnastej, passat Strzeleckiej zajechał na parking zaraz po nich. Oba auta stanęły obok ciężarówki. Na szczęście poza nimi o tej porze roku i o tej godzinie nikt się najwyraźniej nad jezioro od tej strony przynajmniej nie wybierał i nie widać było innych aut czy ludzi.

Kiedy wysiedli z samochodów, drzwi od kabiny ciężarówki otworzyły się

i jak na sprężynce wyskoczył z nich kierowca.

Mieszko miał może z metr pięćdziesiąt wzrostu i z wyglądu przypominał internetowy mem o ćwiczących na siłowni, którzy zapominali o wyrabianiu mięśni nóg. Ramiona miał ogromne, jakby odcepione od kogoś innego i dla żartu przymocowane do wąskiego korpusiku, a z twarzy był skrzyżowaniem Plastusia z krasnałem ogrodowym. Do tego mimo panującego chłodu nie miał na sobie kurtki, tylko bojówki i sweter w norweskie wzory. Żaneta bardzo, bardzo starała się nie gapić na niego zbyt nachalnie, ale ciężko z tym było, bo osobowości i energii kierowca miał więcej niż centymetrów w monstualnym bicepsie, jego sweter dawał po oczach klimatem fiordów, a gość był dosłownie wszędzie, chodząc, zaglądając, poprawiając. Przywitał się z nimi prawie w biegu i zaraz po opuszczeniu kabiny zajął się przygotowywaniem auta, montowaniem rampy, podnoszeniem dachu, podciąganiem plandeki. Był dosłownie wszędzie, jak przerośnięty, trochę pękaty giez. I cały czas cmokał z przejęciem.

– Jak podczas ładowania cusia wejdziesz w strefę załadunku, to ci odgryzę łeb – zagroziła zniecierpliwiona Sabina, gdy Mieszko po raz kolejny przelazł, prawie na czworakach, pod rampą.

– Bardziej bym się bał, jakbyś faktycznie kiedyś komuś łeb odgryzła – odparł pogodnie kierowca. – Bo tak to sorry, mało lękliwie się czuję.

– Jak ci parę ton jaszczurki z jeziora na łeb spadnie, bo stoisz, gdzie nie trzeba, to się dopiero poczujesz.

– Na ten łeb, co to mi go odgryziesz i już go nie będę miał? – upewnił się. – Płaczesz się w zeznaniach, koleżanko, oj, płaczesz...

Żaneta zaczęła się obawiać, że operacja transportowa nie dojdzie do skutku, bo Sabina faktycznie odgryzie kierowcy głowę. Nerwowo rzuciła okiem w stronę Marciniakowej, ale ta z kolei miała taką minę, jakby sama miała ochotę zrealizować groźby strzygi. Strzelecka w ogóle zignorowała ich słowne przepychanki, stanęła na chodniku prowadzącym na plażę i zapatrzyła się w stronę jeziora.

– Liczysz do dziesięciu? – zapytał strzygi z żywym, zapewne zawodowym zainteresowaniem, Piotr.

– Nie – westchnęła boleśnie Sabina. – Powtarzam sobie, że nie mogę mu faktycznie niczego odgryźć, bo kto nam cusia do Brzegu przetransportuje? Plus Kasia się wkurzy, jak jej tych nadprogramowych chrupek nie przywieziemy, już obsługę magazynu uprzedziła i wszystko zorganizowała,

i w ogóle poszła nam na rękę.

– I kurs mi zleciła na przyszły tydzień – pochwalił się rozpromieniony Mieszko, wychylając się zniecka z za paki. – Też „specjalny”! – Zrobił cudzysłów palcami i dodatkowo mrugnął jeszcze do nich porozumiewawczo, najpierw jednym okiem, a po pięciu sekundach drugim.

– No i nie byłoby wskazane, żebyś robiła komuś krzywdę w ogóle, a zwłaszcza w polu widzenia pani Ludmiły – podsunął z subtelnym naciskiem Strzelecki.

– Ja się odwrócę – wtrąciła się milcząca do tej pory Marciniakowa. – On mi na nerwy działa.

– Serio? – ucieszył się Mieszko nie wiadomo z czego. – To ja się normalnie będę miał czym chwalić, wkurzyć babę od Martinusów i przeżyć...

Ludmiła wbiła w niego spojrzenie drapieżnego sokoła, który właśnie wypatrzył na polu króliczka.

– Coś ty powiedział?

– No weźcie, moi tu z dziada pradziada siedzą, Kohl się praprapradziadek nazywał, zanim odkrył w przodkach Piastów i się zrobił na Kapustę.

– Nazywasz się Mieszko Kapusta? – Żaneta osłupiała.

– No! Nie żebyś miała tu jakieś uwagi do zgłaszania, Żaneto Wawrzyniak. A tak, obczaiłem cię na Fejsie. – Uśmiechnął się szeroko, zadowolony z własnej przedsiębiorczości. – Ale mnie nie przebijesz, bo na drugie mam Zygryd, po praprapradziadku – oznajmił i rozpromienił się jeszcze bardziej. – Zarąbiste dane osobowe, w pięciu przypadkach na dziesięć kontrole mnie puszczają całkiem bez sprawdzania ładunku, tak się śmieją. Raz mnie po jednej inspekcji druga zhaltowała, bo od tamtych pierwszych o mnie słyszeli i im nie wierzyli. W każdym razie jakiś pani praprzodek dopadł brata mojego prapradziadka, ale generalnie to luzik, nie chowamy urazy, bo dzięki temu prapradziadek odziedziczył gospodarstwo. A on młodszy był, to już go normalnie do Ameryki chcieli wysyłać, żeby kwasów nie było. A tak to został tutaj, ohajtał się, dzieci miał, te dzieci też miały dzieci i tadam, oto jestem ja, Mieszko Zygryd Kapusta, usługi transportowe! – Rozłożył teatralnie ramiona, oczekując oklasków.

Ludmiła wyglądała, jakby żałowała, że jej przodek nie wykończył obu prapra-Kapustów, Sabina zignorowała całą przemowę i zajęła się inspekcją rampy, Marysia krok po kroczu oddalała się z parkingu i tylko Piotr sprawiał



wrażenie umiarkowanie zainteresowanego.

– Ej, przestań macać mi rampę – zirytował się Mieszko. – Wszystko z nią w porządku, znam się na robocie. A tacho mi klika, także jakby dało się ładunek ściągać...

– Marysia już po niego idzie – burknęła Ludmiła.

– Nie ten ładunek, co ma wejść do środka – Mieszko wskoczył na rampę i teatralnym gestem zaprezentował im wnętrze ciężarówki – tylko ten, co trzeba z niej ściągnąć.

Na pace znajdowało się kilkadziesiąt ogromnych białych worków rozmiarów tak mniej więcej kontenera na śmieci. Były ciasno upchnięte, jeden na drugim, i wypełniały dosłownie całe auto.

– Co to? – jęknęła Marciniakowa.

– Big bagi z chrupkami – wyjaśniła Sabina. – Każdy ma tonę udźwigu, ale chrupki to lekkie są, pewnie nawet Żanka by dała radę jak nie podnieść, to pociągnąć. Mieszko od środka wyłożył ścianki gąbką, ale na wypadek gdyby nie wystarczyło, to jak już załadujemy cusia, Mieszko wejdzie na górę i zasypie go chrupkami. Te, co zostaną nieużywane, zabierze potem z powrotem do Wrocławia, Kasia wam ich nie zafakturuje.

– Co?

– Oczywiście to wszystko jest bardzo nieekologiczne i jak już go wpuścimy do Odry, to trzeba będzie te chrupki z transportu wybierać. Niby są biodegradowalne, ale jednak to jest kilkadziesiąt tysięcy litrów wypełniacza do paczek – ciągnęła niezrażona Sabina.

– I trzeba je rozładować. – Mieszko zatarł energicznie wielkie dłonie. – Dawaj, laska, jedziem z tym styropianem.

Strzyga, bo to do niej się zwracał, bez wahania wskoczyła na pakę.

– Eeee... a do tego nie trzeba jakiegoś wózka widłowego? – zapytała niepewnie Żaneta. Z tego co pamiętała z awantury, którą kiedyś Sabina zrobiła u Kokoszki na zakładzie, wózek widłowy był przy rozładowywaniu ciężarówek absolutnie niezbędny.

Sabina uśmiechnęła się do niej szeroko.

– Jak ja lubię, jak ktoś sobie internalizuje BHP – odezwała się ze wzruszeniem w głosie. – Ale nie, w tym wypadku nie trzeba. Ja strzyga, on gnom, ładunek leciusieńki. Wy się tylko bądźcie uprzejmi wynieść ze strefy rozładunku, możecie na plażę. Za piętnaście minut do was dojdę.

Piotr pierwszy posłuchał. Niepewna i oglądająca się Żaneta poszła za nim,

pochód zamykała nieufnie nastawiona do sytuacji i też łypiąca złym okiem w stronę ciężarówki Marciniakowa. Ledwie odeszli z parkingu, Sabina zaczęła ściągnąć z paki big bagi i podawać je do Mieszka, który niczym skrzyżowanie skrzata ogrodowego z króliczkiem na baterie ustawiał je w mini piramidki pomiędzy autami.

– Jak byłam mała, to oglądałam taki film o tym, no, Asteriksie... – powiedziała w oszołomieniu Żaneta. – I oni tam tak budowali piramidy. Rzucając do siebie kamieniami. I żonglując.

– Spokojnie, Sabina by nigdy niczym w tak nieodpowiedzialny sposób nie rzucała – uspokoił ją natychmiast Piotr. – To jest prawdziwe życie, nie film, i chociaż z racji przynależności gatunkowej żadnemu z nich przy takim rozładunku nie stanie się krzywda, to zapewniam cię, że Sabinka na pewno nie zapomina o regułach BHP.

– Nie do końca o to mi chodziło, ale luz. – Praktykantka machnęła ręką.

Plaża spowita była magiczną mgłą, osłaniającą ich przed wzorkiem przypadkowych przechodniów. Tym razem Marysia Strzelecka musiała podejść do tematu z większą rozwagą, bo pomiędzy parkingiem a jeziorem rozciągała się wąska, niczym niezakryta ścieżka, otoczona z obu stron ścianami z białej pary.

– Klimacik trochę upiorny. – Żaneta zatrzymała się przy wejściu na plażę i ciaśniej owinęła się szalikiem wokół szyi.

– Nie bój żaby! – Marciniakowa klepnęła ją zniecacka w plecy. Dziewczyna aż podskoczyła. – Najbardziej niebezpieczne stworzenie w okolicy to Marysia. Nie da cię nikomu skrzywdzić.

– Myślałam, że najbardziej niebezpieczna to będzie Sabina.

– Drugie miejsce pod kątem ofensywy, trzecie za defensywę – oceniła fachowo łowczyni. – Te gnomie kurduple mają żywotność karalucha, byś mu tę ciężarówkę spuściła na łeb i pewnie by przeżył.

– Ale pani nie robi już takich rzeczy – przypomniał z naciskiem Piotr.

– Nigdy nie robiłam takich rzeczy – prychnęła Marciniakowa. – Późno zaczęłam i szybko ktoś mnie ustawił do pionu. A poza tym, biorąc pod uwagę... wszystkie okoliczności, to może byś mi mówił po imieniu?

– Aaa... mógłbym. – Psycholog uśmiechnął się, wyraźnie zaskoczony, ale i zadowolony. – Biorąc pod uwagę okoliczności.

Nad brzegiem jeziora, tuż przy tafli wody czekała już na nich Strzelecka. Wpatrywała się w jezioro, ale gdy podeszli, odwróciła się zamasyście, tak że

zabrzącały bransoletki, zawirowały końcówki jej szala i skraj spódnicy.

– Jesteście! Trzeba go najpierw wywabić. No to wiecie, co robić! – zarządziła Marysia. – Podsiadło na trzy! Raz!

– Że co? Żartujecie sobie? – Żaneta osłupiała.

– Ja też chcę, ja też chcę, ja też chcę! – Od strony parkingu truchtem przybiegł, lekko kiwając się na boki, Mieszko Kapusta. – Nigdy nie brałem udziału w rytuale. Żadnym – dodał z podekscytowaniem.

Za nim, krokiem o wiele bardziej statecznym, przyszła Piechota, z zainteresowaniem obserwując tunel we mgle.

– Zarąbiste – oceniła.

– Do pieśni – poleciała niecierpliwie Marysia. – Dwa! Trzy!

– Falniemafalniemafal – wymruczeli posłusznie i nawet melodyjnie Sabina i Piotr, kiwając się lekko, jak te, no hatifnaty z *Muminków*. A hatifnaty, zdaniem Żanety, były gorsze od Buki.

Zarobiła kuksańca w bok od Ludmiły. Brzeska xena sześćdziesiąt plus też się kiwała i mamrotała coś pod nosem. Brzmiało jak „falalalalalal”.

Cała czwórka, Marciniak, Piechota, Strzelecki i Kapusta, kołysali się synchronicznie wokół dyrygującej wykonaniem przeboju i rytmem fal jeziora Marii. Żaneta rozejrzała się nerwowo wokoło. Na szczęście mgła była szczelna i osłaniała ich naprawdę porządnie. Poza tym, nawet gdyby jakimś cudem ktoś się przez nią przebił, zawędrował na plażę i dostrzegł całą grupkę, to raczej wzięłby ją za jakiś świroćpunów balujących nad jeziorem, a nie czwórkę nienormalnych, w tym jedną coraz mniej zdrową na umyśle studentkę ochrony środowiska, szamankę, przedstawicielkę brzeskiej odnogi Van Helsingów, przyzywających złotego cusia.

– Chwilami nawet myślę, że strzeżenie, ochrona środowiska i cała ta nienormalność ma trochę sensu i może bym się w tym odnalazła, a wy odpalacie takie coś! – syknęła nerwowo do stojącej najbliżej Marciniakowej.

– Czy chociaż nie można było zarzucić czegoś... celtyckiego? Mistycznego? Z odrobiną powagi dla urzędu?

– Do rytuału nie bardzo – wtrąciła Marysia, nie przerywając kołysania. – Jakoś tych wyspiarskich rytmów nie czuję. Ale jak będziemy go wieźć do Brzegu, to możemy sobie puścić Dropkick Murphys, tę o Bostonie i drewnianej nodze. To taka przyjemna żwawa piosenka, w sam raz w podróż. Ale to dopiero jak cuś będzie w aucie, na drogę na parking będzie potrzeba czegoś innego.

– Kiedyś myślałam, że szamanizm to jest mistycyzm, wiedza przekazywana z pokolenia na pokolenie, godność jakaś, powaga – westchnęła boleśnie Żaneta.

– Serio? – zdziwiła się Sabina.

– Oczywiście, że nie! Tak do poniedziałku myślałam, że to takie wytłumaczenie starych Indian, którzy chcą przyćpać pod koniec życia!

– Jak skończymy z cusiem, to przepracuj sobie z Piotrusiem swój problem adaptacyjny – poradziła Piechota, nie przerywając melodyjnego kiwania się.

– O, jest.

Faktycznie, na jeziorze najpierw zarysował się trójkątny ślad, skierowany niczym strzałka w ich stronę, a zaraz potem z impetem, zarzucając wieńczącym długiąną szyję łbem, pojawił się złoty cuś.

– Zajebiste – jęknął z zachwytem Mieszko. – Jakby miał grzywę, to tak by zarzucał jak lew na National Geographic, ja normalnie widziałem...

– Zamknij się – warknęła Marciniakowa.

Posłuchał, ale nie wyglądał na specjalnie przestraszonego. Kiedy Ludmiła próbowała dodatkowo zgromić go wzrokiem, przesłał jej całuska i pomachał.

– Skupiamy się – zarządziła surowo Marysia. – Jak wyjdzie na plażę, zmieniamy muzykę, formujemy kolumnę i idziemy do auta. Tylko tanecznym krokiem. Ludka?

Marciniakowa zamasyście wyciągnęła z kieszeni dłoń z telefonem.

– Gotowa – zameldowała.

– Kawaler przodem, ma taką miłą, optymistyczną aurę, cusiowi się spodoba – orzekła Strzelecka, mierząc Mieszka od stóp do głów uważnym spojrzeniem. – Piotruś za nim, potem Ludka, Sabinka i Żanetka. Ja za cusiem. Żanetka!

– Tak? – Praktykantka się przestraszyła.

– Całą sobą wysyłaj pozytywne wibracje – zaleciła Marysia.

– Jakie wibracje?

– Borowe – odpowiedziała Sabina. – Myśl pozytywnie i staraj się tym emanować. Wiesz, przekazuj mu, że Brzeg jest super, jazda ciężarówką jest mega...

– Ciężarówka też jest mega – podsunął zaraz Mieszko, poruszając komicznie brwiami.

– Ciężarówka też jest mega – zgodziła się Sabina. – My jesteśmy fajni i nas się nie zjada, wiesz, takie tematy.

– To jest bardzo duża odpowiedzialność – powiedziała ostrożnie Żaneta. – Czy jesteście pewni, że chcemy to zadanie powierzyć mnie?

– Dajesz, dziewczyno – zapewnił ją Kapusta. – Rządź i wymiataj!

– Po pierwsze, nie za bardzo mamy kogoś innego, kto mógłby to zrobić, a po drugie, wszystko robimy po raz pierwszy, metodą prób i błędów – uświadomiła jej Sabina. – Spójrz na to w ten sposób: jeśli znajdziemy następne cusie, to będziemy już wiedzieli, jak się zabrać do tematu transportu.

– Oj, nie umiesz w motywację – ucieszył się nie wiadomo z czego Mieszko. Żaneta podejrzewała, że Kapusta jest jednym z tych okropnych ludzi, którzy mają dobry humor bez żadnego rozsądnego powodu, we wszystkim widzą jasne strony i autentycznie i bez zastrzeżeń, i drobnego druczku wierzą, że życie jest piękne. W całej swojej radości kierowca nie był złośliwy tylko niesamowicie irytujący.

– Sabina stawia na racjonalizację i konkrety – skorygował Strzelecki. – Chociaż może w aktualnej sytuacji i patrząc na wyraz twarzy Żanki... Żaneto – rzekł nagle uroczyście. – Rządź i wymiataj. Potrafisz.

Marciniakowa tylko skinęła głową.

– Przegłosowali cię, laska – ucieszył się Mieszko. – To co? Do mistycznego rytuału załadunku przystąp?

– Tak jest! – Marysia zaklaskała w dłonie, potrząsając jasnymi włosami. – Ludko, poproszę o muzykę.

Marciniakowa uruchomiła odtwarzanie na telefonie.

– Wy sobie chyba żartujecie – jęknęła Żaneta, rozpoznając pierwsze dźwięki *Thunder* Imagine Dragons. – To ma być podkład mistyczny?

– Marszowo całkiem, całkiem – oceniła Sabina.

– Mnie pasi – oznajmił Mieszko, wykonując jakieś dziwne ruchy, być może mające być tańcem, a być może wizualizacją drapania się po plecach bez użycia rąk.

– Ma dobry rytm – wyjaśniła Marysia. – Wykonawca nie gra roli, słowa w zasadzie też. Ważny jest rytm. Wczoraj witałam słońce przy Varius Manx, wiesz, tym o oczach jak sweter, ale oni się do prowadzenia archaicznych bytów legendarnych do ciężarówek nie nadają. Nie ta melodyjka.

– Idziemy – zarządziła Marciniakowa. – Najpierw go załadujemy i przewieźmy, potem możemy robić analizę operacji.

– Operacja „Złoty cuś” – ucieszyła się Marysia. – Nasza pierwsza

wspólna! Patrzcie, jacy jesteśmy zgrani.

– Normalnie jak jedna wielka rodzinka Adamsów... – mruknęła pod nosem strzyga.

– Sabino! – warknął Piotr. – Zatkaj sobie, proszę, twarz pierniczkiem i maszeruj do ciężarówki.

Piechota łypnęła na niego spod kpiąco uniesionej brwi, ale posłusznie wyciągnęła z kieszeni puchówki paczkę pierniczków i zaczęła jeść. Pozwoliła Mieszkowi ukraść jednego, ale gdy sięgał po drugi, dała mu po łapach.

– Skupcie się – syknęła do nich Marciniakowa. – Potem się będziecie przekomarzać, teraz przewozimy do Brzegu złotego cusia!

– To ja już mogę startować? – zapalił się Mieszko. Uzyskawszy od Strzeleckiej przyzwalające skiniecie głowy, wykonał akrobatyczny skok ze szpagatem, wymachując ramionami niczym łabędź w locie. Wylądował, rozbryzgując wokół siebie piasek, i trochę niezręcznie przeszedł do piruetu.

– My też tak musimy? – Żaneta osłupiała, zdjęta całkiem nowym rodzajem grozy.

– Dziecko, poważna bądź – mruknęła Marciniakowa i ruszyła za Kapustą. Jej taniec ograniczał się do lekkiego poruszania ramionami do rytmu. Piotr bez wahania poszedł w jej ślady, chociaż był bardziej ekspresyjny – ugiął ramiona w łokciach, przyciągnął do boków i wykonywał coś na podobieństwo skłonów kurczaka.

Sabina, zajęta jedzeniem pierniczków, w ogóle nie ruszała rękoma, chyba tylko żeby przetransportować jedzenie do ust, tupiała za to całkiem zgodnie z rytmem, przypominając Żanecie widziane w telewizji indiańskie tańce wokół ogniska.

A skoro Sabina ruszyła w stronę ciężarówki, to oznaczało, że teraz była jej, Żanety, kolej. A tuż za nią...

Odwróciła się i spojrzała prosto na wielkie, szarawe cielsko, skrzące się lekko wewnętrznym blaskiem. Zadarła głowę, żeby spojrzeć na chuderławą szyjkę, podrygującą do rytmu, i na małą, okrągłą główkę... i całkiem nieprzerazające złociste ślepia, pełne radosnego zaciekawienia i nieśmiałej nadziei.

Gdyby złoty cuś nie ważył kilku ton, to Żanka by go porwała w ramiona, utuliła, nadała mu jakieś bardziej sensowne imię i chroniła przed całym obcym, samotnym światem.

*Chcę ci pomóc, poczuła w całej sobie. Chcę, żebyś nie był już nigdy sam.*

To było takie proste, jak otulenie się kocykiem. Nagle mgła zaczęła pachnieć radością, woda smutkiem pożegnania i najlepszymi życzeniami na drogę. Drzewa szumiały do rytmu piosenki, Marysia była jak promień światła i dobroci, a za plecami Żanety ciągnęła się ścieżka bezpieczeństwa i radości, którą podążyli już Mieszko, Marciniakowa, Piotr i Sabina.

Dziewczyna uniosła lekko ręce i dość nieskładnie, ale rytmicznie, zaczęła tańczyć. Może do *Tańca z gwiazdami* nigdy by się nie zakwalifikowała, może w *Mam talent* by ją wyśmiali, ale to był borowy taniec z cusiem na plaży i w tym miała mistrza.

Odwróciła się w stronę parkingu i podskakując do rytmu, zaczęła zmierzać w stronę ciężarówki. Nie musiała się odwracać, żeby wiedzieć, że coś idzie za nią, a Marysia zamyka pochód. Za sobą zostawili jezioro, plażę, drzewa, a one wszystkie nuciły z nimi do rytmu, wyprawiając swojego odchowańca w drogę.

Żaneta pomyślała, że jeśli jeszcze gdzieś są cusie, jeśli jeszcze jakieś się uchowały, to ona je będzie musiała znaleźć. Uśmiechnęła się. Fajnie było mieć cel, a właściwie CEL.

Pozostała czwórka czekała już na parkingu przy rampie, kiwając się rytmicznie i tworząc mały szpaler – po jednej stronie Mieszko i Sabina, po drugiej Marciniakowa i Piotr. Dziewczyna zajęła miejsce obok strzygi i nie przestając tańczyć, obserwowała, jak coś powolutku, niepewnie, ale z ogromną ciekawością wchodzi po rampie na pakę. Musiał przełożyć głowę dołem, bo nie mieścił się w drzwiach, ale zaraz wystawił ją już ze środka przez odsuniętą plandekę.

– No to już! – Mieszko poderwał się, raz-dwa demontując rampę i zamykając drzwi. – Zaczynamy upychanie chipsów!

– Poczekaj, jemu trzeba zostawić muzykę! – wykrzyknęła Marysia. – Mamy magnetofon – wyciągnęła z tylnego siedzenia passata nieduży i dość stary odtwarzacz CD – taki, żeby go nie było szkoda – wyjaśniła. – Nagraliśmy mu składankę na podróż.

– Na wierzch trzeba będzie wrzucić – zdecydowała Sabina. – Inaczej chrupki wygłuszą. Zagadujcie go na razie, czy tam zaśpiewujcie. My bierzemy wypełniacz.

Schowała puste opakowanie po pierniczkach do kieszeni i podeszła do piramidy z big bagów.

– Gotowy?! – krzyknęła do Mieszka.

Kapusta, balansujący na skraju listwy dachowej, zsalutował. Złoty cuś łytał na gnoma z zainteresowaniem, najwyraźniej nie mogąc się zdecydować, czy woli patrzeć na Marysię i kiwać się do Imagine Dragons czy obserwować tego dziwnego, skaczącego wokół człowieczka.

Sabina rozkładając szeroko ramiona, złapała pierwszy big bag, przyniosła go pod bok ciężarówki i podrzuciła pionowo w górę. Mieszko zręcznie go złapał, rozsznurował wieńczący worek kołnierz i zaczął wsypywać chrupki do ciężarówki.

– Kurtka ci się rozdarła na plecach – zauważył Piotr.

– Jeszcze przy rozładunku. Co poradzisz, normalnymi rękami big бага nie obejmiesz. – Wzruszyła ramionami.

– Ja obejmuję! – pochwalił się z dachu ciężarówki Mieszko.

– Jak widać na załączonym obrazku – podsumowała Sabina i oddaliła się po kolejny worek.

– Pft – zdziwił się cuś, najwyraźniej zauważywszy, że coś na niego spada.

Piotr szturchnął Żanetę.

– Myśl do niego, że to jest okej. Miękkie, fajne, wygodne, będzie mu się dobrze jechało! Jak śnieg, tylko nie jest zimne.

Dziewczyna oderwała się od obserwowania, jak Sabina i Mieszko po raz kolejny odtwarzają scenę z *Asteriksa* z budowaniem piramid, i skupiła się na stworku.

Cuś był wszystkim zainteresowany i trochę zagubiony od nadmiaru nowych wrażeń. Ale Żaneta ze wszystkich sił posyłała w jego stronę mentalne zapewnienia, że wszystko jest dobrze i chrupki są fajne, i będzie mu dzięki nim miękko i wygodnie.

Stwór na chwilę zanurkował łbem do wnętrza ciężarówki, a kiedy ponownie wystawił głowę, z rozzaleniem wypluł w stronę Żanety kilka chrupek.

– To teraz myśl do niego, że one nie są do jedzenia – podsunął Piotr.

– No przecież wiem – syknęła Żaneta.

Obsypywanie cusia poszło zaskakująco sprawnie, głównie dzięki zręczności i sile strzygi i gnoma. Kiedy skończyli, na parkingu wciąż stał stos pełnym big bagów z chrupkami, po które zgodnie z ustaleniami Kapusta miał wrócić po zakończeniu głównej części operacji transportowej. Część pustych worków Mieszko wykorzystał, by przykryć wypełniacze, żeby się przesadnie z ciężarówki nie wysypywały podczas jazdy. Do jednego schował włączony



odtworzący i pieczołowicie umieścił go obok cusia. Lekko przytłumione takty Małomiasteczkowego docierały do stojącej na parkingu grupki.

– I tak będziesz trzydziestką jechał – uświadomiła mu Sabina. – Inaczej nim będzie rzucało. Pal licha chrupki, zwierzątko się zestresuje.

– Jak będę jechał trzydziestką, to się pierwszy lepszy patrol mną zainteresuje – zaprotestował Mieszko. – Że podejrzenie wolno się wlekę. A jak mi jeszcze będzie jego łeb z paki wystawał, to to jest ładunek niewymiarowy, przyuwają i przyczepią się jak nic!

– Jak przyuwają, to ładunek niewymiarowy będzie naszym najmniejszym problemem – zauważyła trzeźwo Ludmiła.

– Luz! – Sabina machnęła ręką. – Kto uwierzy, że nessesie w ciężarówce jedzie, prędzej siebie sami alkomatem zbadają. Poza tym będziemy jechać za Mieszkiem, my z Żanetą na ogonie, żeby nas z tyłu widział i żeby Żanka uspokajała go w trakcie jazdy i w razie potrzeby kazała mu się chować. Wy za nami. W razie problemu stajecie i rozpraszacie policję, pal licha jak. Piotruś pojedzie z wami, bo on strasznie nerwowo znosi, kiedy ja prowadzę, siedzenia na ogonie ciężarówki może nie wytrzymać.

– Ciężarówka ma jechać trzydziestką! – uparł się Piotr.

– Dobry pomysł, w razie czego będzie robił za zasłonę dymną – pochwaliła pomysł Marciniakowa, udając, że nie widzi, jak za plecami zaskoczonych Strzeleckiego Piechota puszcza do niej oko.

Mieszko zeskoczył z dachu ciężarówki.

– No to dajemy! Do aut! Mischu kierownicy przodem!

– Trzydziestką! – przypomniała z naciskiem Sabina, otwierając drzwi od beemki.

## 16. Czwartek II

Niemal zaraz po tym, jak przejechali wiaduktem nad autostradą, a od Brzegu dzieliło ich już tylko z dziesięć kilometrów, Mieszko zaczął przyspieszać.

Do tej chwili zgodnie z zaleceniami włókł się trzydziestką, na szczęście nie zwracając na siebie niczyjej uwagi. Sabina jechała za nim, trzymając taki odstęp, żeby coś, uparcie wystawiający łeb na zewnątrz przez odsłoniętą plandekę, mógł je widzieć. Żaneta niczym pies podekscytowany jazdą co jakiś czas wystawiała przez boczne okno całą głowę, żeby stworek mógł dojrzeć, że ona jest tuż obok.

Za nimi włókł się passacik Strzeleckiej, z Marciniakową za kierownicą i Piotrem w charakterze oszołomionego pasażera z tyłu.

– Co jest?! Ja mu ten łeb kartoflany urwę... – warknęła Sabina, gdy Mieszko na wysokości Bieżowa zaczął przyspieszać do czterdziestki. Za rondem, po skręcie na Brzeg, ciężarówka jechała już pięćdziesiątką. – W schowku jest mój telefon, łap go i dzwoń do tego jełopa, jest pod Kapusta zapisany – poleciła strzyga Sabinie.

– Nie odbiera – zameldowała po chwili nerwowego nasłuchiwania sygnału Żaneta.

– Po kawałku mu ten łeb rozwalę, najpierw uszy, potem nos... – obiecała mściwie Piechota. – A coś jak?

Żaneta skupiła się bardzo mocno, przymykając oczy.

– Jest... zachwycony – powiedziała z zaskoczeniem w głosie. – Euforyczny wręcz.

– No dobra, łba mu nie urwę – obiecała łaskawie Sabina. – Ale Kasi nakabluję, że postępował z ładunkiem niezgodnie z wytycznymi. Piotruś z histerią nie dzwoni? – upewniła się jeszcze.

– Nie. Dzwonić i mówić, że wszystko jest okej?

– Nie. Może się nie kapnęli, że szybciej jedziemy. Pani Ludmiła mogła się nie odzywać, Piotrek może sobie to i owo z matką wyjaśnia.

– Specjalnie ich wsadziłaś do jednego auta!

– No ba! – prychnęła Sabina. – Nie oglądałaś telewizji? To podstawowa taktyka psychologiczna. Najlepiej byłoby ich w ogóle na bezludną wyspę

razem zrzucić, ale w okolicy to w zasadzie jest tylko Kępa na Odrze i musiałabym most wysadzić, a na uparte go i tak by wrócili na brzeg, brodząc w wodzie. Musiałam improwizować. Ale teraz to się skup, bo dojeżdżamy do miasta. Nakłoń go jakoś, żeby się schował.

Faktycznie zbliżali się do Brzegu. Na szczęście pogoda była wybitnie listopadowa: ciemna, deszczowa, ciężka od mgły i smogu. Mgła zresztą zaczęła trochę gęstnieć, oblepiając uliczne latarnie.

– Marysia daje czadu – zauważył Sabina. – Ale mimo wszystko niech się zwierzątko schowa.

Żaneta posłusznie zaczęła, jak to już przećwiczyła przy każdym przejeździe przez wioskę, wzbudzić w cusiu ciekawość wnętrzem ciężarówka. Chrupki były takie śmieszne, ścianki takie ciekawe, wszystko w środku takie fascynujące...

Przy przejeździe przez rondo przez uchylony dach wysypało się trochę wypełniacza.

– Mandat za śmiecenie dostaniemy, jak nic – westchnęła Sabina. – Ale przynajmniej wsadził łeb do środka, to jeszcze tylko przez miasto przejechać i na przystań... Tylko niech on przypadkiem się pod wiaduktem albo na moście nie wychyli, bo zarobi żelazem w łeb!

Musieli jechać drogą przez centrum, bo prowadziła do jedyne go w Brzegu mostu na Odrze, zbudowanego na wzór przepraw dziewiętnastowiecznych. Most miał konstrukcję kratownicową i był zabudowany nie tylko po bokach, lecz także dość nisko od góry. Ciężarówka mogła przejechać bez problemu, ciężarówka z wystającym cusiem – w żadnym razie, chyba że kosztem dekapitacji albo przynajmniej ogłuszenia stwora.

Przystać, na którą zmierzali, znajdowała się na przeciwnym brzegu Odry. Otwarto ją z pompą kilka lat wcześniej i o ile w lecie cieszyła się umiarkowanym zainteresowaniem i nawet czasem coś tam się działo, o tyle w listopadzie była pusta i niemal całkiem opuszczona.

Niestety, nie wzniesiono jej w miejscu całkiem odludnym, ale od głównej drogi oddzielał przystań zarośnięty plac, a mgła sprowadzona przez Marysię w połączeniu ze zniechęcającą jesienną aurą mogła dać im prywatność potrzebną do tego, żeby cusia sprawnie, bezpiecznie i dyskretnie zwodować.

– Mogliśmy jechać naokoło, wtedy byśmy przez ten most nie musieli... – jęknęła Żaneta.

– Naokoło to w tym tempie byłyby dodatkowe dwie godziny i ileś wiosek

po drodze – ucięła Sabina. – Tak jest może trochę problematycznie, ale za dziesięć minut wypuścimy go do Odry i z głowy.

Droga przez miasto trwała minut siedem i były to zdecydowanie najdłuższe minuty w życiu Żanety. Wbijiała wzrok w ciężarówkę, próbując w gęstej mgle dojrzeć, czy aby coś nie wygląda z niej ciekawie, i zaciskała zęby w skupieniu, starając się myśleć o tym, jak fascynująco, ciepło, fajnie i w ogóle zarąbiście jest zwinąć się w kłębek w chrupkach i zasnąć.

Kiedy wreszcie przejechali przez miasto i przez most, westchnęła z ulgą tak głośno, że aż odruchowo zakryła usta. I dobrze, bo zaraz zaczęłaby piszczeć, kiedy Sabina wykonała absolutnie niedozwolony i dziko szybki manewr wyprzedzania, żeby przed ciężarówką skrócić w lewo, w Krakusa.

Zaparkowała przy ogrodzeniu przystani i wyskoczyła z auta, jeszcze zanim jej pasażerka zdążyła dojsć do siebie. Mieszko dopiero zjeżdżał z głównej drogi. We mgle ledwo go było widać. Gdyby nie potężne reflektory, ciężarówka byłaby tylko ciemnym kształtem.

– Kurde, wystawia łeb – warknęła widząca całkiem nieźle w ciemnościach Sabina. – Myśl o chowaniu się.

– Autentycznie nie dam rady – oznajmiła Żaneta. – Przez ostatnie dziesięć minut osiwiałam, jak nic.

– Spoko, pod tymi pastelami i tak nie widać – pocieszyła ją trochę nieprzytomnie strzyga. – Ty, co on robi?

Mieszko jechał już wolniej, może z dziesięć na godzinę, i wychylał się przez otwarte okno kabiny. W zasadzie to wisiał wręcz na nim, jedną ręką przytrzymując się górnej framugi, drugą najwyraźniej próbując kierować. I chyba coś mówił...

– Wolność!

Kiedy był już na tyle blisko, że były w stanie go usłyszeć, dotarło do nich potępieńcze wycie.

– Kocham i rozumiem! Wolności! Oddać nie umiem!

Złoty coś kiwał swoim łebkiem do rytmu, kolebiąc nim to na lewo, to na prawo. W złotych ślepiach miał wyraz jakiegoś dziwnego szaleństwa.

Ciężarówkę wyprzedził passat. Marciniakowa zaparkowała obok beemki i cała trójka pospiesznie wysiadła i dołączyła do Sabiny i Żanety.

– Oj – westchnęła z lekkim niepokojem Marysia. – Jazda mu się spodobała. – Chyba trzeba go będzie czasem zabierać na jakieś przejażdżki.

– O ja cię – jęknęła ze zgrozą Żaneta.

Sabina miała na twarzy wyraz bliżej nieopisanej grozy, ale spowodowany był on raczej jakością popisu wokalnego niż sytuacji.

– Wooolność! Kooocham i rozumiem! – zawył Mieszko, wykręcając w uliczce i stając równolegle do płotu otaczającego przyszłość.

Jak tylko zaparkował, wyskoczył radośnie z kabiny i przeciągnął się, rozprostowując kości. Cuś wychylił łeb na długi szyi, a Kapusta przyjaźnie poklepał go po nosie.

– W Wojślawiu się zawiesiło to radyjko, coście mu wrzucili. Albo może je sobie przygniótł, bo wiercił się strasznie – wyjaśnił. – To musiałem improwizować. A cały tekst to znam tylko do tego i *Ona tańczy dla mnie*. Wiecie, „ja uwielbiam ją”...

Cuś, najwyraźniej dobrze już zapoznany z repertuarem Mieszka, zaczął kiwać się energiczniej.

Marysia tymczasem z zafrasowaniem oglądała wybetonowany slip.

– Nierówne to i takie szorstkie.

– Ej, przecież laź z piasku na parking, beton mu nieobcy – wtrąciła Sabina.

– Ale to jego nowy dom, pierwsze wrażenie, sama rozumiesz. – Marysia pogładziła ją po twarzy i odwróciła się do Marciniakowej. – Ludka, przywieziesz karimaty z Siedliska? Wyłożymy mu zjazd, będzie międko, kolorowo i łatwiej będzie potem te chipsy zebrać.

– Okej, to jest argument – zgodziła się Sabina.

Marciniakowa zmarszczyła brwi.

– Szybciej będzie, jak mi ktoś pomoże. Chodź, młoda – szturchnęła Żanetę. – Jedziemy.

– Ja? – przestraszyła się Żanka, ale posłusznie wsiadła do passata. – Dlaczego ja?

– Marysia musi zostać z cusiem. Piotrek powinien z matką więcej czasu spędzić. Z Piechotówną do auta nie wsiadę, Ryńska by mnie w ciemnej uliczce dopadła, a tego gnoma to zaraz zatłukę, tak mi na nerwy działa... – mruknęła kobieta.

– I ja zostałam jedyna do przywożenia karimat?

– Taki lajf, jak wy to, młodzi, mówicie.

Żaneta pomyślała, że nikt tak już nie mówi, ale nie powiedziała tego głośno.



Do Brzeziny zajęły w pięć minut. Ludmiła zaparkowała przed domem Marysi, tyłem przy furtce. Miały do zabrania ze trzydzieści mat, które, chociaż nieciężkie, były w takiej liczbie nieporęczne. Słusznie młodą ze sobą zabrała, we dwie to raz-dwa zbiorą. Poza tym Żanetka wyglądała, jakby jej się przydała przerwa od cusiów, strusiów i ogólnego wariactwa, które panowało podczas całej tej operacji transportowej.

– Chciałabym właśnie to robić – wypaliła nagle Żaneta, kiedy szły do magazynku po maty. – Ratować cusie. Spróbować znaleźć pozostałe. To tak trochę po kierunku moich studiów, w końcu zagrożone gatunki to nie tylko te z oficjalnej listy, prawda?

– A dlaczego nie? – Ludmiła wzruszyła ramionami, ale popatrzyła nagle na dziewczynę z czujnością. – Mnie uczono, jak na dziesięć sposobów ścinać łby. I w jakie organy celować, żeby najszybciej zabić. I jak się zasadzać. To się jakby w ogóle kłóci z ratowaniem czegokolwiek, twoje studia są bardziej w temacie.

– Pani przodkowie musieli mieć bardzo smutne życia – oceniła Żaneta.

– Nie, dziecko, oni żyli szczęśliwi i pewni swego, w poczuciu misji, ciężkiej, brutalnej, ale potrzebnej. Bo to jest dla człowieka dobre: mieć słuszną misję. Gorzej jak jej zabraknie albo okaże się nic niewarta, wtedy trzeba samemu szukać właściwej drogi. A to jest takie trudne, że nawet sobie nie wyobrażasz.

– Trochę sobie wyobrażam – odparła z lekką urazą Żaneta, jakby chciała zaznaczyć, że może nie miała jeszcze tych sześćdziesięciu czy osiemdziesięciu lat, ale coś tam o życiu wiedziała. O tym, jak do kitu jest nie wiedzieć, co właściwie z nim robić, też.

– To i dobrze dla ciebie, wiesz, że nie jest lekko. Więc dla mnie to szukaj sobie tych cusiów i je ratuj. To jest dobry cel. Ale pamiętaj, robisz dobrze, jak nie krzywdzisz innych.

– A jeśli kogoś skrzywdzę?

– To ci życzę, żebyś to zrobiła w przekonaniu, że masz słuszość, bo wtedy trzeba ponieść konsekwencje. Jak komu krzywdę robisz w obronie swojej czy słabych, to jeszcze. Najgorzej jak z samolubstwa, dla własnej korzyści, wtedy to już nic cię przed karą nie uchroni. A ta przyjdzie prędzej

czy później – oświadczyła Ludmiła ponuro i znacząco.

Ludka nie dodała, że czasem to nawet jak się słabszych broni i walczy z potworami, to trzeba straszne konsekwencje ponieść – może nawet stracić wszystko, co się kochało w życiu. Ludka nie miała złudzeń, Marysia nie zrozumie, że Piotra trzeba było zlikwidować, że stanowił zagrożenie dla całej okolicznej ludności. Ludka nie mogła już dłużej czepiać się nadziei, że psycholog prowadzi uporządkowane życie w stylu zen, a ona go polubi i będzie traktować jak członka rodziny. Sam udowodnił, że nie zasługuje na zaufanie, a zdrowie i życie okolicznych mieszkańców ma w zasadzie za nic. I tak Ludmiła będzie musiała wreszcie dokonać wyboru – własne szczęście albo bezpieczeństwo mieszkających tu ludzi. Żaden wybór tak naprawdę. Westchnęła ciężko.

– Tu jest tylko część – stwierdziła, zaglądając do magazynku niewielkiej szafy przy drzwiach do sali, w której Maria prowadziła fitness i medytacje. – Zbierz je, ja pójdę zobaczyć, czy czegoś nie ma przy drzwiach do ogrodu, pogoda niby nie sprzyja, ale Marysia lubi zajęcia na świeżym powietrzu.

– W listopadzie? – Żaneta się wzdrygnęła.

– I w grudniu. I w styczniu. I jeszcze jeździmy na morsowanie.

– Takie jak w telewizji? Z kąpaniem się w zimie? – przestraszyła się dziewczyna.

– Ta, w zimie, ale przecież ty nie musisz. Zbieraj maty, zaraz wrócę.

Tak jak się spodziewała, cały stos mat leżał przy szklanych drzwiach prowadzących do ogrodu. Marysia pewnie witała słońce w towarzystwie sąsiadek. Ludmiła pobierała rolki, ledwo obejmując je ramionami. Miękkie to było i lekkie, ale jakie nieporęczne. Jedna jej wypadła i gdy pochylała się, żeby ją złapać, kątem oka dostrzegła na zewnątrz jakiś ruch.

Znieruchomiała. Żaneta została po drugiej stronie domu, na pewno nie w ogrodzie. Jeśli już, to wyszłaby na drogę, do zaparkowanego auta. Było już po dwudziestej pierwszej, o tej porze wizyt sąsiedzkich się w Brzezynie nie składało, poza tym każdy gość po prostu by wszedł, a nie skradał się od tyłu.

Na zewnątrz było cicho. Za cicho. Ludmiła znała każdy dźwięk, jaki wydawało Siedlisko, każde skrzypnięcie deski, każdy stukot gałęzi o okno. Gość przychodzący w uczciwych zamiarach pewnie jeszcze nawoływałby gospodynie Siedliska. Tylko ktoś, kto bardzo mocno się starał, aby jego wizyty nie zauważono, byłby w stanie podejść tak bezszelestnie.

O niedoczekanie jego, i dobrze, że Marysi w domu nie było. Poradziłaby

sobie z intruzami raz-dwa, ale potem pewnie zrobiłaby im kakao i kazała sobie opowiadać, jakież to nieszczęścia pchnęły ich na drogę przestępstwa, występku lub alkoholizmu.

Już tak kiedyś było, Marysia natknęła się pod Biedronką na jakieś półgnomy, kto wie, czy nie dalekich krewnych tego Kapusty. Leserzy to byli straszni, ale Maria uparła się ich w ramach aktywizacji bezrobotnych, bezradnych i nieprzystosowanych normatywnie zatrudnić do porządkowania ogródka, napraw domowych i innego badziewia, które mogliby zrobić Broniek, Łukasz albo w ostateczności może nawet Piotruś. Ale nie, Maria się uparła i nawet fundusze z PUP dostała. I chodziła cała szczęśliwa, że jej się projekt udał, a Ludka nie miała serca jej powiedzieć, że grupa porządkowo-pielęgnacyjna wykonuje swoje obowiązki w sposób terminowy i nienaganny tylko dlatego, że ona, Ludmiła, zasiała w nich lęk i grozę przed rodem Martinusów.

Uśmiechnęła się pod nosem. Teraz mogła rozprawić się z intruzami, jak uznawała za stosowne.

*Podejdz tu, przyzywała w myślach, podejdz tu do tej nieszkodliwej starszej pani, która nie radzi sobie ze stosem mat do jogi.*

Przynajmniej jeden z intruzów miał jakieś maniery, bo grzecznie podszedł.

Najpierw zarzuciła mu dwie maty na głowę, tak że zaczął się w nich panicznie szarpać. Trzecią, zrolowaną przyłożyła napastnikowi prosto w splot słoneczny. Na sam koniec zarzuciła mu na nadgarstek pętlę z opaski spinającej maty i zręcznym rzutem powaliła go na podłogę.

Broniek mógł sobie mówić, co chce, Steven Seagal byłby z niej dumny.

Z głębi domu rozległ się kobiecy krzyk. Cholera, zapomniała o Żanecie... Zanim zdążyła zdecydować, czy to dobrze czy jednak źle, rozległ się tupot, który stawał się coraz bliższy. Co najmniej dwie osoby, jedna lżejsza... Czy mała uciekała?

Ludmiła odłożyła kwestie moralne na później, na chwilę zostawiła swoją ofiarę, sięgnęła po leżącą obok mat taśmę do pilatesu i zasadziła się przy drzwiach.

Tak jak przypuszczała, uciekająca Żaneta wpadła do pomieszczenia, a za nią napastnik. Gdy mijał Ludmiłę, ta zarzuciła mu taśmę na szyję niczym garotę i szarpnęła.

Runął z jękiem, błyskając żółtymi ślepiami.

Czyli sprawa robiła się poważna.



Żaneta, zorientowawszy się, że została uratowana, zatrzymała się pod przeciwną ścianą. Ludmiła tymczasem podduszała twardo tego, który przed chwilą gonił dziewczynę. Człowiekowi by już dała spokój, ale z wilkołakami trzeba było ostrzej.

– Rzucił się na mnie i chciał mnie zaciągnąć do auta – zaczęła tłumaczyć zasapana Wawrzyniakówna. – Ale go kopnęłam w jajca i zwałam. Kurde, czy oni mnie chcą porwać? – zdziwiła się.

– Amatorzy – prychnęła Ludmiła, wypuszczając z rąk taśmę. Ostatni napastnik dychał jeszcze, ale był wyłączony z gry na dłużej. Ludka nie miała wątpliwości, że nadszedł czas rozwiązań ostatecznych. Efekty poczynąń trójcy nieświętej zaczęły wpływać na resztę okolicznych nienormatywnych. Na zrobienie z Wawrzyniakówny agenta wywiadu raczej nie było już czasu, nawet na wymyślenie planu C czy D – też nie. Pozostał stary dobry plan A – likwidacja potworów – od wilkołaków począwszy.

– Mogłaby pani powiedzieć coś w stylu „po moim trupie” albo „nie martw się, dziecko” – zauważyła histerycznie dziewczyna.

– Żadne z ciebie dziecko, tylko dorosła dziewczucha. Głupia niemożebnie – warknęła ze złością. – A umierać z okazji tego, że jakieś wilki sobie ciebie upodobały, nie zamierzam.

– A oni o tym wiedzą?

– Żanka! – Ludmiła, wykonała nagły zamach za róg dzierzoną w dłoniach taśmą do pilatesu i przyciągnęła ją z powrotem ze złapanym i podduszonym, niczym garotą, wilkołakiem numer trzy. – A kogo interesuje, co sobie taki kundel myśli?

Wilkołak, pozbawiony dopływu powietrza, zemdłał. Ludmiła rozluźniła uścisk i pozwoliła mu opaść na podłogę. Trzymaną w dłoniach taśmę rzuciła Żanecie, a sama sięgnęła po pozostałe.

– Obwiąż jakoś tego najbliżej ciebie. I tak rozerwie, ale przynajmniej chwilę go to opóźni.

– Nie powinnyśmy zachowywać się cicho?

– To wilkołaki. I tak nas usłyszą... – Ludmiła nagle uśmiechnęła się bardzo, bardzo szeroko. Właściwie to na zębatość mogła się wręcz mierzyć z całym stadem wilków.

Kilkoma szybkimi krokami przemierzyła pomieszczenie i dopadła do stojących na stoliku pod ścianą mis tybetańskich. Marysia trzymała je z boku, żeby przypadkiem nikt w nie nie uderzał w nieodpowiednich momentach

medytacji. Cóż, teraz moment był ze wszech miar odpowiedni. Ludmiła złapała za młoteczek i w chwili, gdy pozostałe dwa wilki weszły do sali, zaczęła w nie stukać.

Nie było w tym żadnej melodii, żadnego systemu, tylko dźwięk za dźwiękiem, rozchodzący się po salce i wprawiający wszystko w drzenie. Żaneta wytrzeszczyła na nią oczy, najwyraźniej pewna, że starsza pani zwariowała.

Wilkołaki zaskomlały żałośnie, potem zawyły już całkiem dramatycznie, aż w końcu ten najbardziej przytomny uciekł w panice, wybijając szybę w drzwiach. Drugi, ledwie dochodzący do siebie, zaczął tarzać się po podłodze, trzymając się za uszy. Trzeci na razie był wyłączony z gry.

Ludmiła gestem nakazała Żanecie przejąć pałeczki. Dziewczyna w dwóch szybkich susach dopadła stolika i posłusznie, i energicznie zaczęła walić w misy. Hałas był taki, że Ludmiła już sama miała dość, ale cóż, szkolono ją do walki w trudnych warunkach. Złapała za porzucone wcześniej taśmy i zabrała się za wiązanie jeńców.

Dopiero kiedy dostała po głowie, przemknęło jej przez myśl, że zlekceważyła tego czwartego, a w hałasie nawet nie usłyszała, jak nadchodzi.

Nic już z tym nie zdążyła zrobić, bo nagle misy ucichły i zapadła ciemność.



– Może jej się komórka wyładowała – martwiła się Marysia. – To odtwarzanie muzyki dużo baterii zżera.

Cuś coraz bardziej się niecierpliwił, niczym żyrafa wyciągając chudą szyję na wszystkie strony, a Ludmiły i Żanety nie było. Nie odbierały też telefonów.

– Nie myślisz chyba, że... – zaczął niepewnie Piotr. W drodze z Nysy do Brzegu, zmuszeni niejako okolicznościami, wyjaśnili sobie z matką kilka spraw. Może nie doszli jeszcze do stanu idealnego, ale oboje przyjęli do wiadomości jego poczucie krzywdy, jej poczucie winy i zgodzili się, że pograżanie się w jednym czy drugim jest złe dla nich i dla ich relacji. Nie oznaczało to oczywiście, że wszystko było znowu okej, ale sprawy szły ku lepszemu. Rzucanie na partnerkę Marii podejrzenia o zamordowanie ich

praktykantki mogłoby trochę popsuć atmosferę.

– Trzeba czymś zająć cusia – weszła mu w słowo Sabina. – I pojechać do Brzeziny. Auto im padło, Łukasz przyleciał z pretensjami o mrówki, poszły zapisać, wszystko jest możliwe. Dziesięć minut i obrócę w tę i z powrotem, tylko co z cusiem?

– Ja mogę, ja mogę to zrobić – zaofiarował się Mieszko. – Myśmy w drodze tutaj normalnie nawiązali więź. On mnie czuje, ja jego czuję, to jest mistycyzm sztuki łączącej nie ludzi.

Sabina i Marysia wymieniły spojrzenia.

– W zasadzie wygląda na to, że coś go lubi... – powiedziała ostrożnie szamanka.

– No to już – pogoniła strzyga. – Do dzieła. Zabawiaj go.

– Dobra, to dajemy! – oznajmił ochoczo Mieszko, podciągając się na ramionach na dach auta. Zręcznie niczym akrobata stanął na blaszanej kabinie, odwrócił się do cusia, zmierzył go spojrzeniem paciorkowatych oczu i zaczął śpiewać, a w zasadzie wywrzaskiwać z zachowaniem pozorów rytmu.

– Tak! Niewiele! Żądam!

Wiercący się na pace coś znieruchomiał i z zainteresowaniem przybliżył łeb do gнома, przyglądając mu się to z lewej, to z prawej. Zanim Kapusta zdążył dośpiewać do „tak niewiele myślę”, stworzenie już kiwało się do rytmu.

Rozochocony, wciąż stojący na dachu kabiny Mieszko ściągnął swój sweter w norweskie wzory i zaczął nim kręcić młynki nad głową.

– WOLNOŚĆ! KOCHAM! I ROZUMIEM!

Cuś natychmiast podchwycił gest i zaczął zarzucać łbem wokoło, imitując ruchy kierowcy.

– Zdecydowanie się muszę stąd oddalić – oznajmiła Sabina, pocierając uszy w geście desperacji. – Dawaj, Piotruś, jedziemy zobaczyć, jak tam te nasze xeny, mam nadzieję, że po drugiej stronie Odry nie będzie go słychać. Niech tylko przypadkiem pani nie rozładuje baterii w telefonie – przypomniała Marysi. – Bo będziemy tak latać wte i wewte jak poplątani.

– Jasne – zgodziła się szamanka, obserwując w napięciu wyczyny taneczne cusia. – On się nam znarowi jak nic...

## 17. Czwartek III

– Auto stoi, ale dom ciemny – skomentowała Sabina, zatrzymując beamkę przed furtką Siedliska. Zgasiła silnik i światła. – Pół tych fajnych filmów, wiesz, tych, co lubię oglądać, tak się zaczyna.

– To jest raczej niepokojące, biorąc pod uwagę, że wiem, jakie ty filmy oglądasz – mruknął zaniepokojony Strzelecki.

– Luz, w tych filmach to zawsze potem z ciemności wyskakuje potwór albo morderca. A, że tak powiem, heeeelo! – uspokoiła go Sabina, wskazując teatralnym gestem na siebie.

Piotr nie zwracał na nią uwagi. Wpatrywał się w dom matki z wyrazem frasunku na twarzy. Doskonale mu znany budynek teraz wydawał się... podejrzany. Okna były ciemne, z wnętrza nie dobiegał żaden dźwięk, tylko furtka do ogrodu skrzypiała.

– Sabino, myślę, że najpierw musimy sprawdzić ogród – oznajmił z naciskiem. – Ty przodem.

– No ba! – prychnęła Piechota i ruszyła w stronę furtki. W nocy widziała o wiele lepiej niż zwykły człowiek i lepiej nawet niż Piotr. Strzelecki ruszył dwa kroki za nią, na wszelki wypadek trzymając rękę w kieszeni, w której miał pojemnik z gazem.

Behapówka zrobiła pięć beztróskich kroków i zatrzymała się gwałtownie.

– Szyba w drzwiach jest stłuczona od wewnątrz – powiedziała cicho. – W środku coś się rusza.

Zanim Strzelecki zdążył jej odpowiedzieć, jednym susem była już przy drzwiach. Nie bawiła się w subtelności, wpadła do środka, depcząc po rozbitym szkłe.

– Piotrek!

Podbiegł natychmiast do niej, dotarł do drzwi z wybitą szybą w chwili, gdy Sabina włączyła światło w pomieszczeniu.

Pokój był w nieładzie, cała podłoga usłana była częściowo porwanymi matami do jogi i porozrywanymi plastikowymi taśmami. Pod ścianą leżały przewracane misy tybetańskie, jedno z ulubionych akcesoriów jego matki. A pod oknem, podtrzymywana przez strzygę, podnosiła się Ludmiła,

w podartym swetrze, z włosami w nieładzie wychodzącymi z rozwalonego koka i z krwią na skroni. Kobieta mrugała oczami, jakby próbując ogarnąć, co się wydarzyło. Musiała sobie przypomnieć, bo nagle zeszywniała.

– Wilcy. Porwali Żanetę – wychrypiała.

– Wilcy? Wilkołaki, znaczy? Po co wilkołakom Żaneta? – Piechota osłupiała.

Piotrek zamarł w drzwiach. Wilkołaki... Ale to chyba nie byłyby te same... Jakie byłyby szanse, że te wrocławskie, po tym co wydarzyło się w Lubszy, pofatygowałyby się do Brzeziny. I po co? Ale z drugiej strony jakie były szanse, że w okolicy kręciła się inna banda wilkołaków? No, zasadniczo duża, Wilczek miał przecież tu niedaleko rodzinę...

Ludmiła wpatrywała się w Strzeleckiego czujnie, jakby sondując, czy przypadkiem nie miał z uprowadzeniem Żanety nic wspólnego. W końcu wilki znał...

Sabinie osłupienie przeszło w irytację w tempie błyskawicznym, a irytacja przerodziła się natychmiast w działanie. Piotr nie zdążył się nawet odezwać, kiedy strzyga trzymała już telefon przy uchu.

– Czego twoje wilcze ziomy chcą od mojego chomika?! – ryknęła, ledwie Kacper Wilczek odebrał.

– Od Żanety – poprawił odruchowo i z naciskiem Piotr.

– Od mojej Żanety! – ryknęła posłusznie Sabina.

– Czy tobie odwalilo?! – odryknął Wilczek tak głośno, że nawet Strzelecki usłyszał.

– Słuchaj no, stoję właśnie w Brzezynie, w domu Marysi Strzeleckiej, z którego przed chwilą wilkołaki porwały moją praktykantkę Żanetę. Jak mi odwali, to gwarantuję ci, że zajadę do Opoła w dwadzieścia minut i ci jelita uszami wyciągnę. I powiem twojemu szefowi, że jesteś jedyną osobą niemile widzianą na turnusach relaksacyjnych. Jak myślisz, gdzie się wtedy znajdzie twoja obiecująca policyjna kariera?

– W czarnej dupie – jęknął Wilczek, wyraźnie bardziej przerażony tą perspektywą niż groźbami naruszenia nietykalności cielesnej.

– Dokładnie! Więc gadaj, co wiesz o podejrzanej wilczej aktywności w okolicy!

– Nic nie wiem! To znaczy, wszystko już powiedziałem Piotrkowi. Serio, nic więcej się nie dowiedziałem.

Sabina zamarła z telefonem przy uchu i wbiła we współnika spojrzenie

o wadze co najmniej dwudziestoczwierotonowej. Strzelecki poczuł się bardzo niepewnie, zwłaszcza gdy Piechota powoli zamrugła swoją dodatkową powieką. Raz. Drugi. Trzeci.

– A to spoko – odparła radośnie. – Będę dzwonić, jeśli jeszcze będziemy czegoś potrzebować.

Rozłączyła się, nie czekając na odpowiedź policjanta.

– Mogę to wszystko wyjaśnić – powiedział pospiesznie Piotr. Marciniakowa łypnęła na niego złowrogo okiem. No tak, wiedziała. Wiedziała, że z niego wyjdzie ten potwór!

– Ależ nie wątpię – zgodziła się kąśliwie Sabina, pomagając Ludmile usiąść na drewnianej ławie.

Usiadła obok Marciniakowej, opierając jej dłoń na ramieniu, żeby kobieta jakoś utrzymała równowagę. Ludmiła miała wrażenie, że trochę za mocno ją młoda przytrzymuje, jakby wiedziała, skubana, że Ludka tylko czeka okazji...

– Pani Lu... Ludmiło, trzeba ci udzielić pierwszej pomocy – przypomniał sobie zaaferowany Strzelecki.

– Poczekam – oznajmiła zachrypniętym głosem. – Miałam... gorzej. Najpierw gadaj.

– Priorytety – pochwaliła Piechota. – Piotruś, czekamy.

Siedziały obok siebie – absolutnie rozluźniona i uśmiechnięta strzyga i łypiąca na niego spode łba, zakrwawiona i poszarpana łowczyni. Strzeleckiemu przeszło przez myśl, że chyba nigdy nie miał tuż przed sobą bardziej przerażającego widoku.

– Ewa do mnie przysła parę dni temu – wypalił i natychmiast pożałował. Ewent, poirytowana tym, że ją wsypał, mogła stanowić o wiele bardziej przerażający widok od tego. No, ale było już za późno...

– Cholerna Ryńska... – mruknęła Marciniakowa. Tylko jej tu brakowało, zmory w ludzkiej skórze.

– Ej – rzuciła ostrzegawczo Sabina. – Nie wyrażamy się źle o Ewuni, chyba że jesteśmy mną. Ja mogę. Kontynuuj.

– Ewa przysła i opowiedziała mi... w skrócie o tym, że jakieś wilkołaki były pod Lubszą i co najmniej jeden od tego zwariował. Z tego co Kacper mówił, to ganił tam za patykami, tarzali się na łonie natury, takie tam.

– I od tego zwariowali? – upewniła się Piechota.

– Prawdopodobnie.

– A Ewa przyszła z tym do ciebie i włączyliście jeszcze w sprawę Wilczka, bo...?

Piotr wetchnął szczerze i głęboko. Sabina znacząco uniosła brew. Ludmiła przymrużyła oczy.

– Bo się o ciebie martwiła – wypalił. – To wariactwo miało coś wspólnego z ziemią, a strzygi to żywioł ziemi, a ty do tego chciałaś zjeść jej chomika... Chcieliśmy cię ratować!

Przez chwilę pożałował, że nie ma tyle odwagi, żeby wyciągnąć komórkę i zrobić zdjęcie wyrazowi twarzy swojej współpracownicy. Z takim karpikiem na bladej mordce jeszcze jej nie widział.

Siedząca obok niej Marciniakowa marszczyła brwi, próbując zapewne odnaleźć jakiś sens w jego słowach.



Marciniakowa istotnie myślała tak intensywnie, że prawie jej para szła uszami. Słuchała jak sam szatan. I jakby nie próbowała faktów poustawiać, wychodziło na to, że wszystkie swoje dotychczasowe podejrzenia mogła, elegancko mówiąc, pod pociąg włożyć. Żadne z trójcy nie miało nic wspólnego z rozsiewaną po lesie trucizną. Wcale nie próbowali się dorobić kosztem zwyczajnych ludzi, tylko sami stali się ofiarami truciciela. Oczadziałe wilki porwały Żanetę w celach w najlepszym przypadku lubieżnych i definitywnie dwoje ocalałych z trójcy nie miało z tym nic wspólnego.

Ten inkub przebrzydły żadnego trucicielstwa nie uprawiał, żadnych ludzi nie narażał, knuł, ale zasadniczo w słusznej sprawie... Tylko żeby Piechotównę ratować? Nie dość że praworządny, to jeszcze idiota, jakby tej małej jakaś pomoc była potrzebna. No ale ratować przyjaciół to rzecz chwalebna. W ogóle te potwory jakoś takie całkiem chwalebne życie wiodły. Każde z nich poświęciło się pomaganiu. Piechota pilnowała, żeby każdy był bezpieczny w pracy. Piotr – żeby każdy był bezpieczny z Piechotą... no dobra, we własnym domu i we własnej głowie. Żanka chciała się za bezpieczeństwo w środowisku wziąć. Bronili i chronili. Służyli społeczeństwu. Łukaszek wcale niegłupio mówił, kiedy ich za przykład stawiał.

A to mogło oznaczać, że Ludka prawdopodobnie nie będzie musiała go mordować, a jeśli tego nie zrobi, to mogą sobie z Marysią żyć długo i szczęśliwie... Oszłomiła ją ta myśl i na dłuższą chwilę odebrała jej mowę.

Piechotównie za to nic głosu odebrać nie mogło...



– Wy to głąby jesteście, Ewka i ty, nie wiem które bardziej, oboje po równo... – poinformowała rzeczowo swojego współnika Sabina. – Tyle nawijasz, że warto rozmawiać, nie przyszło wam do głowy, żeby mnie zapytać, co u mnie nie tak?

– Zapytałem – przypomniał ponuro Piotr. – Powiedziałaś, że chcesz zjeść Kingę.

– Oczywiście, że chcę zjeść Kingę, Kinga mi działa na nerwy, poza tym mam bardzo ładnie rozbudowany mechanizm zajadania problemów! Sam mi go pomogłeś wykształcić!

– A jaki problem chciałabyś zajadać? – zapytał profesjonalnie Piotr.

Sabina westchnęła z niechęcią.

– To zdecydowanie nie czas i miejsce, ale okrągła rocznica śmierci babci będzie. Moja matka chce z ojcem przyjechać.

– Niech to szlag – jęknęła Ludmiła. Tylko głupadura tu brakowało.

– No mniej więcej – zgodziła się Piechota. – Plus jest taki, że nie musimy się już martwić, że babcia wstanie z grobu, żeby go zjeść, no, chyba że się naprawdę wkurzy, a na to są szanse. Ojciec się wkręcił i będą grać na Dniach Księstwa Brzeskiego w przyszłym roku.

– Regina wstanie z grobu – oznajmiła ze zgrozą i stuprocentową pewnością Marciniakowa.

– Może nie, wykopimy ją w kwietniu i dołożymy trochę łańcuchów albo może jakieś pręty – spróbowała ją pocieszyć Sabina. Marciniakowa spojrzała na nią jak na wariatkę.

– Ty mi chcesz pomóc własną babkę ponownie pogrzebać?!

Piechotówna wzruszyła ramionami.

– Helo! BHP! Latająca po mieście krwiożercza strzyga fatalnie wygląda w ocenie ryzyka zawodowego. Plus, no sorry, życie jest brutalne. Jesteś strzygą, kończysz wkurwiona w ziemi i w łańcuchach. Przecież dla mnie też



pani ma już przygotowane, prawda?

– Skąd...?

– Ha! – Sabina podskoczyła radośnie. – Wiedziałam! – Wycelowała palcem w Piotra. – Widzisz, wiedziałam! Wiedziałam, że Winchesterów należy wpisywać w czynniki ryzyka. Taka zreformowana, a łańcuchy na mnie ma! Luz – dodała pod adresem Marciniakowej – będą w sam raz na ekshumację babci.

Piotr spojrział na Ludmiłę wzrokiem skopanego szczeniaczka.

– Ale jak to? Przecież... pani... ty... razem z mamą...?

– Okolicy trzeba pilnować – rzuciła niechętnie Ludmiła. – Nie może być tak, żeby jeden krzywdą innych się pasł – dodała znacząco.

Strzelecki aż się wyprostował.

– Mama by tego nie wybaczyła...

Marciniakowa wzruszyła ramionami.

– Taki los – powiedziała niechętnie. – Muszę robić, co trzeba, nawet jak boli. Nawet jak żal.

– Zdecydowanie powinnaś... powinna pani pójść na terapię – oznajmił Piotr, ostentacyjnie rezygnując z tykania. – Tylko nie wiem do kogo, bo ja się nie podejmuję.

– Jestem normalnie dumna z twojej etyki zawodowej, ale może wrócimy do kwestii wilków? – zaproponowała Sabina.

– No dobrze, to co takiego im się stało?

– Zatruta ziemia – mruknęła Marciniakowa.

– To przecież oczywiste! – zgodziła się natychmiast Sabina. – Zanieczyszczenie ziemi! Na odludziu! O nielegalnych wysypiskach żeście nie słyszeli?

Piotrek podrapał się po obrośniętej szczecinką brodzie.

– Coś w radiu było...

– Oczywiście, że było! Wszędzie są nielegalne wysypiska, myślisz, że magiczne odpady nie są szkodliwe dla środowiska? Las, nie ma ludzi, idealna okolica. Jakby się tam jakieś wilki nie zaplątały, toby sobie latami w spokoju leżało. Przecież to jest pierwsze i najprostsze wyjaśnienie, co wam w ogóle z jakimiś żywiołami i równowagą odwaliło...

– Wilkołaki to w ogóle dopiero początek – wtrąciła ponuro Marciniakowa.

– Jak nasypiesz jednych magicznych odpadów na drugie, to one wchodzi z sobą w reakcję. Wilkom dostało się jakimiś odpadami po rytuałach

miłosnych, ale ktokolwiek te śmieci do lasu wywiózł, na tym nie poprzestał. Nawet nie wiadomo, jak to zneutralizować, bo to taki kogel-mogel, że wszystkiego tam po trochu. I zaczyna wpływać na wszystkich. U wilków wzmagą pierwsze zakłęcie, u Sabiny głód... Ten, kto to robi, zagraża nam wszystkim. I myślałam, co tu kryć, że to wasza robota.

– Nasza?! – oburzyła się Sabina.

– A kto w okolicy się najlepiej rozeznaje, jak bezpiecznie czarować, wróżyć, uroki odczyniać? Tylko ty. Każdy by do zlewu syf wylał, ale ty przyłazisz i nawijasz – autoklawy, mauzery, odzież ochronna... Logiczne, że masz najwięcej z tym do czynienia i gdzieś tę zawartość mauzerów musisz wylać czy wyrzucić. A jeszcze Żanetę sobie przydybałaś i posłałaś na studia z ochrony środowiska. Uznałam, że wpadłaś na pomysł nielegalnego wysypiska, tyle teraz o tym w mediach huczą... A Piotrek ci pomaga, bo wiadomo, gdzie ty, tam i on, i vice versa.

– No wie pani co! – Piechota z oburzenia aż wyprostowała się więcej, niż powinna, i nerwowo zaczęła wymachiwać rękami. – Ja nigdy! W życiu! To jest niebezpieczne i nieekologiczne, odpady trzeba utylizować!

– I niby jak to robisz?

– Wcale! Magazynuję! I po to mi Żaneta, i cała ta ochrona środowiska, żeby rozkminiła, co z tym szajsem zrobić! Ale ona teraz przez panią i przez Marysię idzie w jakiś Green Peace, będzie cusie ratować, a nie rozpracowywać segregację odpadów magicznych.

– Jak to zgrabnie obmyśliłaś – pochwalił Piotrek.

– Prawda? – Sabina się rozpromieniła. – Normalnie nam znalazłam kolejną niszę biznesową, a nawet – zawiesiła głos – ekologiczną!

Strzelecki i Piechota przybili sobie piątki.

– Faktycznie zgrabnie – zgodziła się wciąż lekko rozchwiana i targana coraz większą ilością wątpliwości Ludmiła. – Ale dlaczego się Marysi pytałeś, czy równowaga jest zakłócona? I czy jak cusia przewieziemy, to będzie okej?

– Bo się o Sabinę martwiłem i szukałem rozwiązania.

– Weź, matki pytałeś i nie powiedziałeś, o co chodzi – nastroszyła się ponownie Piechota. – Może by ci coś z sensem podpowiedziała, jakbyś wyjechał z wpływem szaleństwa wilkołaków na mnie.

– Nie chciałem mamy stawiać w skomplikowanej sytuacji, bo... – Urwał. Nijak się tego nie dało nieobraźliwie i delikatnie powiedzieć, nijak.

W zasadzie nie miał aktualnie powodów, żeby starać się nie obrażać Marciniakowej, w końcu dopiero co przyznała, że miała w stosunku do nich mordercze plany.

– Ze względu na mnie – podsunęła sama Marciniakowa. – On się bał, że jak się dowiem, że możesz zwariować, to ci łeb zetnę.

Sabina ponownie zaprezentowała impresję na temat karpia.

– No proszę cię! Ewunia nikomu nie dałaby ściąć mi łba. A jeśli już komuś by się udało, toby mnie pomściła i znalazła sposób, żeby wskrzesić, ale tak na fajnie, a nie tak jak babcia w maju wstanie. Musiałabym pewnie wtedy jakiś szalik nosić, czy coś, ale na pewno by dała radę.

– Niewątpliwie – burknęła pod nosem Ludmiła.

– Ale chomika Ewie chciałaś zjeść...

– Oczywiście, że chciałam. Działa mi na nerwy, myśli, że jak pracuje z Ewą, to już są przyjaciółkami na śmierć i życie. I okej, ja wiem, że dla Ewci ja jestem najważniejsza, ale mnie wkurza, jak się ten jej chomik panoszy. Plus pierniczek alpejski to nie jest, ale zawsze coś na zajedenie stresów!

– Bałem się o ciebie...

– Piotruś, tobie normalnie lęki i obawy przesłaniają życie. Na jakąś terapię może idź? – zasugerowała z troską Sabina. – Bo wiesz, miłość do mnie was zaślepiła, okej, to rozumiem. Generalnie to całkiem możliwe, że w odwróconej sytuacji byłoby tak samo, właściwie to było! – Oskarżycielsko wcelowała palec w Piotra. – Ale, kurczę, gdzieś po drodze powinniście oprzytomnieć i zacząć myśleć! I ty, i Ewa, i pani. – Szturchnęła Ludmiłę w ramię. – No proszę, Piotruś jako zagrożenie lokalne?! To już Stefan po pijaku jest gorszy, bo tornada na pola puszcza.

– Za dużo się działo – zaczął się tłumaczyć Strzelecki. – Wilki patyczkami się rzucały...

– I wiemy, czym się to u nich skończyło – powiedziała twardo strzyga. – A wiemy, gdzie je znaleźć?

– Na Brochowie, mam adres.

– No to jedziemy. Nikt nie porywa bezkarnie mojego chomika – orzekła stanowczo Sabina. – I wiem, miałam jej nie nazywać chomikiem, ale jest porwana i jako ekipa ratunkowa mogę używać nazw kodowych. Plan jest taki: jedziemy do Wrocławia, odbijamy Żanetę z rąk tamtejszych wilków, spuszcza im wpierdol jak stąd do Borchowa, wracamy do Brzegu. Wcześniej podrzucamy panią Ludmiłę z matami na przystań, żeby pani

Marysia mogła cusia wypuścić, a Mieszko wrócić do Nysy po big baga. A jak wrócimy, cuś się zadamowi w Odrze, ślady po transporcie znikną, a twoja mama odpocznie i odbędzie kolejną wspaniałą, oczyszczającą atmosferę rozmowę, tym razem ze swoją partnerką życiową, to pojedziemy sprawdzić, czy to faktycznie jest wysypisko i jak można je zneutralizować, żeby moi kochani przyjaciele przestali się bać, że mi odwali. Tak tylko pro forma zapytam, czy akceptujesz plan? Pani nie pytam – zwróciła się do Ludmiły. – Pani jest w szoku i niezdolna do podejmowania decyzji, przekazemy panią w ręce ukochanych bliskich, czytaj pani Marysi, i niech ona sobie decyduje co dalej. Piotrze?

– Nikt nie będzie napadał na partnerkę mojej matki, nawet jeśli się przyznała, że chciała nas powybijać, i porywał naszej praktykantki – oznajmił stanowczo Strzelecki. – Sabino, będziemy jechać z odsieczą. I będziemy używać niezbędnej siły, a także innych, dających nam przewagę środków.

– Że co? – zdziwiła się Marciniakowa.

– To znaczy, że mogę komuś łeb urwać.

– Ja też z wami jadę – uparła się nagle łowczyni. – To moja robota, moje zadanie...

– O, co to, to nie – odezwała się Sabina stanowczym głosem. – Generalnie to pani trzeba by tej pierwszej pomocy jednak w końcu udzielić, a ja co prawda mam w aucie apteczkę, ale będę zajęta pruciem do Wrocławia, a potem ratowaniem Żanety. A Piotruś krzywo bandażuje.

– Poza tym to będzie fatalnie wyglądać pijarowo – dodał Strzelecki. – Niech pani pomyśli – pani jest z rodu łowców. I niby oficjalnie deklaruje pani odejście od tradycji mordowania nienormatywnych, a tymczasem robi pani najazd na dom wilkołaków.

– One najpierw mój najechały!

– Nie, Piotruś ma rację – poparła psychologa Sabina. – Pal lichu, kto pierwszy i kto porywał, zaraz pójdzie przekaz, że Marciniakowa znowu poluje, czy jakoś tak. Źle! A jak się okaże, że wilkołaki napadła porządna, nienormatywna strzyga, to wszystko idzie w rozgrywki wewnętrzne. Pani tymczasem z pełnym poświęceniem ratuje stwory mityczne. Jak pani to dobrze sprzeda, to może nawet Marysia pani wybaczy. Nie żebym się pani życiem osobistym przejmowała, ale Marysi już tak. – Ujęła Ludmiłę pod ramię i zaczęła prowadzić do auta. – Bierz maty i ładuj do passata – poleciła Piotrowi. – Ja zawiozę panią Ludmiłę, ty podstawisz pani Marysi auto, żeby

mogła potem wrócić z przystani.

Strzelecki posłusznie zabrał się za zbieranie tych mat, które zostały w całości. Pod jedną wymacał coś twardego. Odsunął piankę i rozpoznał telefon Żanety. Na ekranie migiała ikonka wiadomości.

Na zewnątrz Sabina bardzo stanowczo zaprowadziła protestującą słabo Ludmiłę do beemki wsadziła na siedzenie pasażera. Kiedy zatrzasnęła drzwiczki, zamarła na chwilę.

– Czy my w ogóle wiemy, że to te same wilkołaki? – zastanowiła się na głos.

– Wiemy – oznajmił ponuro Piotr wychodzący z Siedliska z naręczem mat i telefonem w dłoni. – Znalazłem komórkę Żanety, piszą do niej jacyś znajomi, że Dawid Bogdanek usilnie stara się ją znaleźć. Bogdankowie to właśnie te wilki z Borchowa.

– To wszystko jasne. Zasuwamy na przystań, zostawiamy maty i panią Ludmiłę i tak mi przyszło do głowy, że trzeba Mieszka podpuścić, żeby sobie porobił selfiki. Wiesz, takie „to ja z mitycznym stworem”, „obczajcie, eksławoczyni ze mną ekologię uprawia”, hasztag „poluję tylko na prawdziwe potwory”, „nienormatywny też nieczłowiek”, „peace and love”, „nie krzywdź, to ciebie nie skrzywdzą”, tak żeby odpowiedni przekaz przy okazji poszedł. I żeby się potem nie bardzo mogła z tej ścieżki pacyfizmu już wykręcić... Mieszko ma konto na Insta, Fejsie, Snapie i sama nie wiem gdzie jeszcze, i milion znajomych. Alibi dla pani Ludmiły jak się patrzy.

– I tym milionom znajomych chcesz pokazywać zdjęcia złotego cusia?

– Wszyscy nienormatywni – oznajmiła triumfalnie Sabina. – On nic nie robi, tylko jeździ po Europie, chyba nawet o Azję i Afrykę zahaczył, i poznaje nie ludzi. Sam widziałeś, jaki jest, pięć minut i już jesteście najlepszymi kumplami. A potem nie masz jak uciec, bo usuwanie z kontaktów to taka pasywna agresja.

– Coś w tym jest.

– Ja nie chcę selfików z Kapustą – zaprotestowała desperacko Ludmiła, uchylając okno do strony pasażera.

– Pani jest w szoku i nie wie, co mówi – poinformowała Sabina. – Ale luz, my im raz-dwa wszystko wytłumaczymy. A teraz proszę zapinać pas, nie chce pani chyba opóźnić misji ratunkowej?

## 18. Czwartek IV

Bycie porwaną białogłową było absolutnie, totalnie i całkowicie do kitu. Zero na dziesięć, nie polecamy tego porywacza.

Oczywiście nikt Żanety o zdanie nie pytał. Któryś z tych strasznych ludzi przyłożył Marciniakowej w głowę, a potem rzucił się na przerażoną dziewczynę. Ze strachu i zaskoczenia zapomniała o waleniu w misy i teraz pluła sobie w brodę. Metaforycznie, rzecz jasna, bo nie zamierzała takich cyrków odstawić przy porywaczach. Miała swoją godność, nawet jeśli aktualnie była to godność lekko rozedrgana i z wilgotnymi oczami.

Pomagało to, że była obecnie bardziej wkurzona niż przerażona. A to dlatego, że w busiku, którym porywacze wieźli ją w niewiadomym kierunku (ale sądząc po mijanych wioskach, to do Wrocławia), obok niej siedział nie kto inny, jak śliczny i namolny Dawid.

I pierdolił jak potłuczony.

Jak ona w ogóle mogła sądzić, że gość jest okej, albo w ogóle czerpać jakąkolwiek przyjemność estetyczną z gapienia się na jego durny łeb? I jak mogła nie przyuważyć tego, że on też się na nią gapił, ba, z tego co właśnie jej pracowicie klarował, to od pierwszego dnia zajęć gapił się na Żanetę, jak nie przymierzając cieleń na malowane wrota.

Doznania miała mocno kontrastowe. W Brzegu wlepiła się w nią emerytka, we Wrocławiu model męski o imieniu Dawid. Pati by pewnie zarechotała i rzuciła coś w stylu „bo ty masz, Żani, urodę u-ni-wer-sal-ną, ha ha ha”, ale Żaneta uważała, że raczej ma uniwersalnego pecha.

Zwłaszcza że emerytka okazała się zasadniczo spoko, a chłopak wręcz przeciwnie.

Zresztą co tu owijać w bawełnę – był świrem. Totalnie odjechanym świrem, który się zafiksował właśnie na niej i nawijał właśnie, że nie szkodzi, że ona na nim nie, wszystko da się naprawić, wystarczy pełnia, jakiś gład w lesie, nóż ofiarny i zielsko i będą żyli długo i szczęśliwie, świr i Żaneta po magicznej lobotomii. A że do pełni jeszcze ze trzy tygodnie, to dziewczynę zamkną w piwnicy, żeby sobie w bezpiecznym miejscu poczekała.

Wawrzyniak gryzła się w język, żeby mu w słowach powszechnie

uważanych za obelżywe nie powiedzieć, gdzie może sobie ten swój radosny pomysł na uzyskanie odwzajemnionej miłości wsadzić.

Ktoś powinien idiotcie uświadomić, że to nie tak w życiu działało. Istnieli oczywiście ludzie (a może nieludzie), których piorun strzela i już są ze sobą na zawsze, na wieki i na szczęście, ale raczej dokonywali tego bez wspomagających czarów. Oczywiście pioruny trafiały w mniejszości, zdecydowana większość zamiast przeżywać nagłe zwroty uczuciowe, koncentrowała się na próbie uzyskania stanu, kiedy dwoje chce naraz tego samego, w tym samym czasie i w tej samej lokalizacji. I nie zawsze wychodziło.

Wystarczyło wziąć za przykład ją i Pawła. Żadna wielka nieskończona miłość, niewielka, już skończona, chociaż wcale jeszcze do końca nie odchorowana. Takie życie. Ona go jakoś tak trochę kochała. Może on ją też, w każdym razie tak deklarował. I co? I nie wyszło. Inne współrzędne geograficzne, inne oczekiwania. Trudno, zdarza się. Jak to powiedziała Piotrek, przerobiła sobie temat (przynajmniej tej wersji się oficjalnie trzymała). Zdarza się, czasem nie wychodzi, takie życie. Bolało, przestanie. Nie ten, to następny.

I owszem, może jej w głowie powstała przez chwilę myśl, że tym następnym mógłby być śliczny Dawid ze studiów, ale kurna, nie leciała zaraz sukni ślubnej wybierać.

A ten świr, poza przepisem na magiczne pranie mózgu, miał katalogi. Sukien ślubnych. W aucie. I pitołac o tym ich wymaginowanym wielkim uczuciu, podtykał je jej pod nos.

Katalogu nie zdzierzyła, wyrwała mu go z rąk i przywaliła makulaturą w twarz.

Spojrzał na nią zaskoczony, jakby co najmniej powiedziała, że Mikołaj nie istnieje, i zamrugał tymi bursztynowymi oczkami jak u owczarka niemieckiego.

No właśnie, oczka. Już w Siedlisku się zorientowała, że coś z nimi jest nie tak, za bardzo im się ślipia w ciemnościach świeciły, za ostre mieli ząbki i za silni trochę byli. Ten jeden, co zwiął przed misami, to zwiął się w ogródku z bólu już w całkiem nieludzkiej postaci.

Gdyby Żaneta nie spędziła ostatnich dwóch miesięcy w oparach lawendy, nienormalności i Sabiny Piechoty, BHP, to może byłaby przerażona. Może na pewno.

A tak była wkurzona i głównie ją interesowało, czy któreś z jej szefostwa, ewentualnie emerytowanych eksstalkerek, będzie jej szukać i czy znajdzie. Bo jeśli nie, to wyglądało na to, że Żanka będzie musiała uratować się sama.

Zdecydowanie wolałaby, żeby jednak ktoś ją ratował, ale jak się nie ma, co się lubi...

– I co się, kurde, gapisz! – warknęła do Dawida, który dalej wpatrywał się w nią wzrokiem smętnym i dramatycznym. – Wyciągasz mnie siłą na jakąś durną przejażdżkę, grozisz praniem mózgu, podtykasz pod nos durne katalogi i dziwisz się, że dostajesz po mordzie? Nie takim wpierdol spuszczałam, gościu.

Pozostali porywacze, sądząc po podobieństwie jakaś rodzina jej samozwańczego amanta, zerkali niepewnie to na nią, to na niego.

– Ty się, kurde, na drogę patrz! – zgromiła tego przed sobą Żaneta. – Nie dość że mnie poobijaliście, to jeszcze mnie chcecie w wypadku zabić.

– Pięćdziesiątką jadę! – zarzekał się kierowca.

– Jak nie będziesz się przed siebie patrzył, to i przy trzydziestce na latarnię wjedziesz – uświadomiła go Żaneta. Jemu też by przyłożyła, ale nie chciała spowodować nieszczęścia. Na wszelki wypadek nie wypuszczała jednak z rąk katalogu, tego najgrubszego.

– Dawid, ty jesteś pewien, że to ta jedyna? Rodzicom taką przedstawić... – odezwał się niepewnie siedzący obok kierowcy, na oko chyba najstarszy. Miał czuprynę podobnie zwichrzoną jak Dawid plus imponujące bokobrody.

– Rodzicom mnie chcecie przedstawiać, co? – prychnęła Żaneta. – Powiecie: „Cześć, to jest Żaneta, nie chciała sama wsiąść do auta, to ją wsadziliśmy przemocą. Żaneta lubi filmy z Channingiem Tatumem, najbardziej ten o striptizerach, miała kuratora i we wrześniu spuściła taki wpierdol jednej lasce, że jak to strzyga zobaczyła, to ją od razu przyjęła do pracy. A przy okazji, jak porywaliśmy Żanetę, to pobiliśmy starszą panią”? Starzy będą tacy dumni...

– To starsza pani pobiła nas! – sprostował gorliwie ten siedzący za Żanetą, na tylnej kanapie.

Odwróciła się do niego i zmierzyła go pogardliwym spojrzeniem.

– Oj, faktycznie, banda obcych chłopa jej się włamała do domu, a ona ich w samoobronie pobiła, co za straszna baba! – Jej głos ociekał fałszywym współczuciem tak bardzo, że facecik się aż wzdrygnął. I dobrze mu tak. – Jakbyście mieli trochę rozsądku, tobyście mnie teraz wysadzili – dodała,



widząc, że zbliżają się już do ronda w Siechnicach. Wrócę do domu, wy spierdzielicie jak najdalej stąd i wszyscy będą szczęśliwi.

– Nie ma mowy – zaprotestował gwałtownie Dawid. – Nie wiesz, co mówisz, mózg ci wyprali! To przez tych twoich pracodawców. Nic tylko praca i praca, w ogóle nie masz dla mnie czasu! Ale spokojnie, damy sobie z tym radę! Znalazłem sposób!

– Gościu, nie mam dla ciebie czasu, bo mnie nie obchodzisz – uświadomiła go brutalnie Żaneta. – Okej, lubiłam sobie na wykładach na ciebie popatrzeć, ale co z tego, że masz buźkę jak z żurnala, jak osobowość z jakiegoś listu gończego! Na psychola do jakiegoś filmu kryminalnego się nadajesz! Nie, nie do filmu, na czarny charakter w jednym odcinku serialu kryminalnego! I to takiego klasy B – dodała mściwie.

– To okrutne, co mówisz, ale to pranie mózgu przez ciebie przemawia. Już ja cię wyleczę i będziemy razem tacy szczęśliwi – wyjaśnił jej samozwańczy amant, ocierając łzę. Żaneta bez wahania i wyrzutów sumienia przyłożyła mu ponownie katalogiem.

Wjechali właśnie na rondo i knypek na tylnym siedzeniu skorzystał z tego, że dziewczyną zarzuciło, żeby podstępem wyrwać jej katalog.

– To był, kurna, zły pomysł – poinformowała go Żaneta. – Bo teraz to ci przy najbliższej okazji wydrapię oczy.

– Taaa? – Ostentacyjnie podniósł do góry dłoń i jak na kreskówce – plop, plop, plop, plop, plop – wysunął pazury.

I mocno się zdziwił, bo ofiara porwania nie wyglądała na specjalnie przejętą. Żaneta w przypływie wisielczego humoru uznała, że jednak na coś się przydały te wszystkie ataki furii Sabiny i groźenie praktykantce straszliwą śmiercią. Po tym jak widziała strzygę w fazie... przejściowej, jakiś dziubdzius z wyrastającymi szponami mógł jej podskoczyć.

– Idź se na manikiur – poradziła mu. – Bo ci się skórki zadzierają.

Olała to, że zapienił się z oburzenia, i zaczęła wyglądać przez okno. Na rondzie skręcili w lewo. Na pewno nie jechali do centrum Wrocławia. O ile Żaneta się orientowała, musieliby skręcić na Bielany. Zatem chyba na lotnisko? Zaczęła mieć lekkie obawy, że ją na przykład spróbują wywieźć za granicę, ale zaraz się uspokoiła. Nie tak łatwo było kogoś wsadzić do samolotu. Jeśli faktycznie planowaliby ją przetransportować poza granice Polski, to już prędzej autem.

Chociaż bardziej prawdopodobne było, że zamierzają ją zabunkrować

gdzieś w okolicy. Szybko okazało się, że ma rację, kierowca skręcił z obwodnicy w uliczki obudowane niewielkimi, parterowymi domkami. W ciemnościach, rozświetlonych tylko blaskiem ulicznych latarni, wyglądały jak z jakiegoś horroru, jakby spomiędzy nich miało zaraz coś wybiec.

Tylko że o ile Żanecie było wiadomo, potwory siedziały z nią aacie. A pomiędzy drzewami to mogły być roślinki i zwierzątka podatne na jej borowe moce. Nie obraziłaby się za pasiekę uli. Albo gniazdo szerszeni. W zasadzie stado kretów wykopujących ekspresowo dziury pod nogami wroga też byłoby okej. A już szczytem marzeń była rosiczka. Najlepiej taka przerośnięta – Żanka widziała taką kiedyś w telewizji. Zarąbista roślina i taka pożyteczna...

Busik zatrzymał się na podejździe jednego z domków. Żaneta pospiesznie omiotła spojrzeniem okolicę, szacując szansy na ucieczkę. Ulica była pusta, ale w oknach sąsiednich domów paliły się światła. Pytanie tylko, kto był w środku. Bo jak takie pazurzaste paszczaki jak jej porywacze, to nie miała co liczyć na ratunek.

Trawnik przed domem nie był otoczony płotem, co stanowiło plus – zawsze to jedna przeszkoda mniej do pokonania. Ciemności dziewczyny nie przerażały, nie miałyby nic przeciwko, by raz-dwa dać nogę w mrok, ale porywacze mogli mieć niestety przewagę w pościgu...

Jej rozmyślenia przerwał Dawid, otwierając od środka przesuwane drzwi. Sam wysiadł i zaczął ciągnąć Żanę za ramię, zmuszając, żeby też wysiadła, a ona po raz pierwszy od chwili porwania poczuła, że nie, nie ma opcji, prędzej sczeźnie, jej noga na tej ziemi nie postanie, nie w miejscu gdzie powietrze pachniało chorobą, gdzie zapach plagi płynął z wnętrza domu, wnikał w glebę, w wody gruntowe, w trawę i liście drzew...

– Nie! – wrzasnęła tak głośno, że sama siebie ogłuszyła.

Siedzący z tyłu facet był najbliżej i jęcząc boleśnie, złapał się za ucho, upuszczając jednocześnie katalog ślubny na siedzenie obok Żanety. Załapała od razu makulaturę i bez żadnych wyrzutów sumienia przyłożyła mu na odlew w to ucho. Wrzasnął i schował się za oparcie jej siedzenia.

Nie zdołała sięgnąć katalogiem do Dawida, więc bez wahania rzuciła w niego grubą księgą, mając nadzieję, że trafi go grzbietem – zasłużył sobie, dupek.

Ogarnięta coraz większą paniką wtuliła się w ściankę busa, podkulając nogi pod siebie, żeby na pewno nikt nie zdołał złapać za nie i wyciągnąć. Nie

było opcji, żeby wyszła na... na to paskudztwo!

Coś ukłuło ją w biodro. Amulet! Nosiła go w kieszeni dzinsów. W zasadzie nie miała pojęcia, co on robi i czy faktycznie przed czymś chroni. Nie uratował jej w końcu przed porwaniem. Ale zrobiła go Sabina Piechota, więc do czegoś na pewno się nadawał... Choćby do walki wręcz.

Wyciągnęła amulet i wysunęła go przed siebie, zaciskając palce wokół metalu.

– Ani kroku bliżej, bo pożałujecie! – wrzasnęła, może trochę piskliwie.

– Weź, laska, nie rób scen – powiedział pobłaźliwie ten z bokobrodami i pochylił się, żeby ją siłą wyciągnąć z auta. Żaneta bez wahania sprzedała mu kopa prosto w nos, a potem poprawiła trzymanym w dłoni amuletem w skroń. Trysnęła krew.

– Andrzej! – Dawid się przestraszył.

Zakrwawiony, oszołomiony Andrzej zrobił dwa kroki w tył i z impetem usiadł na trawie. Mrugał nerwowo i nerwowo pocierał te swoje zakrwawione bokobrody.

– O ja pierdołę, ja już nie będę – powiedział z przekonaniem. – Już nie będę! Już nie będę! Niech to przestanie! – Zaczął szarpać się za włosy.

– Coś ty mu zrobiła?! – wydarł się kierowca, z przejęciem próbując jakoś powstrzymać zaczarowanego nieszczęśnika.

– Za cholerę nie wiem, ale zasłużył – warknęła Żaneta. – Jak któryś będzie na tyle durny, żeby podejść do auta, to go spotka to samo – blefowała, ale miała nadzieję, że oni o tym nie wiedzieli.

Niestety, postanowili ten blef sprawdzić. Kierowca zostawił dramatyzującego Andrzeja i podszedł do busa. Ledwie dotknął ramy od drzwi, rąbnęło go jakby wyładowanie elektryczne i odrzuciło na dwa metry. Trochę się dymił, jak zbierał się z trawnika.

Żaneta pozwoliła sobie na pełen satysfakcji uśmiech. Artefakty magiczne ze znakiem jakości Piechoty nie zawodziły.

– I co, będziesz tak siedzieć w busie? – zapytał ten, który wcześniej siedział na kanapie za nią.

Trochę racji miał, byli w impasie. Cztery potwory... wilkołaki! Przypomniała sobie, Marciniakowa powiedziała, że to wilkołaki! No więc cztery wilkołaki na zewnątrz i ona w środku, w busie, niestety, bez kluczyków w stacyjce. Nie umiała odpalać auta na kabelki.

– Mogę odjechać, jak oddacie kluczyki – oznajmiła wspaniałomyślnie.

- Chyba cię pogięło.
- To w takim razie nie wyjdę, będę tu siedzieć!
- I niby ile tak wytrzymasz? – prychnął kierowca. Jeszcze mu się trochę dymiło z uszu.
- Aż przyjdzie ratunek.
- Co ty, w księcia na białym koniu wierzysz? – zakpił ten z tylnej kanapy.
- Nie. W Sabinę Piechotę, BHP – oznajmiła z mściwą satysfakcją Żaneta.
- W beemce.

## 19. Czwartek ciąg dalszy

– Zabierz jej, zabierz jej z ręki nóż – zachęcił Piasek.

Piotrek nie zamierzał. Po pierwsze, Sabina noża nie miała, tylko zęby w gębie, a obie ręce na kierownicy, po drugie, nawet gdyby planowała użyć ostrego narzędzia, to nie był na tyle głupi, żeby stawać jej na drodze.

Co więcej, aktualnie potencjalne użycie przemocy wręcz popierał.

– Sabino, to jest wyjątkowo niepokojące – powiedział. Trzymał w dłoniach telefon Żanety i w imię ratowania jej życia, zdrowia i wolności dokonywał oburzającego i karygodnego naruszenia prywatności dziewczyny, to jest czytał jej wiadomości, chociaż w ramach zachowywania namiastki przyzwoitości starał się grzebać tylko w tych dotyczących Dawida Bogdanka.

– No ja myślę – zgodziła się Sabina, prując w stronę Wrocławia. – Praktykantkę nam porwali!

– Nie o tym mówię, to znaczy o tym też, ale te wiadomości do tego osobnika... Nie chciałbym diagnozować zdalnie na podstawie tego, co wypisywał do Żanety, ale sprawia wrażenie głęboko zaburzonego. Z całą pewnością w dość szybkim tempie nabawił się obsesji na jej punkcie i jest przekonany, że coś ich łączy... To mi przypomina, co Kacper mówił o tym wilkołaku, któremu zaszкодziła wycieczka do Lubszy. Ludmiła mówiła, że te odpady mogą ze sobą wchodzić w interakcje i powodować różne skutki uboczne. A według Kacpra ten wilk z Wrocławia dostał ostrej fiksacji na punkcie życia w zgodzie z wilkołaczą naturą i uczynił narzeczoną elementem tej fiksacji...

– Słucham?

– Trzymaj się drogi! Najwyraźniej to zaraźliwe jest, ten wilk z Lubszy dostał obsesji na punkcie natury i wkomponował w urojenia swoją narzeczoną. Dawid z kolei być może również na punkcie natury i Żanety...

– Po pierwsze, jakoś nie widzę, żeby skażenie magiczne było zaraźliwe. Odpad biologiczny, proszę bardzo, ale alchemiczny? Nijak. Chyba że się razem w odpadkach tarzali albo zabrali sobie do domu jakiś patyczka do zucia.

– Patyczka do domu?

– No, jak to pieski. Poza tym Żaneta się z żadnym Dawidem nie prowadziła – poinformowała Sabina.

– Skąd wiesz?

– Z jej Fejsbuka. Parę miesięcy temu był jakiś Paweł, a potem długo, długo nic, w zasadzie aż do dziś.

– Dziś jej Fejsbuk pisze, że niejaki Dawid Bo ustawił sobie status, że jest z nią w związku.

– Odrzuć szczyłowi opcję – zaproponowała Piechota. – Niech go skręci.

– Generalnie to podzielam twoje zdanie, ale nie będę Żanecie wykonywał działań na jej profilu. Jak będzie chciała go po wszystkim odrzucić i zbluzgać, to może to zrobić samodzielnie.

– A jeśli ta magiczna zaraza się przenosi i zastaniemy ją rozkochaną w tym Dawidzie, to trzeba będzie zrobić kontrporwanie – orzekła jego współniczka.

– Przecież jej nie zostawimy ze świrem. Trzeba będzie ją porwać, udzielić pomocy psychologicznej i potem niech robi, co chce. Nie mam kombinezonów w aucie, ale rękawiczki i maseczki są.

– Po co ci one?

– A chcesz się szajbą zarazić?

– Nie. Masz absolutną rację – zgodził się Piotr. – Ale mam nadzieję, że nie będziemy musieli robić kontrporwania, tylko sam ratunek. Na pewno dasz sobie radę z wilkołakami? Ich tam może być więcej...

Sabina prychnęła.

– Strzyga przebija wilki, zawsze. A jak będzie bardzo źle, to odpal, proszę, na nich ten swój magnetyzm seksualny, będzie „make love not war” i z głowy.

– Wolałbym nie – zaznaczył stanowczo Strzelecki. – Jakby nie patrzeć, jedziemy ratować ofiarę niechcianych awansów o naturze, mam nadzieję, wyłącznie romantycznej. Naruszanie czyjejś wolności emocjonalno-seksualnej w ramach zasady „oko za oko” mi nie leży. Nie możesz ich po prostu pobić?

Sabina łypnęła na niego kątem oka.

– Zamierzam – poinformowała. – I, zaznaczam, to jest plan A, plan B i plan C. Jak całkiem zawiodą, to wtedy uruchamiamy plan D i uruchamiamy inkubskie moce. Pasi?

Piotr rozważył temat.

– Generalnie nie do końca, bo wolałbym tego uniknąć, ale jeśli w grę

wchodzi dobro Żanety, to zdecydowanie powinniśmy korzystać ze wszystkich dostępnych środków, aczkolwiek w ostateczności.

– Serio? – upewniła się Sabina. – Bo generalnie to wolałabym mieć ten plan D w odwodzie, ale nie spodziewałam się, że się zgodzisz.

– Przemyślałem sobie ostatnio parę kwestii – przyznał Strzelecki. – Przez tę sprawę z mamą... Rozważam wersję, że może wyparcie nie jest najlepszą strategią i należałoby spróbować czegoś w stylu otwarcia i akceptacji.

– Grubo – oceniła Piechota.

– Owszem. Ale tym się będę zajmował jutro, na razie ratujemy praktykantkę.

– Ratujmy! Zadzwoń jeszcze do Wilczka.

– Po co? Nie zdąży dojechać z Opola, musielibyśmy na niego poczekać.

– Bardzo dobrze, że nie zdąży – orzekła Sabina. – Ale tak mi się pomyślało odnośnie do tego, co powiedziałaś pani Ludmile o pijarze. Wiesz, żeby wszystko dobrze wyglądało i nie było konfliktów. Chcemy odbić Żanetę, ale wojna z wilkołakami byłaby do dupy. Rozumiesz, stado wilków to nie problem. Problem jest taki, że w przyszłym tygodniu mam drugą część szkolenia dla druidów i ocenę ryzyka na Skarbimierzu, i audyt BHP w Godzikowicach i zwyczajnie nie mam gdzie wepchnąć ewentualnego mordobicia z watahą, która przyjedzie pomścić tę, którą dziś zmasakruję. A przyjedzie na sto procent, to są zwierzątka stadne, wyznają zasadę: bić to my siebie nawzajem, a nie nas.

– I Wilczek ci pomoże to mordobicie przełożyć? – westchnął boleśnie Piotr.

– Pomoże mi go uniknąć! – Piechota uśmiechnęła się szeroko. – Nie patrz na mnie z takim niedowierzaniem, serio, nie mam czasu ani w tym tygodniu, ani w zasadzie do końca roku.

– Chciałbym być pod wrażeniem twojego podejścia...

– To bądź.

– Ale motywację masz trochę... niewłaściwą.

– To jest moja motywacja i wara od niej. To nie po coachingowemu. Dzwon do Wilczka i dawaj go na głośnomówiący.

Strzelecki posłusznie wykonał polecenie.

– Znaleźliście tę swoją laskę? – Kacper odebrał po pierwszym sygnale.

– Za piętnaście minut znajdziemy – zapewniła go Sabina. – Prawdopodobnie ją młody wilkołaczek porwał z miłości, masz jakieś zdanie

na ten temat?

– Czasami tak jest – przyznał Wilczek. – Poczujesz czyjś zapach i po prostu wiesz, że to jest, no, miłość od pierwszego sztachnięcia po prostu. I wtedy to chyba normalne, że za tą miłością gonisz.

– Większej bzdury chyba w życiu nie słyszałam.

– Ej! – warknął policjant.

– To, że ci coś ładnie zapachnie, nie oznacza, że od razu masz to zeżreć, wiem o tym najlepiej. Babcia mi zawsze powtarzała, że głowa jest od myślenia, a żołądek od napychania. Poza tym młodemu prawdopodobnie zaszkoziło magicznie skażone środowisko. Wychodzi na to, że się pod tą Lubszą tarzali na nielegalnym wysypisku magicznym i złapali jakieś świństwo.

– Kurde, myślisz, że to zaraźliwe jest? – przestraszył się Wilczek. – Ja się z nimi spotkałem!

– A żułeś u nich jakieś drewno?

– Co?

– Gryzłeś z nimi patyczka?

– Nie, piłem colę w maku...

– To luz, raczej się nie załapiesz, o ile oczywiście moja teoria jest prawdziwa. Bo obstawiam, że to się nie przenosi z nieлюдzia na nieлюдzia, tylko ze skażonego przedmiotu na podmiot żywy – uspokoiła go Sabina. – Ale teraz mnie słuchaj. Za piętnaście minut odbiję moją praktykantkę z łap bandy wilkołaków znajdujących się prawdopodobnie pod wpływem czegoś à la magiczne środki psychotropowe...

– Czego?! – jęknął Wilczek.

– No i nie cieszysz się teraz, że nie żarłeś patyczka? Na pewno się cieszysz – podsumowała Sabina. – Ale wracając do tematu. Odbiję moją praktykantkę. Mogą być ofiary i z zabezpieczeniem miejsca masakry to sobie poradzimy...

– Nie chciałem tego wiedzieć...

– Ale ja serio nie mam czasu na to, żeby mi potem jakieś stada przyłąziły pomścić swoich braci, kumasz?

Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza.

– Albo niech się zapiszą na... luty w zasadzie, albo niech sobie odpuszczą, bo ja mam naprawdę zapchaną końcówkę roku – kontynuowała Sabina.

– Najgorsze jest to, że ja to sobie mogę totalnie wyobrazić... – powiedział po dłuższym milczeniu Wilczek. – Dobra, to ja dzwonię do dziadka



i tłumaczę, że oni zaczęli. Niech rozpuszcza wici.

– Dzięki! – Sabina dała znać Piotrowi, żeby przerwał połączenie. – I co? – zapytała współnika.

– Masz bardzo ekologicznie wysmartowany cel – oznajmił łaskawie Strzelecki.

Piechota rozpromieniła się cała i dodała gazu.

– No wiesz, jak łowcy już rezygnują z polowań, to głupio byłoby się tak powyrzynać nawzajem... w większym stopniu, niż trzeba...



Impas trwał. Żaneta siedziała skulona na środkowej kanapie busa, obejmując kolana, ściskając amulet i marznąc.

Kurtkę straciła w walce w Brzezynie, a amant najwyraźniej był zdania, że wystarczą jego gorące uczucia i do busa wrzucił ją bez odzieży wierzchniej. Żaneta zwyzywałaby go od zboków, ale jej odzież spodnia, dobrana na misję „transport cusia” składała się z kalesonów, odrobinę za dużych džinsów i dwóch grubych swetrów. Ale i tak przydałaby się jeszcze chociaż jakaś kurteczka...

Ogłuszonego Andrzeja jeden z porywaczy zaprowadził do ładnego, zgrabnego parterowego domku, żeby ranny sobie odpoczął, a przynajmniej przestał zawodzić na środku ulicy.

Żaneta nie była z tego zadowolona – zawodzenie było wkurzające, ale przynajmniej istniała szansa, że kogoś zwabi albo rozproszy wilkołaki. Bo ona, owszem, trwała w busiku, a oni twardo poza. Najbardziej zaangażowany w to wystawanie jak słup był oczywiście Dawid, ale dwaj pozostali, mimo że jakby mniej przekonani do całej sprawy, dzielnie i bezsensownie trwali przy jego bokach.

Najgorsze było, że przez tę nienaturalność, która zanieczyściła glebę i powietrze, Żaneta nie mogła nawet liczyć na swoje borowe moce. Kleszcza nie była w stanie wyczuć i namówić, żeby Dawidka w dupę użarł.

Mogła tylko czekać i mieć nadzieję, że Sabina faktycznie jej jakimś cudem na ratunek przyjedzie. I denerwującą pewnością, że jeśli strzyga się nie pojawi, to ona, Żaneta Wawrzyniak, będzie musiała uratować się sama. A nie miała pojęcia jak.

Z daleka dobiegł szum silnika samochodowego. Wilki nadstawiły uszu, Żaneta też. Nie znała się na napędach aut, ale beemka była chyba głośniejsza...

Faktycznie, zaraz na ulicę wjechał nieduży fioletowy fordzik na opolskiej rejestracji, z jakąś laską za kierownicą. Laska zaparkowała naprzeciwko domu wilkołaków, ale nie wysiadła.

Żanecie auto wydało się znajome, osoba w nim też. W świetle latarni nie widać było jej twarzy, tylko błysk rudych włosów. Kurczę, czy to mogła być ta, jak jej tam, Kinga? Ta, której Żanka i Pati przyłożyły w parku?

Wilkołaki się trochę stropiły. Ten, co wcześniej kierował busem, zaczął się nerwowo drapać po karku, ten, który siedział za Żanetą, rzucać nerwowe spojrzenia w stronę domu. Dawid za to był zniecierpliwiony, jakby mu ta jednoosobowa publiczność była wyjątkowo nie w smak...

Żaneta błyskawicznie podjęła decyzję. Raz się żyje, „no risk, no fun” i teraz albo nigdy. Jeśli to nawet miałyby być ta Kinga i nawet jeśli chowała jeszcze urazę, to przecież zachowa się chyba jak człowiek i nie zostawi Żany z bandą psycholi? Wskoczyła z auta, rzuciła w Dawida amuletem i ruszyła biegiem do forda.

Wilkołaki odskoczyły jak oparzone, gdy kawałek metalu poleciał w ich stronę, i Żanecie udało się uzyskać tę odrobinę niezbędnej przewagi, potrzebnej by dopaść małego auta.

Gdy już łąpała za klamkę, przemknęło jej przez głowę, że jeśli ta laska zamknęła się od wewnątrz...

Na szczęście drzwiczki dało się otworzyć. Żaneta wpadła na siedzenie pasażera, zatrzasnęła za sobą drzwi i pstryknęła zamkiem centralnym. Dopiero potem spojrzała na kierowcę. Faktycznie, to była Kinga. Jak zwykle spod igielki, w kostiumiku, z makijażem jak z okładki i jakimś dziwnym błyskiem w oku.

– Jedź – wychrypiała Żaneta. Zero reakcji. – JEDŹ! – ryknęła.

Kinga siedziała jak rzeźba z marmuru.

– To ja im powiedziałam, gdzie cię znaleźć – wypaliła nagle. – Pisali na Fejsie na fanpage’u Ewa’s Events. Bo jesteśmy ze Skarbimierza. Chcieli wiedzieć, czy cię może znamy i czy wiemy, gdzie cię znaleźć. Napisałam im, że bywasz w Siedlisku.

– A skąd ty o tym w ogóle wiedziałaś?

– Śledziłam cię. Was właściwie...

Żanetę zmroziło. Tego tylko jej brakowało... Wilki otaczały już auto, a Kinga, kolejna stalkerka, dalej nie ruszała ani autem, ani sobą. Przynajmniej nie próbowała też drzwi otworzyć, bo jeśliby sięgnęła do klamki, to zarobiłaby z plaskacza jak nic... Wawrzyniak spróbowała stłumić panikę, wziąć głęboki oddech i mimo tego okropnego czegoś, co przytłumiało naturę, poczuć ziemię, powietrze... rośliny. Co za beznadziejna pora roku, parę miesięcy wcześniej mogłaby nakazać drzewom, żeby im owoce na łeb zrzuciły, a teraz drzewa nawet nie miały liści.

Sytuacja była, łagodnie mówiąc, nieoptymistyczna.

– Ale myślałam, że najwyżej może cię zabiją – ciągnęła dalej Kinga, bardziej mówiąc do siebie niż do Żanety.

Wawrzyniak otworzyła usta i zaraz je zamknęła. Bo co miała odpowiedzieć? „Nie no, luz, myślałaś, że mnie zamordują, więc dałaś im na mnie namiar”.

– Wszystko się popierdoliło – westchnęła ruda.

– No co ty nie powiesz... – skomentowała Żaneta, bo nie mogła się powstrzymać. Wilki były już bardzo blisko, krążyły wokół samochodu jak wokół ofiary.

– Chciałam tylko sobie dorobić, wiesz? – ciągnęła Kinga. – Łatwa, dodatkowa kasa, małe nielegalne wysypisko w lesie. Najpierw po prostu tam wyrzuciłam resztki ze swoich rytuałów, bo w domu mi mrugały i szeleściły po nocach. A potem on mnie znalazł i zaproponował współpracę... Tylko że to nie jest żadne „współ” – dodała gorzko. – Ja się przejmuję, staram się pilnować sytuacji, trzymam rękę na pulsie, patrzę, co te wilki robią... A gość ma to gdzieś. Jak nic mnie już spisał na straty i cały ten biznes i eksperyment też. Generalnie to mam przewalone. Albo on mnie dopadnie, albo Ewa się wkurzy, albo ta twoja Sabina...

– Albo cię wilki we Wrocławiu zjedzą i twoje problemy się naprawdę skończą! – wrzasnęła Żaneta.

Kinga dopiero wtedy jakby oprzytomniała i rozejrzała się wokoło. Porywacze Wawrzyniakówny otaczali auto ze wszystkich stron. Ślepią błyszcząły w ciemnościach, a światło latarni obijało się od białych kłów...

Ruda jednym szybkim ruchem przekręciła kluczyk w stacyjce i wbiła wsteczny. Coś trzasnęło i dach forda ugiął się nagle pod ciężarem wilkołaka, który na nim wylądował. Drugi, nie bacząc na to, że Kinga zaraz będzie ruszać, szarpnął za drzwi pasażera i mimo blokady zdołał je otworzyć...

I wtedy właśnie, z idealnym wyczuciem czasu, piskiem opon i zarzucając kufrem na zakręcie, na ulicę wpadła beemka Sabiny.

Żaneta pomyślała, że jeśli tak dalej pójdzie, to zacznie żywić autentycznie ciepłe uczucia wobec swojej szefowej. Wilki zaprzestały demolowania forda i nastawiły uszu.

Beemka stanęła gwałtownie na środku ulicy, ze dwa metry od auta Kingi. Wysiadła z niej Sabina Piechota, BHP, w całej swojej mrocznej krasie ogromnej czarnej puchówki, która sprawiała, że szefowa Żanety wyglądała jak błyszcząca gotycka poczwarka. Strzyga zamknęła drzwi od auta i uśmiechnęła się, szeroko, zębato i nieprzyjaźnie.

Od strony pasażera wysiadł skupiony Piotr, który nie uśmiechał się wcale, ale od razu zaczął z niepokojem szukać wzrokiem Żanety. Gdy ją wreszcie dojrzał w fordzie, na jego twarzy odmalowała się ulga.

Z nieba zaczął padać śnieg, delikatnie, lekko lśniąć w świetle latarni. Sabina pisnęła ze szczęścia i zaklaskała w dłonie. Wilkołaki, dotąd obserwujące w milczeniu przyjezdnych, teraz spojrzały na nią całkiem podejrzliwie.

– Rzeź w śniegu to jest moja piąta ulubiona fantazja – wyjaśniła im tonem konwersacyjnym strzyga, uśmiechając się maniakalnie. – Odkąd obejrzałam Kill Billa. Ale będziemy musieli poczekać jeszcze z parę godzin, żeby go więcej napadało – dodała rzeczowo, zadzierając głowę i wpatrując się w niebo.

– Niunia... – zaczął nieprzyjaźnie i protekcyjnie kierowca busa i nagle znieruchomiał, pociągając gwałtownie nosem.

Sabina uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– BU! – powiedziała.

Wilkołaki aż podskoczyły. Piotr zajął miejsce o pół kroku za Sabina.

– Uwolnijcie Żanetę – oznajmił stanowczo. – A nikomu nie stanie się krzywda.

Piechota rzuciła mu zawiedzione spojrzenie.

– Nie ma mowy, my się z Żanetką kochamy – rzucił buńczucznie Dawid.

– Wcale że, kurde, nie! – wrzasnęła ukryta w fordzie Żaneta, chcąc uświadomić swojemu szefostwu, jak się sytuacja ma.

– Będziemy się kochać, jak tylko będzie pełnia, i rytuał odprawię! – odwrzasnął jej zdenerwowany Dawid.

– Nikogo nie kochasz, nażuć się skażonego drewna i dostałeś pierdolca –

uświadomiła go Sabina. – Może się teraz oduczycie latać po lesie i brać do gęby, co popadnie. Kupcie sobie gryzaki w sklepie zoologicznym i dezynfekujcie, jak normalni nieładzie, zgodnie z zasadami BHP!

– Co? – zainteresował się kierowca busa. Kręcił głową jak na meczu tenisa, patrząc to na potupującą w miejscu w takt niesłyszalnej melodii Piechotę, to na spokojnego i śmiertelnie poważnego Strzeleckiego.

– Mamy powody przypuszczać, że w okolicach Lubsza jest nielegalne składowisko odpadów magicznych – wyjaśnił Piotr. – I prawdopodobnie weszliście z nimi w kontakt. Zaburzają wam percepcję i trochę od tego wariujecie.

– Bzdura! – oburzył się Dawid. – Ja czuję, że Żaneta jest tą jedyną! Ten nos nie kłamie! – Wskazał na swoją twarz.

– Ten nos jest terenem skażenia magicznego – oznajmiła natychmiast Sabina. – Serio, sklep zoologiczny i płyn do dezynfekcji! Jak wyście w ogóle przetrwali, biorąc do gęby, co popadnie?

– Trochę to by miało sens... – Ten, który wcześniej siedział z tyłu, pogładził się z namysłem po brodzie. – Bartek się tam w sumie w czymś tarzał i zabrał ze sobą kijka do domu. Dawid mu go chyba podgryzał...

– To nieprawda! – wydarł się młody wilkołak. – My jesteśmy sobie przeznaczeni!

– W żadnym, kurde, razie! – wrzasnęła z forda Żaneta. – Żadnych przeznaczeń, żadnych miłości, spuście im już ten wpiedol i wracajmy do Brzegu!

– Nie oddamy Żanety! – zakrzyknął bojowo Dawid i morderczym susem rzucił się na Strzeleckiego, a raczej próbował to zrobić. Sabina była szybsza. W jednej chwili znalazła się pomiędzy nimi, złapała chłopaka za kark i cisnęła nim na stojącego po drugiej stronie ulicy busa, wgniatając karoserię.

Dawid osunął się na asfalt.

– O kurła...! – jęknął jeden z pozostałych wilkołaków.

– Nic mu nie będzie. Twardą głowę ma, to rodzinne.

– A jelitka miękkie – podsunęła usłudźnie Piechota, wyginając palce, aż jej w stawach strzeliło.

Drugi wilkołak niepewnie zrobił krok w jej stronę.

– Zacziesz z nami, to pożałujesz.

– Wy pożałujecie – wytknęła mu Sabina.

– Inne wilki ci nie odpuszczą.

– Wam to już i tak nie będzie robić różnicy, a poza tym w przypiływie natchnienia podjęłam działania, żeby konsekwencje ewentualnej rzezi były w miarę mało problematyczne, albo przynajmniej odległe w czasie... – oznajmiła, po czym nagle wyciągnęła z kieszeni telefon, obróciła się na pięcie i strzeliła fotkę willi wilkołaków. Potem uśmiechnęła się szeroko i zębato. – O RODO słyszeliście? Bo tam, pod strzechą, macie, pieseczki, monitoring. I ten monitoring jak nic obejmuje ładny kawałek drogi publicznej, a nigdzie nie widzę tabliczki z informacją i danymi administratora danych. I teraz albo nam ustąpicie, albo zaraz się na was do UODO poskarżę.

Wilkołak uczynił ruch, jakby chciał jej wyrwać telefon. Sabina prychnęła wzgardliwie, kliknęła coś i schowała komórkę do kieszeni.

– Wysłałam to sobie na chmurę, głupek – poinformowała. – Ale nie krępuj się, spróbuj mi rozerwać gardziółko. A skoro już przy gardziółkach jesteśmy, to dobrze wiecie, że nie macie ze mną szans. Sami zaczęliście, więc raczej bracia wilcy nie będą ochoczo się rzucali, żeby was pomścić. Teraz to jeszcze was mogę do urzędu zgłosić. To jak będzie?

– Magiczne zanieczyszczenie, mówisz? – zapytał z namysłem kierowca busa.

– Sprawdźcie sobie. Lokalna łowczyni nam znalazła. Jak jej powiem, że roznieśliście ten szajs na dwa województwa, to ją szlag trafi i przyjedzie tu z artylerią.

– Jak się okaże, że ściemniasz...

– Nie ściemnia. – Żaneta wyleciała z auta jak z katapulty i zajęła bezpieczne miejsce za plecami strzygi. – Ona to samo mówiła! – Wskazała oskarżycielsko palcem na wciąż siedzącą za kierownicę Kingę.

Wilki zaraz się nią zainteresowały, Sabina przechyliła głowę, żeby zobaczyć, kto siedzi w aucie.

– Co tu robi chomik Ewci? – zdziwiła się.

– Śledzi mnie!

Piechota uniosła brwi.

– Przewalone, pół Brzegu się na tobie zafiksowało i jeszcze na dochodne futrzaki z Wrocławia... Ja ci na to amulet zrobię. I idź może do Ludmiły albo do Agnieszki na jakieś lekcje samoobrony...

– Ale ona mnie śledzi z powodu tego nielegalnego wysypiska!

Sabina odwróciła się gwałtownie, jak jastrząb w stronę Kingi. Ford nagle ryknął silnikiem i ruszył, tak że jeden z wilkołaków ledwie zdążył uskoczyć

z drogi. W pięć sekund po rudej nie było śladu.

– Co się odwlecze, to Ewcia nie odpuści – rzuciła sentencjonalnie Sabina i odwróciła się ponownie do wilków. – To na czym stanęliśmy?

– Na tym, że może nie ściemniasz – powiedział ponuro wilkołak.

– No, a jak coś, to mnie znajdziecie wilczym węchem albo po prostu wygooglujecie i wrócimy do punktu wyjścia – podpowiedziała strzyga i się wyszczerzyła. – I może wtedy już będzie śnieg!

– No dobra, spadajcie – oznajmił łaskawie wilkołak.

– Co ty? – zdziwił się jego kompan.

– Andrzej w szoku, twój brat wypadł z gry, a to, co ona mówi, ma więcej sensu niż nawijka Dawida. Z tym rytuałem i całym zmuszaniem laski, żeby się w nim rozkochała, to trochę popłynął. Trzeba go może było nie słuchać... Zresztą chcesz się ze strzygą za bary brać? Serio?

Drugi wilkołak obrzucił niechętnym spojrzeniem Sabine, od czarnych kozaczków rozmiar trzydzieści osiem przez długą puchówkę po czerwoną czapkę.

– Pierdołę, zginąć zawsze zdążę. – Splunął na ulicę. – Chodź, sprawdzimy to zanieczyszczenie i spróbujemy je zneutralizować.

– Chwileczkę – odezwał się milczący przez ostatnie kilka minut Piotr. – Co mamy rozumieć przez „zmuszanie laski, żeby się w nim rozkochała”?

– Chcieli mi rytualne pranie mózgu zrobić – wyjaśniła wciąż schowana za plecami szefowej Żaneta. – Że niby jak jakiś rytuał odprawia, to się w tym dupku zakocham i wszystko będzie tak, jak on chce.

– Sabino – odezwał się spokojnie Piotr. – Zabierz Żanetę do auta. Czas na plan D.

– Ta jest! – Strzyga odwróciła się na pięcie, ujęła praktykantkę pod ramię i zaczęła prowadzić w stronę beemki.

– Jaki plan D? – zapytała zdezorientowana Żanka, oglądając się na Strzeleckiego, który jakby... migotał? Oba wilkołaki wpatrywały się w niego jak urzeczone.

– Wasz kolega może się usprawiedliwiać, że był pod wpływem skażenia magicznego – mówił tymczasem do wilków Piotr. – Ale wy, w pełni władz umysłowych, podjęliście decyzję, żeby mu pomóc w realizacji planu, który miał na celu naruszenie nietykalności psychicznej i fizycznej tej dziewczyny. Będzie nieetyczne, ale bardzo pedagogiczne, jeśli poczujecie na własnej skórze, dlaczego to był paskudny plan.

Wilki, wpatrzone w niego jak zębate cielęta w malowane brokatem wrota, pokiwały entuzjastycznie głowami.

– Co on robi? – zapytała zaszokowana Żaneta, wsiadając na tylne siedzenie beemki.

– Używa swoich mocy, żeby głębom uświadomić, że zgoda jest sexy, czy jakoś tak. – Sabina zamknęła za nią drzwiczki i sama zajęła miejsce za kierownicą.

– Oni tańczą „kaczuszki”!

– Wszystko by dla niego w tej chwili zrobili, to inkub przecież! – Piechota wzruszyła ramionami. Otworzyła schowek i wyciągnęła krówki.

– Ja pierdołę, a ja myślałam, że to ty jesteś ta niebezpieczna... – jęknęła z podziwem Żaneta.

– No bo jestem, tylko inaczej – wytknęła z lekką urazą Sabina. – Krówkę? Mało mam, ale w drodze powrotnej coś kupimy.

Żaneta oderwała pełen fascynacji wzrok od kompromitujących się wilków i odwróciła się do swojej szefowej.

– Czy to znaczy, że już wracamy? – zapytała zaskoczona. – Tak po prostu? Już po sprawie?

– Argumenty totalne plus aspekt edukacyjny – rzekła z satysfakcją behapówka, sprawdzając coś na ekranie telefonu. – Patrz i ucz się. Ale to możesz jutro, teraz wracamy do Brzegu, Marysia właśnie napisała, że zwodowali cusia i on nie pójdzie spać, bo się o nas martwi.



Jakimś cudem żaden patrol się nie napatoczył i nie zatrzymał Kingi za jazdę autem z niedomkniętymi drzwiami. Cholerny wilkołak uszkodził je na amen, będzie musiała oddać wóz do warsztatu.

Jeśli oczywiście przeżyje na tyle długo, żeby w ogóle jeszcze kiedyś auta potrzebować.

Co jej w ogóle strzeliło do głowy, żeby jechać za tymi wilkami i Żanetą, trzeba im było dziewczuchę zostawić. A ona, głupia, nie dość że pojechała za nimi, to jeszcze pchana jakimś głupim impulsem wpakowała się w sam środek... wszystkiego. I na pewno powiedziała o dwa słowa za dużo. Albo nawet o trzy. Trzydzieści!



Musiła uciec, schować się gdzieś, zanim znajdą ją wszyscy. Ta okropna Sabina – za wysypisko. Ewa – za działanie Sabinie na nerwy i psucie biznesu ślubnego. I ten, najgorszy ze wszystkich... On.

Drżącymi dłońmi wyciągnęła z torebki klucze od mieszkania i próbowała trafić nimi w zamek. Nagle tuż za sobą poczuła coś, jakby ruch powietrza, odwróciła się i pod ścianą, w miejscu gdzie jeszcze przed chwilą niczego nie było, stał on.

Zaskomlałyby ze strachu, ale nagle odebrało jej głos.

– Pani Kingo – powiedział tym swoim uprzejmym, zimnym tonem. – Byłem pewien, że rozstrzygnęliśmy sprawę pani dyskrecji.

Kinga poczuła, że chce krzyknąć, ale nie może, coś trzyma ją za gardło i nie puszcza, nie pozwala uciec, ogarnia całą. Przez myśl jej jeszcze przeszło, że w zasadzie to sprawę rozstrzygnęli.

Ostatecznie.

## 20. Piątek

Był piątek.

Sabina Żanety nie zabiła, ba, zasadniczo to uratowała jej życie. Wolność. Coś. Szurnięte babinki już jej nie stalkowały. Piotr obiecał pożyczyć jej renówkę na dojazdy na studia.

Piękny Dawid był szurniętym wilkołakiem i miał wydany przez Sabinę zakaz zbliżania się do Żany na mniej niż kilometr. Co więcej, zanim mu odbiło, to naprawdę podkochiwał się w Żanecie z daleka, tak normalnie. Choć nieco mniej normalne było to, że pachniała dla niego miłością życia. Teraz cała jego rodzina żyła aktualnie w panicznym lęku przed Strzeleckim. Wilczek, policjant z Opoli, aż przyjechał zapytać, co oni takiego zrobili, że poszła po stadach fama, żeby się do Brzegu nie zapuszczają. Nie uzyskał odpowiedzi, bo ledwie stanął w drzwiach biura, Sabina sobie przypomniała, że ma do niego milion krępujących pytań, a gliniarz z podziwu godnym refleksem podwinął pod siebie ogon i zwiął.

Złoty coś odkrył, że może Odrą podplłynąć na tyle blisko, żeby widziała go z okna swojego pokoju i żeby mógł kiwaniem łba mówić jej dobranoc. Pani Zofia unosiła się nad stolikiem i księgowowała faktury za słodycze.

Życie było całkiem spoko.

Telefon Żany piknął i wyświetlił wiadomość od Pawła.

„Kiciuś, mam nagraną robotę na Skarbimierzu. Wracam w sobotę z rajchu, tenskniłaś?” i pięć serduszek. I cmokasek.

Dziewczyna poczuła, że po pierwsze, jednak nie, nie ogarnia swojego życia. Po drugie, musi schudnąć. Tak z pięć kilo. Dziesięć właściwie. Najlepiej by było dwadzieścia, żeby ciuchy w rozmiarze S jakoś leżały. Ale ostatecznie wystarczyło pięć. Byle tylko sobie poszły w cholere.

I nagle do niej dotarło – Paweł wraca, a ona nie jest człowiekiem. Pracuje w firmie nieczłowieków... Miała cusie do znalezienia i nielegalne wysypisko odpadów magicznych do zlikwidowania. Chciała się nauczyć samoobrony. I jeszcze w styczniu sesja!

Dawid do niej pisze na Fejsie z kolejnych kont, które zakładał szybciej, niż je nadążała blokować, błagając o wybaczenie.

Nijak, nijak nie wiedziała, jak do tego wszystkiego dopasować Pawła.

– Who you gonna call?! – ryknęło nagle, gdy Sabina otworzyła drzwi od swojego biura.

Żaneta aż podskoczyła. Odwróciła się i zobaczyła swoją szefową w żółtym kombinezonie ochronnym, takim, jakie nosili naukowcy w filmach o epidemiach.

– Zarąbiste, co? – ucieszyła się Sabina, okręcając się na pięcie. Na plecach miała wymalowane „BHP”. – Zamówiłam na te jazdy na wysypiska, wiesz, na wszelki wypadek. Mają hełmy!

– Ghostbusters! – ryknęły głośniki w jej biurze.

Pani Zofia spojrzała na Piechotę nieprzychylnie i zdematerializowała się.

– Księgowa ci chyba tego nie rozliczy... – zauważyła Żaneta.

– Myślisz? – Piechota się zmartwiła. – Kurde, piosenka mi do stroju pasowała, nie myślałam, że się pani Zofia obrazi... Będę ją jakoś musiała przeprosić, włącz na internety i szukaj kartonowego Deana Winchestera, takiego naturalnej wielkości – poleciała Żanecie.

– Czytam ustawę o odpadach! – zaprotestowała.

– Dziewczyno, trzeba mieć priorytety – przypomniała stanowczo Sabina. – Ustawa nie ucieknie, a pani Zofia gotowa się zdematerializować na zawsze i wtedy nam podatki szlag trafi. – Szukaj Deana!

Ktoś zapukał do biura i w drzwiach stanął Łukasz Marciniak z dwiema wypchanymi reklamówkami z Biedronki w rękach i z wyrazem determinacji na twarzy. Zza jego nóg wyglądały dwie zaciekawione dziewczynki w wieku wczesnoszkolnym.

– Cześć! – powiedział. – Książki od ojca przywiozłem. Nie powinien się ciebie o nie czepiać, ale jakby przyłazł, to odeślij go do mnie.

Postawił obie reklamówki na biurku Żanety. Z jednej wystawał róg oprawionej w skórę książki i Sabinie zaświeciły się oczy.

– Jak ci już nie będą potrzebne, to je schowaj i nigdy nie pokazuj nikomu z mojej rodziny – dodał z naciskiem Łukasz. – A jak będziesz miała chwilę, zadzwoń do mnie, zrobimy sobie wszyscy razem ognisko z kiełbaskami. Chciałybyście, co? – zwrócił się do dziewczynek, które energicznie pokiwały głowami. – Moje córki – wyjaśnił z dumą. – Dorota i Magda. A to – wskazał na Piechotę – jest pani Sabina. Pani Sabina jest prawdziwą strzygą i jest bardzo fajna.

Piechota, lekko oszołomiona, podniosła rękę i pomachała. Dziewczynki,

wpatrzone z fascynacją w jej kombinezon, odmachały.

– A tak generalnie to wszystko okej? – zapytała Marciniaka półgębkiem, spoglądając z lekkim przerażeniem na dzieci, które zaczęły macać nogawki jej kombinezonu.

– Bardzo okej. Porozmawialiśmy sobie z ciotką, tak wiesz, od serca. Postanowiłem, że nigdy, pod żadnym pozorem nie będę taki jak te wszystkie Martinusy. Nawet jeśli ta cholerna scheda kiedyś w końcu na mnie spadnie, to się jej nie dam. Będę robił po swojemu, w zgodzie ze swoim sumieniem – oznajmił stanowczo. – Powiedziałem chłopakom w firmie, żeby wiedzieli, kogo mają za kierownika. Jeden zbladł trochę, ale nie biorę tego do siebie. Reszta przyznała, że jestem spoko i nie będą mnie sądzić po przodkach. I ten, no, poczułem, że jakoś trzeba to zacząć od nowa. Więc zaczynam. – Podał Sabinie rękę. – Cześć, jestem Łukasz Marciniak. Totalnie mi wisi, czym jesteś i co robisz w wolnym czasie, grunt, że jesteś w porządku.

– Cześć – odpowiedziała z uśmiechem Sabina. – Jestem Sabina Piechota i prywatnie wisi mi wszystko. A zawodowo to ci powiem, że za dwa tygodnie kończy ci się ważność szkolenia i trzeba będzie zrobić okresowe.

– A już prawie było tak pięknie – westchnął Łukasz.

## 21. Sobota

– W zasadzie powinnam być teraz na zajęciach – powiedziała Żaneta, wysiadając z beemki.

– Luz, masz zajęcia praktyczne – uświadomiła ją Sabina.

Wyciągnęła z bagażnika kombinezony ochronne i podała jeden Wawrzyniakównie, a drugi zaczęła wkładać sama.

Obie były już całkiem przyodziane, gdy na parking przy lesie wjechały dwa auta. Z jednego wysiadła Marciniakowa, z drugiego Wilczek.

– Dzień dobry, mam dla was kombinezony! – Piechota zamachała odzieżą ochronną niczym flagą.

– Ja tego nie wkładam! – Ludmiła się skrzywiła.

– Ja dyskutował nie będę – odparł natychmiast Wilczek i wziął kombinezon od Sabiny. – Po pierwsze, behapówka każe, po drugie, moim tam odwaliło.

– Jak pajace w tym wyglądacie, a nie komisja śledcza – orzekła Ludmiła, gdy już wszyscy troje byli ubrani.

Piechota wzruszyła ramionami.

– Bezpieczeństwo przede wszystkim! – oznajmiła i ruszyła w las, a pozostali za nią.

Zebrali się wszyscy czworo, żeby komisyjnie zbadać sprawę wysypiska. Ludmiła jako łowczyni i ta, która odkryła, że coś jest nie tak, Wilczek w roli reprezentanta władzy wykonawczej i wilczej mniejszości, Sabina Piechota jako BHP i Żaneta, mająca w przyszłości ogarnąć całe te nienormatywne, wymagające ochrony środowisko.

Nie udało im się zdobyć informacji, gdzie konkretnie znajdują wysypisko i co na nie trafiło. Wilkołaki, po spotkaniu z Piechotą i Strzeleckim, odżegnywały się od wszelkich dalszych kontaktów z PS Business Consulting, a Kinga jakby zapadła się pod ziemię. Sabina szukała jej z miernym entuzjazmem, za to napomknęła coś o tym, że Ewcia mogłaby wyciągnąć z kogoś informacje, zanim go do piwnicy zaprosi. Ewent wzruszyła na to ramionami, oznajmiła, że nic o tym nie wie, i przywiozła im jakiś szalik, który Kinga u niej zostawiła, żeby wilk mógł podjąć trop.

Ugadali się, że spróbują znaleźć to miejsce i ustalić dalsze działania w porozumieniu z Marysią Strzelecką, prawdopodobnie jedyną osobą będącą w stanie dokonać ewentualnej neutralizacji zagrożenia. Łatwiej było powiedzieć, niż zrobić, bo łazili po lesie z godzinę, kierując się GPS-em w telefonach i węchem Wilczka, zanim policjant nagle znieruchomiał.

– Mam trop! Bogdanków czuję! I tę rudą! Tędy!

Zaczęli się za nim przedzierać przez krzaki, gdy Żaneta nagle przystanęła gwałtownie i złapała idącego przodem Kacpra za ramię.

– Stój! – syknęła. – Dalej ci zaszkodzi.

– Skąd wiesz?

– Ziemia – wyjaśniła i rozejrzała się wokoło. Oczy miała lekko nieprzytomne. – Ziemia mi mówi, że dalej jest źle. I powietrze. Wszystko tu jest takie nieszczęśliwe...

Pozornie ten kawałek lasu niczym się nie różnił od reszty, na widoku żadne śmiecie nie zalegały, były tylko drzewa, ściółka i jakieś niedorośnięte krzaczki. Ale w głębi, pod korą, pod mchem, pod ściółką czaiła się najpotworniejsza magiczna zgnilizna, jaką Żaneta kiedykolwiek czuła. Las płakał nad tą raną i błagał o pomoc. I nikt, nikt poza nią jedną tego wołania nie słyszał.

– Spoko – pocieszyła Żanetę Sabina. – Sprowadzimy tu Marysię i zaraz wszyscy będą znowu siusiać śliweczki.

– A potem znajdziemy tego po... nienormalnego, co to zrobił – dodała ponuro Ludmiła. – Kara musi być.

– Może być z tym pewien problem – odezwał się Wilczek. – Bo ja tu wyczuwam tropy wilkołaków z Wrocławia, ale poza nimi i nami byli tu tylko zwykli, normalni ludzie.

Marciniakowa skrzywiła się, jakby kto jej octu zadał. Wszystko w tej sprawie okazywało się nie takie, jak przypuszczała. Jakby świat uparł się stanąć na głowie. Podejrzewała Piotra, Sabinę i Żanetę, a oni okazali się niewinni, mało tego, twardo stali po jej stronie, próbując zaradzić złemu. Podejrzewała nienormalnych, okazało się, że całe zło czynili ludzie. Zupełnie jak dwa miesiące temu – to normalna dziewczyna próbowała zabić Piotra, nieudolnie próbowała, ale w sumie liczyły się intencje. I Ludmiła nie potrzebowała podpowiedzi, żeby wiedzieć, że to Piotr zakazał Sabinie zemsty. I ta Kinga... Ile to paskudztwa siedziało w tej dziewczynie, próbowała wykończyć wiła, żeby sobie wyniki sprzedaży poprawić, skaziła

las, żeby dorobić. Chodząca chciwość i ambicja. W stu procentach ludzkie.

Ludmiła niechętnie przyznała, że Łukaszek miał w tym wszystkim lepsze rozeznanie. Może na tym właśnie polegały te „geny Martinusów”, by instynktownie wiedzieć, kogo należy bronić i przed kim.

Czas chyba maczetę odwiesić na kołku i przekazać schedę młodemu. On dowiódł, że lepiej się orientuje w tym nowym, powywracanym do góry nogami świecie. No i będzie miał do pomocy i Piotra, i Sabinę, i Żanetę...

Marciniakowa natychmiast postanowiła na wszelki wypadek maczetę mieć pod ręką. I obserwować sytuację z daleka. Też na wszelki wypadek.

W końcu jak świat raz stanął na głowie, to co go powstrzyma przed powtórzeniem tego numeru?

## 22. Post Scriptum

– Dlaczego obraziłaś panią Zofię? – jęknął Strzelecki, mniej dramatycznie niż zwykle, bo kiedy coś przekąsił był zasadniczo mniej skłonny do dramatyzmu.

Sabina, wciąż w skafandrze ochronnym i nadal przypominająca zabląkanego astronautę, wzruszyła ramionami.

– Tak wyszło. „Ghostbustersów” sobie puściłam, pod kombinezon. Nie przyszło mi nic innego do głowy...

– Dawid Bowie! My Chemical Romance! – podsunął Piotr. – Cokolwiek, co nie zniechęca do nas księgowej w chwili, gdy dostajemy zawiadomienie z Urzędu Skarbowego o kontroli krzyżowej! Będą sprawdzać nas i moją matkę.

– O! – zmartwiła się lekko Sabina.

– Ja nawet nie chcę wiedzieć – zastrzegł Strzelecki. – Ale mam nadzieję, że macie te wasze geszefty odpowiednio udokumentowane i opodatkowane!

– Spoko, twojej mamie i pani Ludmile też pani Zofia księguje – mruknęła Piechota. – Nawet jeśli myśmy podpadli, to ich nie zostawi.

– Ty podpadłaś! – wycelował w nią palcem Piotr. – Ja jestem w porządku i będę puszczał ścieżkę dźwiękową z „Supernaturala” na Spotifaju. – Spojrzał na trzymane w dłoniach zawiadomienie. – A ty możesz sobie odkurzyć *Can't hurry love* Collinsa, bo na kontrolę przyjeżdża Majewski.

Sabina natychmiast się ożywiła.

– Serio! To ja muszę ściągnąć *Army of lovers*.

– Co?

– Jak na kogoś z tak obłądnym głosem ma fatalny gust muzyczny – przyznała niechętnie Piechota. – Jak mieliśmy poprzednią kontrolę, to go zapytałam o ulubioną piosenkę. *Obsession*. – Wzdrygnęła się. – No, ale może jak mu to puszcze, to w końcu załapie aluzję, co?

